FAKTOR HETMAŃSKI.

PIOTR JAXA BYKOWSKI.

FAKTOR HETMAŃSKI.

POWIEŚĆ ZESZŁOWIECZNA.

WARSZAWA.
Nakład Gebethnera i Wolffa,

1881.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ.
Варшава, 4 Сентября 1881 года.

Wiernym w przyjaźni, doświadczonym w nieszczęściu, najmilszym bratu i siostrze **Włodzimierzowi i Klotyldzie z Mierosławskich Biesiekierskim** z braterskim affektem i uczuciem żywej wdzięczności, składa

Piotr Jaxa Bykowski.

Tylu już nas bajarzy o przeszłości plądrowało bogatą kopalnię dawnego szlacheckiego życia, a nietylko żaden nie odszedł dotąd z próżnemi rękoma, ale owszem każdy prawie wydobył ztamtąd tyle skarbów, ile tylko w garście się zmieściło, a przez to jednak siła po sobie zostawić musiał, chociażby był najchciwszym, bo długo, długo jeszcze wszystkiego tam nie przebrać.

Nie tak to dawno, bo przed laty mniej więcej 40-stu, kiedy autor „Pamiętników Soplicy“ wywołał po raz pierwszy na arenę anegdotyczną postać niezrównanej oryginalności Radziwiłła „Panie kochanku“, i dotąd prawie podają go nam jeszcze w beletrystyce pod rozmaitemi przyprawami, a gdyby tak zliczyć sumiennie co o nim napisano, jużby się złożyła z tego spora biblioteczka. Zapewne że dziwactwo jego nielada było, równie jak i państwo, w którem równego sobie nie miał w kraju, a niewielu swojego czasu bogactwem go przewyższyło na całym świecie; więc, jak to mówią, według stawu grobla, a jedno i drugie było szerokie. Wszakże prócz Radziwiłła wieluż to znajdzie jeszcze podobnych oryginałów, których kroniki nikt jeszcze nie dotknął.

Gdyby kto rozwiązał mi tę zagadkę, dla czego to tak sprzecznie związała się nasza przeszłość, że kiedy z jednej strony szliśmy ręka w rękę z cywilizowanym światem, ani

na krok od niego nie odstając, i kiedy do dziś dnia, po upływie wieków, na kartach złotych ksiąg i na złotych tablicach najświetniejszych akademij i uniwersytetów, połyskują sławą imiona szlachty polskiej, kiedy na polu publicznej posługi, czy to wojennej sławy, liczyliśmy siła głębokich statystów i polityków, strategików i wojowników, słynących nietylko z męztwa i zamiłowania dobra publicznego, ale też z teoryi, nauki itp., — życie tej samej szlachty prywatne i codzienne, wyskakiwało po za obręb przyjętej powszechnie rutyny, stroiło się w jakoweś wschodnie fantazye, właściwe dla kart „Tysiąca i jednej nocy“, przechodziło po za szranki zwykłej powszedności i samo przez się, bez niczyjego wysiłku ani pokierowania, przeradzało się w anomalię i dziwactwo?

I zkądże się brała w szlachcie ta fantazya iście wschodnia, kiedyśmy się nigdy ze wschodem nie bratali, chyba tyle że dostawał od nas po karku od czasu do czasu; cywilizacyę zaś i naukę czerpaliśmy z zachodu, z którym zespoliliśmy się duchem, religią i warunkami społecznego bytu. Widać więc, że ta buta i samowola domowego życia, to domorosły wynalazek szlachecki... a Bóg jeden wie, ile to różnorodnych materyałów na ten gmach się składało; a więc rząd republikański, wojowniczy obyczaj narodu, duch możnowładztwa, silna spójnia węzłów rodzinnych,ześrodkowanych pod nieograniczoną władzą jedynej głowy domu...

Tysiące zresztą znalazłoby się źródeł psychologicznych, lecz ażeby z oryginalnością oryginalnie zakończyć, powiem jak mi się widzi, iż główna przyczyna tego leżała w owej maksymie głęboko narodowej, że „szlachcic do korony się rodzi“. Owoż nieszczęście całe, że korona była jedna, a szlachty siła, każdy więc chciał sobie pokrólować choćby na swej zagrodzie, a to w rozmaity sposób, na za-

sadzie przysłowia, „aby raz w życiu przez imaginacyę pojechać na koronacyę".

Jeszcze dotąd wstęp nieskończony, a zawrę w nim słówko prośby do czytelnika, aby się nie gorszył, iż bohaterem niniejszej gawędy będzie żyd. Lecz racz sobie przypomnieć, miły czytelniku, iż od dawnych wieków — a bodaj nie zaśmiało będzie powiedzieć — od Kazimierza W., kiedy Izrael wielką lawiną na kraj nasz napłynął, szlachcic i żydek poczęli stanowić jakby dwa konary jednego pnia: pierwszy ongi zieleńszy zaprawdę, świeższy, bujniejszy, ostatni od urodzenia skarłowaciały, lichy, uwiędły; to też od tamtego czerpał soki pożywcze, zasilał się, wzrastał, a korząc się przed życiodawcą, wysługiwał się jak mógł, byle się jego ciepłem ogrzać, życiem odżywić. Zczasem tak się pomiędzy sobą zespolili, iż jeden bez drugiego żyć nie mógł; a stało się dla obudwóch jakby potrzebą, weszło w naturę, iż jeden potrzebował oprzeć się, a drugi wspierać. A Bóg jeden wie, może im tak dobrze było społem, wedle tej bajki Krasickiego:

„Niósł ślepy kulawego, dobrze im się działo"...

Tylkoż jakoś przyszłość chybiła, inaczej wskazując: ów bowiem odżywiany zanadto się pożywił, ów zaś żywiący za hojnie i nieoględnie odżywiał, — i zmieniła się postać rzeczy; a kto teraz żywiący i czyli się wypłaca wzajemnie wspaniałomyślnością?... na to nie odpowiadam, bo to teraźniejszość, zakres zaś mojego opowiadania obraca się w przeszłości. Ja tu wystawiam żydków dawnych karczemnych, propinatorskich, pachciarskich, a wogóle kapotowych, pejsatych, jarmułkowych. Izrael zaś dzisiejszy modny, kareciany, bankierski, frakowy — słowem *szejne morejne*, to już zwierzyna Jana Jeleńskiego, zatem nie polujmy w cudzej kniei.

Mnie szło głównie o to, aby ujawnić ów nierozerwany stosunek, rodzaj nawet pobratymstwa szlachcica z żydkiem, który dotrwał do naszych czasów pod odmiennemi wprawdzie formami. Z karczem i antikamer przeniósł się do kantorów bankierskich i wytwornych salonów; z biedki jednokonnej do paradnej karety; zmieniła się rola żywienia, zatem impozycyi, bo... *mutantur tempora!* Moralista powiedziałby na to: „wziął wytrwały, pracowity, przebiegły, stracił rozrzutny, nieoględny i łatwowierny... *sic transit gloria mundi!* Wszakże iż moją powinnością jest bajać, ale nie rozumować — więc opuszczając wstęp, może za długi, płynę na bystre wody opowieści.

* * *

„Bóg siedzi na niebie, szlachcic na ziemi, a żyd gdzie się wkręci“.

Taką miał przypowiastkę pan Celestyn Czaplic, łowczy w. k., swojego czasu człek słynny z bystrego dowcipu, a mówiąc nawiasem i statysta niepospolity, czego złożył dowody, marszałkując na burzliwym sejmie 1766 roku.

Idąc więc za Czaplicem, nim się żyd wkręci do naszego opowiadania, hierarchicznym porządkiem (dawnym wprawdzie, już może nie dzisiejszym), pocznijmy od szlachcica.

* * *

Narastało u nas przez wieki siła bredni przy legendach herbowych, niektóre z nich nawet panegiryczne i pochlebne dla rodzin, przygwoździły się do heraldyki autoritetem dziejowym, inne znów zachowała żywo tradycya, za połowę prawdy podając; pomiędzy temi jedna dość mocno uczepiła się starej szlacheckiej rodziny Branickich *Korcza-*

ków, a tem dziwniej, iż legenda to była iście z palca wyssana, a mianowicie jakoby ta rodzina świeżo powstała w XVIII wieku, a protoplastą jej naówczas był niejaki tatar *Braneki* (?) lub znów, że początek tej rodzinie dał jakiś *braniec* wojenny, ciemnego pochodzenia, przezwawszy się *Branieckim*.

Żaden co prawda, z dawnych Polaków nie zapisał tej wątpliwej gadki, szeroko jednak krążącej po świecie, dopiero pierwsi cudzoziemcy, piszący ostatki dziejów Rzeczypospolitej, Rhulière i Ferrand, chociaż zkąd indziej poważni historycy, gadkę tę wprowadzają u siebie — od nich zaś wystrzela tu i owdzie, znajduje wiarę nietylko w ustnych podaniach, ale i u mniej więcej szanujących się dziejopisów i to w czasach właśnie, kiedy krytyka dziejowa poczynała już baśnie kronikarskie oczyszczać. Przyczyna, dla której bajeczka ciśnięta na ten ród tak łacno przyrosła do niego, znalazłaby się może w dziejach jego ostatnich czasów, ale historyi nie pisząc, urwać mogę w tem miejscu.

Wsławione imię, które nosił hetman, miły narodowi, Jan Klemens także Branicki, tylko innego szczepu i herbu Gryf, ze starych comesów na Ruszczy, dało też poniekąd asumpt do baśni o Korczakach. Dla skrócenia rzeczy inne równie bajeczne legendy pomijam, jakoby ów Branicki *Gryf* przyjął *Korczaka* do swojego herbu — nonsens wierutny, niezgodny z zasadą prawa polskiego, bo nikt herbów nadawać i zmieniać nie mógł dobrowolnie; a król i sejm nobilitował tylko. Co zaś do onych *Branieckich* i *brańców* przerabianych na szlachtę, to bajeczka godna piastunki usypiającej niemowlę — jakby się to szlachectwo polskie zdobywało tak snadno. Dośćby na dowód tego przytoczyć słowa mądrego księcia de Ligne, które wyrzekł, kiedy po wielu staraniach i zabiegach otrzymał indygenat szlachecki

na sejmie 1786 r. „Łatwiej jest u niemców zostać księciem udzielnym, niż w Polsce szlachcicem".

A teraz z kolei przypatrzmy się, ile prawdy pozostanie z tej bajeczki: Ojciec Ksawerego Branickiego, późniejszego hetmana w. k., Piotr, był sobie karmazyn z antenatów, liczył tam coś krzeseł i infuł pomiędzy dalszymi przodkami, a sam sroce z pod ogona nie wypadł, bo kasztelan bracławski, syn kasztelana halickiego, a więc senator z senatora, ożeniony z Szembekówną, kasztelanką oświecimską, siostrę miał za Janem Potockim, którego w kasztelanii był następcą; córkę Elżbietę wydał za Jana Sapiehę, wojewodzica mścisławskiego, ta była matką Kazimierza Nestora, sławnego marszałka konfederacyi litewskiej na sejmie czteroletnim, a w nawiasie mówiąc słynęła swojego czasu z niepospolitych wdzięków, którym Stanisław August nie bez powodzenia hołdował.

I tyle się powiedziało tak gwoli rehabilitacyi prozapii szlacheckiego rodu, a również jako dowód, na czem to u nas polegała owa prawda heraldyczna: bywały bajeczki i bajeczki, jedne z nich jak ta, podsycane nienawiścią i niechęcią, żyły czas jakiś, lecz je w końcu prawda krytyczna zdusiła; inne znów, które sobie szlachta tworzyła, jakby wyssane z palca dla urojonego podniesienia rodów, żyją dotychczas rozsiewane po świecie w spekulacyjnej heraldyce spółczesnej, podsycanej ofiarnością pseudo-arystokratów. Na zdrowie im i pisarkom, którzy im służą, ci ostatni przynajmniej wiedzą, że *beatus qui tenet!*

Tak tedy Ksawery hetman, co go zwano Branekim i Branieckim, był sobie jak widzicie Branickim Korczakiem, a już w prostej linii po za sobą miał dwa senatorskie stołki, nie licząc tego że i w dalszej przeszłości cośby się znalazło.

Co prawda, Piotr Branicki, kasztelan bracławski, ro-

dzic hetmana, karty dziejowej niewiele zasmarował, za toż w kronice hulackiej poważne zajął miejsce. Fortunę miał dostatnią, szlachecką, bo dwa klucze w bracławskiem a jeden w kijowskiem województwie, a nadto w ziemi spiskiej parę wiosek wianem po żonie Szembekównie. Żył może nad stan, ale jowialistą będąc i dworakiem, trzymał się panów i tym sposobem niedostatki namagał. Bartoszewicz powiada, że szczególną mu pochwałę zapisał nagrobek u Karmelitów lwowskich, iż był całe życie do rozpusty skłonnym.

Owoż ten pan kasztelan słynął swojego czasu hulaszczego, bo saskiego, z urządzania i prowadzenia kuligów, które urozmaicał genialnemi pomysłami, układał pochód Bachusa, ku czemu miał słynącą w kraju ogromną beczkę, nakształt kolebki zbudowaną, i już na to niczego, ani pomysłów, ani fortuny nie skąpił. Niosła się o tych kuligach fama, że pewnego roku wyjechawszy z domu na początku zapust z Bracławskiego, dotarł kuligiem aż pod Gdańsk na przyszłe zapusty i wesołą drużynę do siebie na święcone jajko przyprowadził.

Podstawą tych kuligów była słynna janczarska kapela, której dyrektorem i kreatorem był Srul Mortko I-szy (numerujemy go dla odróżnienia od potomka), rodzic bohatera naszej gawędy. Był to arendarz z profesyi a muzyk słynny z talentu i powołania. Kapela składała się z dwunastu grajków, wszystko krewnych dyrektora; wszakże jej powinność nie kończyła się na samej doskonałej muzyce, pozostawała jeszcze bogata pomysłowość w wykonywaniu przeróżnych konceptów pańskich, przebierania się za bożków pogańskich, satyrów, cyklopów itp. Czego tylko stosowna okoliczność i fantazya pańska wymagały, wszystkiemu zadość uczynił zręczny mistrz z pokrewną drużyną. A gdzie ciął od ucha Srul Mortko ze swoimi, tam

tańczono do upadłego, a spijano się na śmierć. Wszystkie pańskie pieśni improwizowane w lot chwytał dyrektor, muzyką podnosił i talent pański rozsławiał.

Takie były obowiązki Srula Mortki, tej prawej ręki kasztelana w hulance, bez której ten możeby i sławy w rozpasanej epoce saskiej nie zyskał i na ów wspomniany już nagrobek u karmelitów lwowskich nie zarobił.

Dobrałże się kasztelan z kapelmistrzem „jak w korcu maku". Obaj weseli, hulaszczy, pomysłowi, dowcipni — każdy w swoim rodzaju, wyprzedzali się w wynalazkach nowych dyalogów, intermedyów i Bóg tam nie wie czego. Srul zaś, choć niby na podrzędnem stanowisku sługi i w niższej pozycyi żyda, lecz na drodze hulanki doszedł z panem do pewnej konfidencyi i poufałości.

Oprócz tego Srul był arendarzem i to całą gębą, bo z całej pańskiej fortuny arendował propinacye, stawy, młyny, myta, daniny, wyderkafy itp. — słowem wszystkiego grosza gotowego był samowładnym panem; a nadto w gospodarstwie i wszystkich interesach robił co chciał. Wszakże możnaby to poczytać za skarby Potosu, dla każdego zwyczajnego arendarza żydka! Atoli była tam pewna klauzula... orzech twardy do zgryzienia, że ów generalny arendarz winien był dostarczać wedle pańskiej fantazyi forszusu na wszelkie hulanki, kuligi, dyalogi etc. A na nieszczęście stanowił on wyjątek z ogólnego prawa wszystkich arendarzy i nietylko nie hamował pana w bujnych fantazyach, ale nadto jego imaginacyę swojemi inweñcyami podsycał. Ztąd to, co z pańskich rąk hojnych spływało, prześlizgało się przez arendarskie i w świat dalej płynęło. A skoro pani kasztelanowa, wydawszy za mąż córkę, a nie rada poglądać na sprawki mężowskie, osiadła w Spiżu na małej wiosczynie, którą z pod męża ewikcyi wyrwała — wtedy dopiero pan z arendarzem hulali sobie na dobre.

Otóż zawarliśmy znajomość z rodzicem naszego bohatera, Srulem Mortkiem I, którego syn jedynak, Srul Mortko II, był równie zawołanym muzykiem, a pierwszym flecistą ojcowskiej kapeli.

Przez dziwny zbieg okoliczności, hulaszczość pana kasztelana, a bardziej jego chęć do układania intermedyów i dyalogów, wpłynęła na dalsze losy i karyerę młodego flecisty Srula. Kasztelan, wyczerpawszy pomysły do swoich niespodzianek, a chcąc zaś ciągle błyszczeć w tem nowością, czerpał do nich temata z mytologii, że zaś dla starego było już zapóźno nabywać nowej wiedzy, również jak i dla jego rówieśnika mistrza kapeli, starego Srula, wpadł zatem na myśl kasztelan, aby kazać uczyć młodego flecistę tej nowej nauki przez francuza, będącego guwernerem jedynaka, kasztelanica Ksawerego. Srul, młody zręczny żydek, umiał sobie ująć starego francuza, który widząc go pojętnym, zajął się gorliwie jego wychowaniem i krom mytologii, wyuczył go wielu rzeczy i doskonale po francuzku. Ojciec też Srula nadskakiwał panu guwernerowi i dla synka łaski zaskarbiał.

Przed stu przeszło laty wydałoby się to do nieuwierzenia, co zaszło z młodym Srulem, iż stał się kolegą w nauce młodego kasztelanica, a był to może owego czasu jedyny przykład w swoim rodzaju; należy bowiem zważyć ówczesny stosunek panów do żydów, którym tamci dając się oszukiwać, okłamywać, w rozmaity sposób, a traktując ich z łatwowiernością, nigdy zbytniego spoufalenia nie dopuszczali. Lecz na ten wyjątek w obecnym razie złożyło się mnóstwo sprzyjających dla młodego żydka powodów: dbałość o preponderencyę hulacką pana kasztelana, którąby bez pomocy starego kapelmistrza i jego sprytnego synka utracił, akomodowanie się tegoż synka, tak staremu guwernerowi jako i młodemu paniczowi, usłużność i submisya bez

granic, a nakoniec faktorstwo wyssane z mlekiem matek przez żydów, którego młody Srul zręcznie używał na dostarczanie uciech i rozrywek rozmaitego rodzaju, tak guwernerowi, jako i młodemu kasztelanicowi, niejako już swojemu koledze w nauce. Dość iż stało się wbrew wkorzenionym przesądom czasu, iż żyd, którego bezwarunkowe natenczas stanowisko bywało przy progu szlacheckim, zasiadł na naukowej ławie obok magnackiego i senatorskiego chłopięcia; zręcznością zaś swoją a rozumnem i miłem wzięciem tyle dokazał, że pozyskał miłość i względy nietylko nauczyciela i współucznia, ale i całego domu.

Wszystkie tedy wolne chwile od hulackich wycieczek z kapelą, których był już pierwszym promotorem, młody Srul poświęcał na usługi współucznia i nauczyciela, a jako chciwy wiedzy i rozwinięty umysłowo, właściwie swojej narodowości, niemało korzystał z nauki, a fawor panicza silnie sobie zdobywał.

* * *

Stan rzeczy powyżej opisany trwał przez lat kilka.

Aż nakoniec staremu kasztelanowi pod schyłek życia jakoś przerwała się hulanka; z jednej strony zaszturmowała podagra — z tą możeby sobie jako tako radził stary miłośnik wesołego życia; lecz szturm trudniejszy do odparcia przypuścili liczni kredytorowie i fortuna poszła pod rozbiór, pomimo starań i zabiegów samego kasztelana i jego kapelmistrza, który niemało w tem był interesowany, bo cały grosz gotowy dzierżawił. Na nic nie zdały się wszelkie wyrobki, kredytorowie dość silni wzięli się ostro, skutkiem czego pan kasztelan zaledwie utrzymał się na jednej nędznej wioszczyźnie, a pan kapelmajster na lichej karcz-

mię; resztę rozszarpali wierzyciele. Kasztelan, widząc taką postać rzeczy, zaniemógł na dobre — i jakże mu żyć było bez hulanki, jak rybie bez wody? a już dogorywał sobie w zapomnieniu.

Jedno co z tego wszystkiego trapiło kasztelana, to syn, już podówczas dwudziestoletni młodzian, który nie atentując żadnej karyery, kwaśniał w domu przy boku ojca, po którym prócz długów nic nie miał dziedziczyć. Chodziło o to, aby go przyzwoicie, jak przystało na senatorskie dziecko, w świat wyprawić, a resztaby się znalazła przez alianse z Sapiehami i Szembekami, możnymi podówczas w Rzeczypospolitej; nareszcie sam młodzieniec był gładki, nie przepadłby między ludźmi; chodziło więc już tylko, jak się rzekło, o bagatelkę, o jaki taki forszus pieniężny, ale zkąd go tu wydobyć?

Tymczasem kasztelanic wprawiał się w łatwe miłostki z sąsiedniemi szlachciankami, młody flecista wiernie mu służył, a stary francuz guwerner, który już przyrósł do domu, lubował się dziełem swej światowej edukacyi.

Kasztelan z tej turbacyi stetryczał, nikogo już nie widywał oprócz starego kapelmistrza, dziś już bez kapeli, i z nim sobie odżywiali się reminiscencyą dawnych, świetnych hulanek. Czasem tam stary wirtuoz, dla odnowienia pamięci, brzdąknął jakąś dawną nutę na skrzypeczce i tyle było starych pociechy. Razu pewnego, gdy się bawili wspomnieniami, spyta kasztelan:

— A powiedzże mi Srulu, co myślisz z twoim synem? bo to nie dla niego karyera propinatorska, posiada piękny talent muzyczny, wartoby go popchnąć w świat, umieścić w jakiej magnackiej kapeli, ztamtąd dostałby się może do królewskiej. Teraźniejszy król Jmć amator jest muzyki i opery, twój Srul zdolny, a oprócz muzykalnego kunsztu, posiadł nieco światowej ogłady i kto wie co go czeka, za-

niedbywać nie trzeba. Dałbym mu listy do kilku panów do Warszawy, może oni choć raz w życiu o mnie sobie przypomną.

— Dziękuję jw. panu — prawił żyd z pokorą — ale karyera dla mojego syna gotowa; tak jak dziadek mój siedział u dziadka pańskiego, pana cześnika na karczmie, a ojciec u jw. kasztelana halickiego, waszego ojca, ja u jw. pana, tak niech i on trzyma się pana kasztelanica.

— Ba, ale za cóż on się tam będzie trzymał u kasztelanica, kiedy on sam nie ma się czego chwycić — odparł stary z westchnieniem.

— Ano będzie siedział na karczmie u kasztelanica.

— A zkądze kasztelanic sam weźmie tę karczmę?

— Pan nigdy nie przepadnie i żyd skoro będzie się jego trzymał, a wiernie mu służył. Fortuna, jak mówią, kołem się toczy, a pan kasztelanic zręczny jest, wszystko zaś w łasce Boga, może kiedy będzie miał tyle karczem, ile z przeproszeniem jw. pan chat. Żydowska zresztą rzecz arenda... bo z przeproszeniem jw. pana co my wygrali z tej muzyki?

Westchnął stary kasztelan i zamyślił się.

Po chwili kapelmistrz z nieśmiałością rozpoczął:

— Gdybym to ja śmiał dać jw. panu radę...

— A czemużbyś nie śmiał? przysłowie uczy: zdrowa rada, gotowa majętność.

— Kiedy jw. pan łaskawie zezwala, to powiem, że trzebaby pana kasztelanica w świat wysłać, boć to przecie dwudziestka dobrze mu minęła, czasby mu się po świecie rozejrzeć, a taki gładki i rozumny kawaler da sobie radę.

— Nie nowe mi rzeczy powiadasz, mój Srulu; ba, wysłać, wysłać! Sam to ja wiem o tem, że gnoić tu na partykularzu się nie godzi, ależ nie mogę go w świat puścić, jak

pierwszego lepszego szlachetkę, przecieć to senatorskie dziecko — mówił kasztelan, smutnie kiwając głową.

— Alboż ja jw. panu mówię inaczej, sam przecie tak rozumiem.

— Więc jak rozumiesz hę? co? mówił z przekąsem kasztelan — podjezdek, w sakwę kaszy, chodaki na nogi, buty juchtowe w troki, złotówkę na pierwszy popas, dukat węgierski z Matką Boską na czarną godzinę, sto bizunów pro memoria, błogosławieństwo rodzicielskie na zapas, i z Bogiem w świat jak się to dawniej praktykowało, czy tak rozumiesz?

— Niech jw. pan zdrów żartuje; żywało się, chwalić Boga, na świecie i wiem co komu należy — odparł kapelmistrz z ukrytym wyrazem urażonej dumy.

— A wieszże ty, ile to trzeba dla kasztelanica, żeby się ruszył z miejsca i pierwszy raz odpowiednio swej randze w świecie się zaprezentował? to najmniej, najmniej — dodał jakby kalkulując w myśli — z 5,000 czerwonych złotych.

— Uczciwszy honor pański, iż się ośmielę kontradykować, bo wedle mojej kalkulacyi najmniej dziesięć.

— Czy kpisz żydzie, czy drogi pytasz! — wrzasnął pan zaperzony, gdyż pomimo wieku i choroby, podczas bywał gorączka.

Żyd jakby na gniew pański nie zważał, ciągnął z zimną krwią:

— A rozumie się 10 tysięcy czątych i to z kredką, a główką, zaledwie wystarczą, gdyż potrzeba dla kasztelanica i dworu stosownego i ekwipaży, i o garderobie pomyśleć, rozumie się wszystko według rangi i dostojeństwa, bo to nie podstarościc jakiś w świat wyrusza, a samo przez się że nieraz będzie musiał otrzeć się o dwory magnackie i książęce, a kto wie może i królewskie.

Kasztelan patrzał z niepewnością i niedowierzaniem w oczy żydowi, a na końcu rzekł spokojnie:

— Mówisz jakby z księgi, a przynajmniej jakbyś miał w zanadrzu one 10 tysięcy.

— A zkądże wiedzieć, może i mam?

Kasztelan patrzył niedowierzająco w oczy żydowi, jakby zwątpił o jego zmysłach, w końcu się ozwał:

— Słuchaj, stary Srulu, dotąd poczytywałem cię za rozumnego człowieka, teraz nie wiem jak trzymać o tobie, gadasz ze mną jak z dzieckiem lub prawisz jakieś talmudy.

— Nie pójdziemy z jegomością do rabina, żeby nam te talmudy wyjaśnił, a krótko powiem, że ja dla jw. pana dostanę jeszcze te 10 tysięcy czątych.

— Co mówisz? zawołał żwawo kasztelan, przysuwając się raźno do żyda, a już nogą podagryczną, którą wlókł za sobą, śmielej stanął, dodając z zapałem:

— A wiesz, dziesięć tysięcy czerwonych złotych to nie kpina, możnaby i syna wyprawić i cośby się okroiło choć na jeden kulig!

— Co to, z wielkiem przeproszeniem jegomości — przerwał żyd zgięty do ziemi zdejmując jarmułkę z głowy — ale owe dziesięć tysięcy możnaby dostać na rzecz samego tylko pana kasztelanica i na cel jego podroży.

— Cóż to ty żydzie, parchu, w impozycye się bawisz i uczysz mnie co mam robić? a wara!

Wrzasnął kasztelan pieniąc się od gniewu.

Żyd co rychlej pochwyciwszy za klamkę i wysadziwszy połowę korpusu za drzwi, cichym, nieśmiałym głosem wyszeptał:

— Przepraszam najuniżeniej honor pański, w targu nie ma gniewu.

I już miał drzwi za sobą zamknąć, gdy kasztelan chłonąc, ozwał się:

— Głupiś stary, co tam się w strachy bawisz, znamy się nie od dziś. Tylkoż widzi mi się, że mnie okłamujesz, bo któż lepiej zna moje interesa od ciebie. Toć na tę całą mechanikę exdywizyi, tradycyi, kollokacyi i temu podobnej szatańskiej machinacyi, która się dzieje z moją fortuną, nietylko dziesięciu tysięcy czerwonych złotych, ale nawet 5 złamanych halerzy nikt nie da.

— Na co to długie gadanie, kiedy ja mówię że pieniądze będą, to będą — odparł żyd sucho, nabierając fantazyi i śmiałości.

Pan zamyślony i milczący, przechadzał się tylko po komnacie szerokim krokiem, o ile na to podagra dozwalała, a nakoniec przystanąwszy przed żydem, spojrzał mu bystro w oczy, pytając:

— I kijże djabeł może mi dać pieniędzy, nie pojmuję? Chyba ty żydzie chcesz się ze mną zabawiać we wspaniałomyślność. Czy myślisz że ja od ciebiebym przyjął? nie mówię gdyby tam jaki szlachcic, ale...

— Żyd nie człowiek — przerwał z ironią Srul — ale niech się jegomość nie boi, bo ja nie król Salomon, żebym z próżnego nalewał, myśmy z jw. panem przekuligowali co tylko mogli, ale niech to będzie niewymownem, bo różnie się zdarza na świecie.

— Ale do stu katów!—przerwał w pasyi kasztelan—przestańże już być Sfinksem i raz powiedz, kto daje, za co i na co?

— Gałuszyński — krótko wymówił żyd.

Kasztelan aż padł na krzesło, a chwyciwszy zbolałą nogę, pieniąc się jąkał ze złością:

— Co, ten łotr! kauzyperda! który na mnie naprowadził całą zgraję exdywizorów, co mi wydarł fortunę, którego psami zaszczuję, każę powiesić, i on śmie?

— Przepraszam honor pański, kiedy się jw. panu nie

podoba, to on już nie nie śmie — wyszeptał wylękniony żyd prawie za drzwiami.

— Głupiś! wróć! rozkazał nieco spokojniej kasztelan.

Żyd zajął pokorne stanowisko u progu; pan tymczasem stopniowo się wysapywał.

— Anoż pytam się ciebie — ozwał się po czasie — jak mi śmiał ten huncwot Gałuszyński czynić jakąbądź propozycyę.

— To on właściwie nie jw. panu, ale tylko panu kasztelanicowi — odparł żyd drżący, oblewając się zimnym potem.

— Kasztelanicowi? więc ten nikczemny już umarza mnie, kiedy jeszcze na ziemi stoję i traktuje z moim sukcesorem... ja mu żebra połamię, a raczej każę połamać, bobym takiej nikczemnej gadziny nie tknął się uczciwą ręką! — z wściekłością wrzeszczał kasztelan.

Żyd biedny drżał i bladł, widząc w jakie popadł praszczęta.

— Cóż to, czyli ja już nie żyję, może pochowaliście mnie na waszym żydowskim kirkucie, że razem z Gałuszyńskim traktujecie mnie jak nieboszczyka? A może i kasztelanica do tej uczciwej imprezy wciągnęliście? Zrobię od niego wyrok przed aktami, zaniosę manifest i wyrzeknę się takiego syna, co z żydami i kauzyperdami przeciw ojcu się zmawia — wołał kasztelan miotając się we wzrastającej pasyi.

Im bardziej pan się gniewał, tem bardziej żyd nabierał animuszu i śmiałości, a gdy dał kasztelanowi wysapać się, a dość nawyrzekać i naprzeklinać, ozwał się spokojnie i kategorycznie:

— Naprzód powiem jegomości, że Gałuszyński od tego palestrant, żeby ludźmi wichrzył, a powiesić go nie mo-

żna, bo on po śmierci jeszcze pozwie i uczciwszy honor pański, gardło jw. pana choć senatorskie, gotów wziąć.

— Cha! cha! a jakby to on huncwot porywał, chciałbym to widzieć? rozśmiał się kasztelan na całe gardło i dodał:

— Ano, więc cóż dalej?

Żydowi tylko chodziło o to aby pana rozśmieszyć, bo sam dowcipny cenił kasztelan dowcip u drugich; śmielej więc Srul już mówił:

— Co do pana kasztelanica, zaręczam jegomości, że on nic nie wie iż tu o niego idzie, polując sobie z panem francuzem.

— Otóż to polowanie, wiem ja coś o tem, odbywa się na różną zwierzynę, nietylko czworonożną; panicz bąki zbija, umizga się do ekonomówien, a wszystko to nicpotem.

— Nabiera pan kasztelanic doświadczenia, kto wie na co się to potem przyda.

— Ano ciekawym, co ten łotr Gałuszyński myśli i jakie nowe szelmostwo chce kupić za one tysiące?

— Czysta rzecz, sprzedał jw. pana eksdywizorom, a teraz ich sprzedaje jegomości.

— A to jak?

— Gałuszyński chce nabyć jegomości prawa dziedziczne.

— Które psu na budę się nie zdały.

— Ale on za nie daje pieniądze, to już jego rzecz.

— Kiedy tak, nie oddam od 20,000, dukatów bo onby kota w worku nie kupował — przemówił kasztelan jakby miarkując się.

— Dla jw. pana już prawa dziedzictwa nic niewarte, bo jegomość wszystko zaakceptował, za posiadanie tej jednej wioski w dożywocie, przeciw któremu Gałuszyński wystąpi, jeżeli się jegomość na tę jego propozycyę nie zgo-

dzi, a jak zacznie wichrzyć, bo już mnóstwo nowych powynajdował kredytów, to gotów i z tego wyeksmitować.

— Wprzód łeb szelmie roztrzaskam! wrzasnął kasztelan w pasyi.

— Alboż on głupi łba jegomości nadstawić, a w sądzie to on będzie cały i wszystko zrobi jak mu się zechce.

— Cóż mu tedy po tem mojem dziedzictwie?

— Jeżeli, jak stawia warunek, kasztelanic na rzecz jego zrzecze się prawa sukcesyi, on wtedy pogada z kredytorami, zakolokuje ich na groblach, karczmach, zrębach i nieużytkach i będzie zczasem dziedzicem całych dóbr jw. pana...

— Co ty łajdaku żydzie! będziesz się zmawiał z jurami na moje wydziedziczenie, precz!

Wrzasnął kasztelan podchodząc do kapelmistrza z pięściami, o tyle szybko, na ile na to podagra pozwalała.

Przezorny żyd, nie oczekując na skutki gniewu pańskiego, co rychlej wyniósł się z komnaty.

* * *

W parę godzin po tej katastrofie, stary kapelmistrz z rozkazu pańskiego, na paluszkach, z miną pełną pokory, a pochyloną głową, wsuwał się znów pocichutku do komnaty. Rzecz to dla starego żyda była do przewidzenia, bo od pół wieku, odkąd znosił fantazye pańskie, zawsze po burzach jaśniało promienniej słońce łaski kasztelańskiej.

Wsunął się tedy stary żydowina i swoim zwyczajem przyrósł do progu. Pan kasztelan sztykulał tymczasem wzdłuż i wszersz komnaty, starając się wzrokowi nadać jak można najwięcej słodyczy, nakoniec rzekł łagodnie:

— Siadajno, stary.

Był to zwykły wstęp do pogody na pańskim zachmurzonym horyzoncie.

Końcem uskutecznienia tej łaski stał przy progu prosty, podlejszy stołek, bez złoconych poręczy, drylichem okryty, którego brzeżka żyd się ledwo uczepił, po głębokim pokłonie.

Pan ciągle przechadzał się pochrząkując, widocznie nie wiedział od czego zawiązać przerwaną rozmowę.

— Hm! hm! a co tam u was w kalendarzu piszą, pewnie niepogoda?

— Z przeproszeniem honoru pańskiego, kalendarz nasz obiecuje przydłuższą pogodę.

— Ano proszę, mnie coś w nodze świdruje, widać głupia podagra figluje, bo wasz kalendarz zazwyczaj nie myli.

I znów nastąpiło dłuższe milczenie, przerywane pańskiem chrząkaniem, aż nakoniec zdobył się pan na krok stanowczy, a przystając przed kapelmistrzem, spojrzał nań z przymileniem i rzekł łagodnie:

— Srulu! ażebyś no mi co zagrał.

Żyd podniósł się, przystąpił do pudła stojącego na stoliku, z wielką pieczołowitością wydobył zeń skrzypce i stroić począł, a gdy nastroił, zapytał pokornie:

— A co jw. pan rozkaże?

— A wiesz co, twojego poloneza, coś skomponował na imieniny wojewodzicowej mścisławskiej, mojej córki; tylko od ucha, żwawo!

— Żydowi oczy zaśmiały się do skrzypców, które już zarzucił i u pana złożył i dla niego tylko grywał na te ciężkie czasy. Zagrzmiał poloneza, aż się iskry sypały. A kasztelan sztykulając sobie w takt po komnacie, nabierał fantazyi, głowę podnosił, prostował figurę, przeginał się, w boki się podpierał, jakby prowadził poloneza w sto par.

I grajek i tancerz, obaj zgrzybiali, zapomnieli o świe-

cie, zabaczyli dawnych uraz, nie wiedzieli gdzie są, co się z nimi dzieje. To uśmiech przebiegał im po licu, to oczy mgliły się dawnem wspomnieniem i takby to oni zaciągnęli tę swoją uciechę do końca świata, bo było im jakoś wesoło i młodo; aliści ból, ta ujemna strona ludzkości, panująca nad każdą rozkoszą, zachwyt starców przerwała; pierwszy kasztelan, zmordowawszy nogę, przystanął oparty o ścianę, żyd spojrzał nań wzrokiem kompasyi.

Obaj starzy westchnęli jednem głębokiem westchnieniem, przez które cały ciężki żal za minioną przeszłością wypowiedzieli.

Kasztelan, o ile mógł najspieszniej podbiegł z rozwartemi ramiony do kapelmistrza, lecz zbliżając się doń nagle się zmiarkował, jakby zesztywniał, i poklepał go tylko po ramieniu, mówiąc:

— A wiesz co, Srulku, gdybyś nie był żydem, tobym cię setnie uściskał. Hej! hej! gdzie to te czasy, kiedyś ty komponował polonezy, a jam je prowadził?

I już lody były przełamane, a burza zalana obfitą rosą łaski pańskiej.

— A cóż ty powiadałeś o tym kauzyperdzie Gałuszyńskim? — spytał pan niby od niechcenia, prawie nieśmiało.

— Na co tego gadania, kiedy ono jw. panu nie do spodoby — odparł z pokorą zapytany.

— Tak, ale z prostej ciekawości chciałbym wiedzieć, coby to było, gdybym na propozycyę tego jura przystał?

— Ale kiedy jegomość znowu się nagniewa.

— Mów śmiało, przecie nie wchodzę z tym gryzipiórkiem w żadne konszachty, a tak jak powiedziałem z prostej ciekawości, coby z tego wynikło gdybym ciebie posłuchał?

— Kiedy jegomość każe, to powiem coby z tego było, jak pojmuję moim żydowskim rozumem — rozpoczął żyd

ośmielony. Najprzód pan kasztelanic poszedłby w świat szukać karyery, do czego już wielki czas.

— Oj, czas, czas! — westchnął kasztelan pocichu.

— Potem jw. pan miałby dożywocie tej wioski zapewnione.

— A potem co? — przerwał kasztelan.

— A potem co się Bogu spodoba — wtrącił pobożnie żyd.

— Ale cóż dzieciom po sobie zostawię—wrzasnął pan rozgorączkowany.

— Przepraszam honor pański, ale możeby lepiej o tem nie mówić; niech się zdaje że Gałuszyńskiego nie ma na świecie — wycedził żyd z pewną drżączką.

— No, no, mów, bo widzisz ja to z prostej ciekawości, wszakże do układów nie przystępuję — ozwał się kasztelan umitygowany.

— Kiedy jw. pan każe, to powiem, że po najdłuższem życiu jegomości, nic kasztelanicowi nie zostanie oprócz długów i spraw, które nie będzie o czem prowadzić, a tymczasem wiek młody, najpiękniejszy, strawi na niczem. A kto jeszcze wie, gdy Gałuszyński rozpocznie sprawę o pańskie dożywocie, on przegrywać nie zwykł, a *my* się bronić nie mamy o czem.

Owego „my“ używał żyd w chwilach szczerego wylania z panem, co najbardziej kasztelana zastanowiło.

— Nie ma o czem — rzekł smutno z westchnieniem i wpadł w zamyślenie, które że zawsze dobrze omenowało, żyd go nie przerywał i po chwili rzekł kasztelan:

— Ale cóż będzie z wojewodziną mścisławską, wiana żadnego nie wzięła, prócz jakiej takiej wyprawy... jakoś mi wstyd.

— Nie wzięła to i nie weźmie, bo nie ma z czego, zresztą ona wielka pani, a mąż jej ewikcyę zapisał.

— Ale nic nie dostał — mruknął kasztelan, jakby głośno pomyślał, a przysuwając się bliżej do żyda, położył mu rękę na ramieniu, spojrzał bystro w oczy i spytał:

— A ty cobyś robił na mojem miejscu?

— Przyjąłbym propozycyę Gałuszyńskiego i kasztelanica w świat wyprawił, póki czas.

— A z nami co będzie?

— Co Bóg zdarzy. Ot, będę jegomości grał na skrzypcach od czasu do czasu, a jeszcze na odjazd panicza skomponuję ostatniego rarytnego poloneza.

— Skomponujesz poloneza — zawołał kasztelan z zaiskrzonemi oczyma.

— Nawet i marsza.

— Ale przedkimże go wykonamy?

— Przed jegomością tu na skrzypcach.

— Ba! tak pocichutku!

Myślał, myślał kasztelan, sztykulał po komnacie i mruczał:

— Prawda że to czas wielki dla Ksawerego, pleśnieje tylko pomiędzy tą drobną szlachtą, a chłop dorodny jest, a gładki, dowcipny i przedsiębierczy, łatwo coś sobie zdobędzie w świecie. Ba! czego to człek dla dzieci nie poświęci. Ale słuchajno Srulu, co z nami będzie?

— A cóż ma być, jegomość będzie Boga chwalił w kościele, a ja w swojej bóżnicy, prosząc aby dzieciom naszym dawał zdrowie i pomyślność i dożyjemy sobie, ile Bóg przeznaczył.

— Cóż ty z twoim synem zamyslasz?

— Jak mówiłem jegomości, mego syna oddam kasztelanicowi.

— Przecie mój syn karczmy nie ma.

— Czyliż to proszę jw. pana, po za karczmą dla żyda nie ma świata? Przecie z łaski pańskiej mój Srul ma edu-

kacyę, tak czy owak będzie służył kasztelanicowi, to jego powinność i przeznaczenie, a zczasem, na starość, i dla niego karczma się znajdzie.

— Nie urażaj się, Srulu, ale trudno abym żyda przywiązał do dworu mojego syna, cóżby na to ludzie powiedzieli?

— Do dworu, nie do dworu, a on sobie pociągnie za kasztelanicem choć zdaleka i nieraz może mu stanie w przygodzie, a ma na to rozum, żeby się usunąć i pana nie skompromitować. Kasztelanic tyle łaskaw na mojego Srula i sam powiada, że się bez niego w świat nie ruszy. A kiedy Bóg nas z jw. państwem połączył w kilku pokoleniach, a nie zginęliśmy, choć tam różnie bywało, na co się to rozdzielać?

— Ależ ty się osamotnisz nieboraku — wyrzekł ze współczuciem kasztelan.

— Nie na to Bóg daje dzieci, żeby się człek niemi bawił jak cackiem do śmierci. Zresztą przepraszam za śmiałe porównanie, ale moje córki z łaski Boga dobrze postanowione, tak jak jegomości, syna jedynaka polecam w łaskę kasztelanica, a sam na karczemce końca doczekam.

— Niech i tak będzie, twój Srul roztropny i żwawy chłopak, a przywiązany do kasztelanica, zdać mu się może. Zatem kończ z Gałuszyńskim, tylkoż tak żebym go na oczy nie widział.

— Jw. pan może ustanowić swego prokuratora, wynajdę kogoś porządnego z winnickiej palestry.

— Ha! nie ma co, jedź jutro do grodu!

Z nagłą decyzyą przemówił kasztelan.

Żyd rad że na swojem postawił, po głębokich pokłonach, już spiesznie się wycofywał, z obawy aby pan nie zmienił przedsięwzięcia, gdy kasztelan go powstrzymał:

— Srulu, trzeba będzie potem zająć się wyekwipowa-

niem kasztelanica, ale pamiętaj, że bez uczty pożegnalnej dla sąsiadów i łaskawych trudno mi syna wyprawić; już twoja w tem głowa, aby się okroiło jakie 1,000 czerwonych złotych.

Na to dictum biedny żyd zapuścił rękę pod krymkę i w głowę się podrapał.

— Jw. panie, tyle wydatków dla panicza!

— A między niemi ten nieodzowny, od niego nie odstąpię, kręć sobie łbem i drap się ile ci się tylko podoba, a jeszcze raz w życiu zahulamy — *dixi!* — zakończył stanowczo kasztelan, coraz żwawiej podrygując podagrycznemi nogami.

* * *

Gwoli zwięzłości, opowiemy pobieżnie co się dalej stało: Srul rozumiejąc, iż z kasztelanem kuć trzeba żelazo póki gorące, nazajutrz równo ze dniem wyruszył do pobliskiego grodu, wyszukał tam jakiegoś poczciwego prokuratora dla kasztelana, a jako do chorego, na trzeci dzień przywiózł podsędka z księgą aktową dla oblatowania prokuracyi. Kasztelanic, któremu pilno było wymknąć się z zaciszy domowej w świat szeroki, ochotnie zrzekł się tego mniemanego spadku i znów stary Srul wyruszył i w dni kilka wrócił z pieniędzmi. Kasztelanowi przyrzekł najsolenniej, że uczta będzie suta, a głośna na cały świat, sam tymczasem z kasztelanicem Ksawerym udał się do znaczniejszych naówczas miast Humania, Winnicy i t. d. dla zakupna broni i wszystkiego, co do opatrzenia puszczającego się w świat młodego kawalera było potrzebnem. A poczynał sobie „z główką i kredką“ jak powiadają, ażeby się z tego wszystkiego coś okroiło na ucztę kasztelańską i aby panicza z gołemi rękami nie puścić.

Wszystkiemu podołał zręczny żyd, a w parę niedziel już zadziwił kasztelana nowym polonezem i marszem; był to mistrza śpiew łabędzi, w który gdy się wsłuchał kasztelan, rady sobie dać nie mógł: to płakał, to śmiał się. A cóż dopiero gdy na uczcie, która wspaniałością uwieńczyła koniec dzieła kasztelana, stary poprowadził sam w pierwszą parę tego poloneza po raz ostatni; odmłodniał i podagrę jakby przez okno wyrzucił. I dobrze mu z tem było,—był to również śpiew łabędzi jego sławnych hulanek.

Tak tedy gracko się uwinął stary kapelmistrz, że w parę tygodni od powzięcia zamiaru, już obaj ojcowie, kasztelan i Srul, swoich synów razem puszczających się w drogę błogosławili każdy na swój sposób, pierwszy krzyżem św., drugi zlewał nań błogosławieństwa patryarchów starego przymierza, a każdy ze łzą w oku i z sercem ściśnionem, albowiem już ich oglądać nie mieli.

Ażeby ze starymi skończyć, stało się jako Srul przepowiedział, że w samotności modlili się o pomyślność synów, którzy wspólnie w świat się puścili; czasem pocieszali się starzy wspomnieniami świetniejszych czasów, jeden wygrywał polonezy na skrzypcach, a drugi podrygiwał podagrycznemi nogami i tak wspólnie się pocieszając w lat kilka spoczęli w grobie.

* * *

Tyle o przodkach, teraz wyłącznie zajmiemy się potomkami, istnymi bohaterami naszej opowieści.

Nie wiem jakby teraźniejsi sobie postąpili, ale my pragnąc zachować cechę epoki, którą opisujemy, skoro sprawa z szlachcicem i żydem, poczniemy ówczesnym hierarchicznym porządkiem od szlachcica: Kasztelanic, wybierający się nietylko z domu rodzicielskiego, ale i z gniazda

rodzinnego, którego się zrzekł razem z prawem spadku, lubo dostatnio na stan swój a może i nad stan, opatrzony na onę daleką drogę w cztery strony świata, zawsze jednak wyruszał z tą abnegacyą starożytnych filozofów *„omnia mea mecum porto“.* Wszystko zaś było przed nim, nic zaś po za sobą nie zostawiał.

Był to zaprawdę czas na zdobywanie karyer wielce sposobny; dorabiali się ludzie wiele i fortun i znaczenia; wtedy to jeszcze wierzono szeroko, iż *audaces fortuna juvat“.* I kasztelanic był prawdziwem dzieckiem swojego czasu, chował się w szkole swojego ojca — innej pono nie zaznał — pochwyciwszy dowcip i jowialność rodzica, spotęgował ją jeszcze bystrym naturalnym rozumem i przez ogładę francuzką zatarł nieco ową szorstkość rubaszną szlachecką, którą posiadał ojciec, starej daty saskich czasów hulaka.

Pomimo swobodnego a niekrępowanego życia za młodu, nauczony przykładem ojca, spojrzał w świat trzeźwiej i wyrobił w sobie zasadę przeciwną przekonaniom rodzica, iż wprzód trzeba wydobyć, a potem użyć, i szedł naprzód z tą pewnością zdobywcy, która swoich zwolenników nie zawodzi.

Nareszcie co do zalet zewnętrznych i wewnętrznych posiadał wszystko to, co w owe czasy „popłacało“ dla karyerowiczów: piękną postawę, wiarę w siebie posuniętą do zuchwalstwa, dokładną znajomość paru europejskich języków, tęgo bił się w pałasze, strzelał do tuzów. Względem kobiet czuły bez zapału, śmiały a przedsiębierczy, bowiem jeszcze z pod domowej strzechy praktykował zalotność, jakby powiedzieć *in anima vili*, na drobnych szlachciankach i ekonomównach, które odjazd tego adonisa pozostawiał zatopione we łzach, z załamanemi rękoma.

Dość na tem, że nie podajemy w wątpliwość przezor-

ności starego Srula, który swojego jedynaka uczepił do tego wozu karyery kasztelanica. Niewiadomo zresztą, na czem zasadzał swoje wnioski, ale że onego czasu wierzono jeszcze w nieomylność kabał, wróżbitów itp., jeden z nich przepowiedział młodemu jeszcze kasztelanicowi w dzieciństwie, rychłe osiągnięcie najwyższych godności. Zapewne posiadać musiał młodzieniec jakoweś zadatki świetnej przyszłości, kiedy stary przezorny żyd, rzucił z nim razem syna jedynaka na one bystre wody niepewności.

* * *

Z całej dynastyi saskiej, panującej u nas przeszło pół wieku, niezawodnie najwięcej polskości, szlacheckiego zakroju i rycerskiego awanturniczego ducha posiadał książe Karol, syn Augusta III, który właśnie tentował wtedy o księztwo Kurlandzkie, kiedy kasztelanic puszczał się na nieznane przestrzenie karyery. Karol, po wygnaniu księcia Ernesta Birona na Sybir, mając za sobą Cesarzowę Elżbietę, starał się właśnie u szlachty kurlandzkiej o wybór na tron wakujący i przebiegał z Petersburga do Mitawy, aby sukcesem swoje zamiary uwieńczyć.

Chodziło zapewne księciu o dostojeństwo, szukał w tem karyery, ale już to i chleba, jak i kasztelanic bracławski. Karol był bowiem trzecim synem królewskim, a miał dziesięcioro rodzeństwa, co na Saksonię, którą już wówczas Fryderyk pruski dobrze szarpnął w siedmioletniej wojnie, stosunkowo mogło się porównać z pozycyą młodego Branickiego. Rozumie się, że król jako ojciec popierał sprawę wyboru syna, ale i stany rzeczypospolitej były za nim, już dla tego samego iż książe więcej był polakiem niż niemcem, tak z usposobienia jako i charakteru: otwarty, rycerski, awanturnik, dostępny a nienadęty, więcej przy-

pominał usposobieniem dziada Augusta mocnego, a nic nie wziął z cichości ojca i dewocyi matczynej.

Garnęła się szlachta do niego, smakując sobie w jego rycerskiej fantazyi i animuszu, większość szukająca karyery, pragnęła stać się satelitami nowo wschodzącej jasnej gwiazdy. Dwór liczny przyszłego księcia, który jeszcze niecałkiem pewien był obioru, ogromnie przeciążał jego szczupłe dochody, bo gnębiona wojną Saksonia niewiele mogła łożyć i dostarczać, a tymczasem książe nie mógł się opędzić nowonapływającym, którzy, co gorsza, bez własnego sumptu przybywali. Już to na tym dworze ci co się dawniej osiedzieli, nie doznawali wielkich rozkoszy, ale bywało „choć goło, ale wesoło“ a trzymali się więcej poglądając na przyszłe świetne ekspektatywy i z miłości dla samego Karola, jednającego wszystkich serdecznością i popularnem obejściem; atoli ze smutnej ostateczności, ażeby w końcu głodną śmiercią nie zamrzeć, ustaleni już kortezanie całemi siłami odpychali nowych intruzów, książe zaś postanowił nowemi nabytkami nie zwiększać dworu, t. j. nie obciążać chudej kieszeni.

A właśnie było to wtedy, kiedy kasztelanic z gniazda rodzicielskiego wyparty, rozejrzawszy się na cztery strony świata, umyślił nową swoją karyerę rozegrzać przy tem nowo wschodzącem słońcu i wprost pociągnął do Mitawy.

Rezydencya książęca w Mitawie wcale nie wyglądała na dwór panującego lub księcia krwi; była to sobie raczej gospoda, gdzie każdy wchodził i wychodził swobodnie, bez meldunków i dworskich ceremoniałów: ten się posilał i koił pragnienie czem Bóg dał, ów szedł na łowy, psy układał, konie ujeżdżał inni krzesali się w rapiry, strzelali do tarczy słowem każdy zabawiał się po swej woli, a był to raczej obóz niźli dwór książęcy; nikomu nie składano hołdów, nikt też o nie się nie dobijał.

Był to właśnie czas, gdy już książe odprawił siła aspirantów od przyszłego swojego dworu, kiedy kasztelanic szumno a dworno podjechał do rezydencyi książęcej. Dzień to był do łowów sposobny, zatem dwór cały wyruszył w pole, książe z jakiejś racyi pozostał w domu, w otoczeniu zaledwie kilku dworzan, którzy nie mieli zwyczaju bronić dostępu do pana; a właśnie on był markotny, bo sukurs, jakkolwiek szczupły, z Saksonii nie nadchodził, cale zaś nie myślał o zwiększeniu dworu, owszem suszył głowę jak istniejący utrzymać — kiedy właśnie w tej niefortunnej chwili stawił się przed nim w paradnym stroju przybyły.

Zmierzył go książe niechętnem okiem, a ozwał się sucho:

— Co zacz?

Na tę ostrą mowę, oblany jakby zimną wodą na wstępie, młodzieniec zmienił postawę pokorną i submisyjną i równie ostro wyrzekł:

— Branicki, kasztelanic bracławski!

Książe lubo popularny, jednak w gronie kurtyzantów nienawykły do tonu impozycyi i lekceważenia, zmierzył zuchwalca surowym wzrokiem i z pozorną grzecznością wymówił:

— Jeżeli waćpanu chodzi o zaliczenie w komput moich dworzan, to uprzedzam że jest ich komplet i wakansu nie ma.

Po tych słowach chciał zbyć natręta zimnym, ale grzecznym ukłonem. Wszakże przybyły nie dawał tak prędko za wygranę i wpadając w ton księcia, rąbał z góry:

— W. książęcą mość mylnie co do mnie poinformowano, mam bowiem swój dwór, a dotąd niczyim dworzaninem i *dworakiem* nie byłem i tego zaszczytu się nie dobijam.

— A więc jakiej szczęśliwej okazyi mam przypisać łaskawe odwiedziny imćpana kasztelanica?

Spytał książe coraz bardziej zdziwiony, z wymuszoną grzecznością.

— Stawię się w celu złożenia submisyi w. książącej mości, jako mojemu królewiczowi, mając dłuższy czas zabawić w tem mieście, w celu attentowania o wybór na księztwo kurlandzkie.

Książe na to niespodziane wystąpienie cofnął się o parę kroków, spojrzał uważniej w oczy przybyszowi, jakby badał stan jego zmysłów, a dalej szła pomiędzy nimi rozmowa dość sucha i urywana:

— Posiadasz waść zapewne do tej godności jakoweś tytuły i prawa?

— Samo przez się i bardzo poważne, bowiem jako szlachcic i przez samo urodzenie, mam prawo do korony królewskiej.

— Która niezawodnie nie minie waćpana po najdłuższem życiu króla imci, mego najmiłościwszego ojca — odparł książe z przekąsem.

— Natenczas nie omieszkam udzielić księciu imci inwestytury na księztwo kurlandzkie, jeżeli go tylko obiorą; z warunkiem wszakże, abyś w. książęca mość był grzeczniejszym dla szlachty, przybywającej dla złożenia mu swojej attencyi. Przyczem mam zaszczyt submitować się księciu imci.

Po tych słowach oddawszy gospodarzowi należny, atoli zimny pokłon już się miał ku drzwiom, kiedy książe spostrzegłszy się, iż uchybił prawu gościnności względem przybyłego, a był z natury i wychowania pełen galanteryi, zastąpiwszy drogę gościowi i ujmując go zlekka, przyjaźnie za ramię, przemówił ze słodyczą uprzejmie:

— Wybacz panie bracie, iżem nie odpowiedział go-

dnie zaszczytowi, który mnie spotyka przez wasze odwiedziny i na dowód, że nie chowasz dla mnie rankoru za moją lekkomyślność, racz podzielić ze mną chleb i sól, nim się spotkamy jako antagoniści na polu elekcyjnem na księztwo kurlandzkie.

Zakończył żartobliwie. Wszakże ona słodycz i uprzejmość cechujące księcia, nie rozbroiły kasztelanica, który od młodości był impetyk niepohamowany.

— Umiem cenić zaszczyt jaki mnie spotyka, lecz daruj w. książęca mość, iż go przyjąć nie mogę, a to z tej obawy, abym kogobądź nie odjadł z tego wielkiego kompletu dworu książącego.

Odparł z ironią Branicki, pokłonił się i znów ku drzwiom zmierzał.

Karol przy całej galanteryi, jaką posiadał, bywał także porywczy, a więc z animozyą i impetem zastępując mu drogę ode drzwi, z rezonem czysto szlacheckim zawołał:

— A kiedy mospanie nie chcesz wypitki, którąć ze szczerego serca ofiaruję, może wybitka będzie ci lepiej smakować?

Branicki stanął na to jak wryty. Chociaż był gracz w pałasze a tchórzem nie podszyt, jednak takiej konkluzyi nie przewidywał.

— A cóż, czy ani jedno, ani drugie nie smakuje waszmości? urągał dalej książe.

— Owszem drugie i smakuje i zaszczyca, atoli bacząc na dyferencyę naszych stanów, bo w. książęca mość jesteś mi królewiczem, a jam mizerny młokos, nie mam nawet własnego tytułu, a ojcowskim się przyozdabiam.

Rzekł Branicki oprzytomniały a z submisyą.

— Ej, furda królewicz! — prawił książe rubasznie — przecie sam mówiłeś że masz być królem, zatem teraźniej-

szy królewicz tyle waży co przyszły król, a coś mi się wszystko widzi żeś walny chłop i tniesz od ucha!

Nie czekając odpowiedzi chwycił książe kasztelanica pod rękę i wprowadził do przyległej sali, będącej zbrojownią. Dokoła na ścianach ułożona była w armaturach broń przeróżna, a w odstępach po parze szabel na krzyż złożonych.

Ukazując je gościowi, książe rzekł z uprzejmością:

— Mości kasztelanicu, którą parę obrać raczysz?

A gdy ten machinalnie wskazał pierwszą lepszą, książe zdejmując ją ze ściany, złożył na krzyż rycerskim obyczajem, zwracając furdymentami do gościa i rzekł z pokłonem:

— Broń dla was, zaszczyt dla mnie!

Nim się złożyli, książe jeszcze raz przemówił:

— Prawda, nie mamy świadków, zastąpi nam ich honor rycerski, który nas ochroni od wszelakich podstępów. Poczynajmy jeśli łaska!

Złożyli się.

Obaj byli gracze pierwszej ręki. Książe, zasłaniając się i nacierając z równą zręcznością, ciągle przemawiał:

— Ależ z waści gracz! takiego jak żyję nie widziałem!

Dziwna to była rozprawa. Dwaj szermierze nie czując do siebie urazy ani złości, spoglądali na siebie swobodnie i przyjaźnie; nie kipiały w nich ani zawiść ani chęć uszkodzenia jeden drugiemu, a patrząc na nich, rzekłbyś iż dwaj szkolarze idą o lepszą w palcaty. Bili się już niemal z godzinę, a żaden nie był draśnięty. Nikt też im nie przeszkadzał; służba była przyzwyczajona do szczęku broni, bo książe nie z jednym całemi godzinami wprawiał się na rapiry i nikomu wtedy wejść nie było wolno.

— Panie bracie — ozwie się książe — nie oszczędzaj

mnie, boś lepszy gracz odemnie, albo cię płatnę bo już cierpliwość tracę.

Branicki, który lubo był gorączka, lecz w starciach z bronią krew zimną odzyskiwał, bił się ciągle.

— Strzeż ramienia — zawołał książe już z niejaką irytacyą.

Branicki właśnie nie zasłonił, przeciwnik natarł, krew z ramienia trysnęła, co widząc książe rzucił pałasz, a podbiegając do kasztelanica, rzekł z troskliwością:

— Wybacz panie bracie, ale to nie moja wina; sameś tego chciał, nie chowajże mi rankoru!

To mówiąc opatrywał lekką wprawdzie ranę, własną chustką zawiązał, a kasztelanic mówił z zapałem:

— Nietylko rankoru nie chowam, ale wieczną wdzięczność, albowiem pierwsza rana z tak szlachetnej ręki, to zaszczyt na całe życie i dobry omen na przyszłość; w. książęca mość pasowałeś mnie na rycerza.

Już sam ten komplement znamionował w młodzieńcu przyszłego dworaka. Książe też widocznie uprzejmie go przyjąwszy, tymczasem troskał się około rany, a przekonawszy się iż była w rzeczy lekkiem tylko draśnięciem, powiedział:

— Za waćpanem prawo odwetu; rozpoczniemy kiedy się podoba nanowo, tylkoż daj mi parol, że mnie płatniesz co się zowie.

— Krew w. książęcej mości na szlachetniejsze cele stworzona, ale nie na to, żeby ją bez dobrej racyi przelewać dla czczej fantazyi.

— Więc nie chcesz mnie bić?

— Nie — odparł stanowczo Branicki.

— To mnie uściskaj! — rzekł książe, padając adwersarzowi w ramiona i wołał w uniesieniu:

— Jak honor kocham, takiegom gracza od kiedym żyw, nie widział:

Po tych słowach książe zdejmując ze ściany jedną z piękniejszych szabel bogato kameryzowaną, wręczył kasztelanicowi przy szczerej alokucyi:

— W lepsze ręce nie mogę złożyć tej broni, niech ona będzie wieczną pamiątką tej naszej przyjacielskiej rozprawy.

— Dzień to dziś najpamiętniejszy w mojem życiu — zawołał z zapałem młodzieniec szablę do ust przyciskając— broń i rana z rycerskiej ręki, to więcej niż żądać wolno.

Książe chwycił go w ramiona i długim, a serdecznym uściskiem rzecz zakończyli.

— Ale teraz, skorośmy przyjaciele, musisz jedno powiedzieć pod kawalerskim parolem, czyliś mnie oszczędzał? przemówił książe.

— Jeśli w. ks. mość chce się o tem dowiedzieć, weźmy tępe rapiry — odparł kasztelanic ze szczerą a potulną uprzejmością.

— Jak to, tak zaraz, z ręką skaleczoną?

— Bodaj większych guzów człek w życiu nie nabył! Rzekł Branicki zdejmując ze ściany dwa rapiry.

Poczynała się między nimi gra wyższa, w której kasztelanic złożył dowody niepospolitej zręczności, wszystkie cięcia zamówione (à point nommé) wykonywał odrazu, pomimo zręcznej obrony; książe to się irytował, to zachwycał, i tak do późnego wieczora, chociaż pot lał się z nich gradem, przedłużyli tę zabawę. Aż pościągali się dworzanie, a niespokojni, że pan z jakimś nieznajomym bije się od samego rana, wbrew zakazowi wkroczyli do sali. Widząc ich książe zawiesił bój i zawołał:

— Powiadam wam, natrafiłem na gracza, jakiegoście

jeszcze nie widzieli, wszystkich was przez kij przesadzi, Lucyper lepiej się nie bije.

Dalej opowiedział im w szczegółach jak co zaszło.

Szlachta jednak kiwała niedowierzająco głowami, a jeden drugi się ozwał:

— Nie śmiem kontradykować w. ks. mości, ale radbym się z jegomością spróbował.

— Na usługi waszmościów — przemówił uprzejmie Branicki.

— Dajże waść pokój, odłóż to na inny raz, przecieś raniony w rękę — protestował książe.

— To order, ale nie rana, wcale nie boli, a ichmościom służę — ozwał się z galanteryą kasztelanic.

— Ale czasby się i czemś posilić, ta szermierka djable nas przetrawiła — rzekł książe.

— Raczy w. ks. mość dla zwiększenia apetytu dozwolić jeszcze zagrać z tymi ichmościami.

— No, dobrze — odparł książe śmiejąc się — pokażże im kasztelanicu, gdzie raki zimują.

Wpadło ich tam dziesięciu do pańskiej komnaty, a żekdy się naprzód wysuwał, chcąc coprędzej pokonać szermiarza w oczach księcia, który mu nie podołał; wszczął się spór o pierwszeństwo, który książe rozstrzygnął:

— Poczekajcie waćpanowie, bo gotowiście mi zamęczyć najdroższego gościa.

A rzucając kości na stół, dodał:

— Rozegrajcie się w kości o pierwszeństwo, ale na pięciu tylko zezwalam i to do pierwszego cięcia, rozumie się na tępe pałasze.

Stało się zadość tej woli: rzucili kości i po porządku wystąpili. Każdemu kasztelanic dał w okamgnieniu odprawę, a wszystkim na zamówione cięcia; kilkanaście minut trwał ten fechtunek.

Szlachta pokonana, choć jej tam może w duszy było markotno, ale jawnie ściskała Branickiego i obnosiła go w tryumfie.

Nastąpiła uczta, a wesoła, bo książe i wszyscy dworzanie radzi byli gościowi, który we wszem gracko się spisywał, bo oprócz tego że się bił dzielnie, wesół był i dowcipny.

Zasiedli społem do książęcego, ale skromnego stołu; była to uczta chuda, ale suta weselem i humorem. Ożywiał wszystkich gość przez swoją fantazyę i jowialność. Nalewano z pełnego wina i pili sporo, a książe odzywał się za każdym kielichem do gościa:

— Wybaczaj panie bracie, bo to chuda ta moja fara książęca, i czem chata bogata tem rada, ale szczerze.

Już to rozprawiano najszerzej o grze Branickiego i najwięcej pito za jego zdrowie, a gdy już sobie podochocili, ozwie się on:

— Ośmielę się zanieść prośbę do waszej książęcej mości.

— Oho, co tam między nami prośby, przelelişmy razem krew, jedli chleb i sól, a pili wino, więc jako gość masz tu rozkazować, ale nie prosić — odparł książe łaskawie.

— A więc wszystko co uczynię za złe mi książe jegomość nie poczyta?

— Kto się tak bije jak waćpan, nic złego sprawić nie może.

— Skoro łaska książęca mnie upoważnia, oddalę się i za chwilę wrócę.

Książe skinął na znak zezwolenia. Branicki wyszedł, udał się do swojego podróżnego orszaku, który oczekiwał na dziedzińcach zamkowych — niebawem powrócił, a za nim dwaj słudzy w sajetach, suto galonowani; każdy z nich niósł po omszałym gąsiorze.

Przytomni dziwili się tak gąsiorowi jak i sutej barwie sług, boć to wszystk o na dworze książęcym była hołota.

— Ośmielony i upoważniony łaskawą koncesyą, mam zaszczyt przedstawić tu onych parę staruszków, których mi rodzic mój dobrodziej rozkazał włożyć do podróżnego puzdra; nie mogę ich na lepszy użytek obrócić, jak wypić za zdrowie w. ks. mości — przemówił gość z submisyą.

— Oho! — szemrała sobie zadziwiona szlachta — to jakiś niepospolity frant, rąbie się gracko i dwór ma w sutej barwie i wino stuletnie!

I już zaczęli poglądać na niego łaskawiej, nie jak na kompetytora, który miał im z przed nosa łaskę pańską zgarnąć.

Książe zaś prawił uprzejmie:

— Chociaż to niby waćpan mnie konfundujesz, szafując własnem winem pod moim dachem, ale jako dar królewski serdecznie przyjmuję, z kondycyą jednak iż wypijemy na zdrowie przyszłego króla jegomości.

— A jakże to, kiedy nasz najjaśniejszy król żyje i Bóg daj żyć będzie i najmiłościwiej nam panować przez setne lata.

— Co daj Boże amen! ale po najdłuższem życiu mojejego najmiłościwszego ojca, kasztelanic jest kandydat pierwszy do korony.

Rzekł książe żartobliwie, poczem opowiedział przytomnym całą konwersacyę z gościem, która ich wielce ubawiła.

Bez ceremonii raczyli się do późnej nocy winem gościa, który skinął na sługi aby więcej gąsiorów dostarczyli, książe nie gniewał się, bo jak jego dziadek, król August II, lubił dobre wino, szczupłe zaś mitawskie piwnice prędko osuszyli dworzanie.

Jutrzenka zachwyciła biesiadujących przy wesołej

uczcie a kasztelańskich gąsiorach, o podobnych którym na mitawskim zamku słychać nie było. Skoro już mieli zadość, Branicki przypasawszy szablę, dar książęcy, brał się do pożegnania.

— A dokądże to waszmość? — spytał książe zdziwiony.

— Dopełniwszy najmilszego obowiązku złożenia submisyi a do tego z niepomiernej łaski w ks. mości wynosząc dwie najcenniejsze pamiątki, wyruszam w dalszą drogę — przemówił kasztelanic z głębokim pokłonem wskazując na szablę książęcą i ramię obandażowane.

— Tere fere! a cóż to waćpan z gęby cholewę robisz? zawołał książe rubasznie.

— Nie miałem szczęścia pojąć słów w. ks. mości; zda mi się fałszu żadnego nie dopuściłem się.

— I jeszcze się wypierasz! Przecież na wstępie oświadczyłeś, iż przybywasz ubiegać się ze mną o księztwo kurlandzkie, nie odstępuję od zaszczytu posiadania tak dostojnego i miłego antagonisty, gdybym nawet miał na tem szkodować!

Na te słowa księcia powstał śmiech ogólny, któremu sam gość dopomagał, a książe dodał po chwili:

— Chociaż moja rezydencya niebardzo wspaniała, atoli gospody Mitawskie jeszcze lichsze, a więc nim waćpana obiorą na księcia, rozgość się tu u mnie.

Widząc zaś że się kasztelanic kłania z wdzięcznością, dodał książe kordyalnie:

— Na bok wszelkie ceregiele, łamaliśmy ze sobą chleb, a przelaliśmy krew i pili wino, co prawda oboje to ostatnie twoje, więc dla czegóż nam tak prędko po świecie się rozrzucać? Rozgość się tu, miły bracie, jak potrafisz, a jeślić czego nie starczy do wygody, sercem to przyjaznem dopełnię.

Tę mowę serdeczną zakończył książe jeszcze serdeczniejszym uściskiem dla miłego gościa, a wszyscy dworzanie poszli za przykładem pańskim.

I kasztelanic od tej chwili już stał się niezbędnym na dworze książęcym.

* * *

Zamek Mitawski, na malowniczem wzgórzu wzniesiony który książe Karol zamieszkiwał tymczasem jako królewicz, w oczekiwaniu elekcyi i inwestytury na księztwo kurlandzkie, był rozpoczęty przed dwudziestu laty przez księcia Ernesta Birona; lecz że wygnanie jego na Syberyę budowę przerwało (a sam go też po powrocie z wygnania dokończył), miał naówczas jedno skrzydło mieszkalne, co zaledwie starczyło na pomieszczenie księcia z licznym i ciągle zwiększającym się dworem. Sam książe zajął co przedniejsze komnaty, dworzan zaś bez ceremonii ulokował w ruderach. Wszystko, w oczekiwaniu lepszej ekspektatywy, spało pokotem i mieściło się jak było można.

Branickiemu, czy z woli księcia, czy że się przystojniej od innych pokazał a sypnął złotem służbie, dano porządniejszy apartament przy komnatach książęcych, a książe sam odprowadził go i ulokował na nowej siedzibie, której to fatygi względem pospolitych intruzów cale sobie nie zadawał.

* * *

Kasztelanic skoro sam pozostał, zamyślił się głęboko o dziwnych wydarzeniach dnia tego i widocznie rozglądał się po komnacie, jakby szukał kogoś z kimby te wrażenia

mógł podzielić, gdy wtem skrzypnęły cichutko drzwi, a w nie skromnie wkroczyła postać, do której nowy mieszkaniec komnaty uśmiechnął się uprzejmie.

Był to Srul Mordko II, ów sławny flecista, a nie wyzyskując zbytnio niespodzianek dla czytelnika, wyznajmy odrazu, bohater naszej powieści. Że zaś zajęci dotąd wyższemi sferami, tak małośmy o nim powiedzieli, chcąc to nagrodzić poczynamy od powierzchowności przybywającego. Był to mężczyzna w sile wieku, lat dwudziestu przeszło, jak kasztelanic, wysmukły, przy muskularności zdradzającej siłę i zręczność, głowa i twarz zachowująca o tyle estetycznego charakteru wschodniej rasy, ile wdzięk męzki wymagał, odznaczała się niepospolitą męzką pięknością, oko żywe, pełne ognia i zapału, owal oblicza równy i kształtny, okryty delikatnym ciemnym włosem, który mu się ledwie zasiewał. Odziany był po wschodniemu, ale nie owym żydowskim pospolitym sposobem: kaftan grodenaplowy ciemno-niebieski, skrojony nie formą chałata, jakiej żydzi używali, ale raczej kontusik lub czamara, oklejał, że się tak wyrażę, zręczną postawę młodzieńca; pas czarny jedwabny, złotem przetykany, przecinając go jakby na pół, uwydatniał szerokie barki i gibkość całego ciała. Miasto pantofli przy grubych sinych, wełnianych pończochach, powszechnie używanych przez żydów, glancowny jak zwierciadło bucik węgierski, okrywał nogę szeroką u wierzchu, krągłą od kolana, a zakończoną stopą prawdziwie dziecięcą. Na wierzchu głowy rzucona jakby od niechcenia krymka złotem wyszywana, uwydatniała wysokie i myślące czoło, z pod niej wyskakiwały dwa pukle włosów zręcznie zwinięte, lecz nie posiadające owej formy podłużnej tak zwanych „pejsów“. Gdyby nie dolna warga nieco odwinięta na dół, odkrywająca zęby jak dwa pereł sznury, na których spoczywał wiecznie uśmiech jakiś figlarny a ironiczny, nie dostrzegłbyś

tam ani źdźbła semickiego pochodzenia. Najmniejszym szczegółem nie zdradzał owego wrodzonego swoim współwiercom niechlujstwa, które nawet wyrafinowana elegancya, bogactwo i obcowanie w wyższych sferach rzadko przygłuszają, ale nie wykorzeniają ze szczętem; ręce miał białe i delikatne, któreby dawniej nazwano „arystokratycznemi“, dziś zaś niektórzy „próżniaczemi“ zowią. Słowem z całej jego postawy i ruchów wykształconych, możnaby go było poczytać za człowieka wyższego towarzystwa i chyba wielki znawca zwietrzyłby jego pochodzenie.

Kasztelanic na widok przybysza, spotykając go u progu, zawołał uradowany:

— A przecie przybywasz nudziarzu, setnie zatęskniłem za tobą!

To poufałe przyjacielskie powitanie Srul odpłacił pokłonem pełnym uszanowania. Odrazu powiemy, że chociaż kasztelanic traktował go po przyjacielsku, jako kolegę młodości i wychowania, wszakże on nie zdobywał natarczywie tej poufałości i nie wdzierał się w nią, trzymał się zawsze niejako na drugim planie, a zawsze swojemu „paniczowi“, jak go od lat najmłodszych zawsze zwać nawykł, okazywał pewien respekt i powolność, jakie zachowują względem wyższych ludzie dobrego tonu; wszakże z drugiej strony nie była to owa lekkomyślna służalczość starego Srula względem kasztelana. Młodzieniec zdawał się swojem postępowaniem pełnem godności przemawiać do panicza: „szanuję, abym był szanwany“.

Kasztelanic nie zdawał sobie z tego sprawy, lubił go i traktował pokoleżeńsku, a widząc w nim dla siebie afekt niekłamany, odpłacał wzajemnością.

— Usiądźno koleżko, bo co to my mamy do pogadania, ale to powiadam ci baje, androny, o jakich mi się ani śniło... ale posłuchaj!

Usadziwszy go gwałtem przy sobie, rozpoczął znaną nam relacyę z całego dnia, a teraz jak zazwyczaj unikając ciekawego służalców ucha, mówili ze sobą po francuzku.

Srul słuchał opowiadania kasztelanica z zajęciem, a najbardziej wytężył uwagę na opis tej sławnej szermierki. Oczy mu biegały na wszystkie strony, to rękoma czynił ruchy jakby się sam fechtował, to wtrącał zapytania, dziwował się, dowiadywał, pochwałał; nakoniec gdy przyszło do szabli, daru książęcego, powstał z miejsca, mówiąc:

— Można obaczyć?

Po samem ujęciu szabli w rękę, już i w nim znać było gracza (nieraz też bowiem z paniczem ćwiczyli się w tej sztuce i obaj byli równej siły). Wygiął breszczot do ziemi na obie strony, pomocował w palcach, machnął młyńca krzyżową sztuką, aż zawarczało w powietrzu i zawołał zachwycony:

— Dar iście książęcy; oprawa bogata, mniejsza tam o nią, ale brzeszczot jak smyczek, istna damascenka, prawdziwe cacko!

Dokończywszy opowiadania kasztelanic, wpatrzył się w pilnego słuchacza i zapytał:

— Ano, i cóż ty na to?

— Mniejsza o moje zdanie, ale mogę przy tej sposobności powiedzieć co inni myślą o tem.

— Zkądżebyś mógł to wiedzieć i tak prędko? — spytał kasztelanic zdziwiony.

— A tak się stało w istocie. Jak wiadomo o dni parę uprzedziłem tu pańskie przybycie, ażeby w pańskim dworze nie widziano żyda, bo to jakoś niepięknie. Stanąwszy wcześnie w pewnej żydowskiej gospodzie, udałem się za kupca gdańskiego, co mi nietrudno, gdyż nieraz tam docieraliśmy z kuligami kasztelańskiemi i znam dokładnie to miasto. Przy dworze książęcym jest niejaki lekarz nad-

worny Mortz, który razem z woli króla Imci śledzi wszystkie księcia czynności i ojcu o nich donosi; krótko mówiąc, jest to sobie gatunek szpiega przy księciu.

— Czy nie będzie to ten suchy, maleńki staruszek w orzechowym fraku, przy szmelcowanej szpadzinie, który siedział z nami u stołu, wiele obserwował, więcej pił i jadł, ale ani słówka nie pisnął? — przerwał kasztelanic.

— Ten sam, a właśnie mi mówił że pana widział i żeś mu się z wielu względów podobał. Ale co do niego samego widocznie jest on z żydów, rodem z Gdańska, a co jego krewny w guście sekretarza przy nim bawiący, nie tai się nawet z pochodzeniem i choć strój zmienił, ale przy wierze pozostał.

— Czekajno, przerwę ci żeby nie zapomnieć, czemu to ty się nie przebierasz po ludzku? Masz wykształcenie i ogładę, moglibyśmy się razem wszędzie prezentować i nie raz możebyś mi był pomocnym.

— Otóż ja na to mam honor przełożyć, że jak nateraz mogę być panu przydatniejszym w tej starej skorupie niźli w innej; ale jeżeli kiedy będzie potrzeba, to ją zdejmę, chociaż według mojego zdania, im dłużej jest człowiek tem, czem go Bóg stworzył, tem mu jakoś raźniej i dogodniej.

— Ale wracam do rzeczy — opowiadał dalej Srul — Mortz dowiedziawszy się żem niby kupiec z Gdańska, a jakoś z pozorów starałem się wyglądać na bogatego, zapragnął widzieć się ze mną, aby o rodzinnem mieście pomówić; jakoż pospieszyłem na wezwanie, o które mi chodziło. Co tam o Gdańsku prawiłem, mniejsza o to, ale zwiastowałem pańskie przybycie, opowiadając rozumie się obszernie o jego wysokim rodzie, bogactwach i t. d., co mi miało być znane jako kupcowi handlującemu z ich domem. Wszakże Mortz przepowiedział o przyjęciu jakie pana miało spotkać, bo książe nie mogąc się opędzić darmozjadom, napastują-

cym go, postanowił już więcej nie przyjmować, gdyż kuso jest koło niego, a król tatko nie zdąża napychać tego dziurawego worka. Chciałem pana o tem uprzedzić, gdybyś, jak było między nami umówionem, wprzód mnie kazał odszukać, lecz pan wpadł prosto na zamek.

— I dobrze się stało, bo uprzedzony przez ciebie, byłbym się może cofnął, a widzi mi się żem tu się zaczepił za jaką taką karyerę — przerwał kasztelanic.

— Zgadzam się na to „że nie ma złego coby na dobre nie wyszło“, jak twierdzi przysłowie. Mortza pan sobie skaptowałeś, już to mówiąc nawiasem, może najbardziej przez sekt kasztelański, bo on jest wielkim amatorem starego wina, poszlemy mu parę gąsiorów, to nie zaszkodzi. Otóż Mortz nie może się nachwalić pana, raz za respekt dla księcia, potem żeś go nie porąbał, mając nad nim widoczną przewagę, nakoniec za sekt, jak się powiedziało, dworne stawienie się, hojność względem służby itp. Lepiej panu powiem, że po obiedzie, kiedy pociągaliście z kompanią, Mortz wszystko opisał do króla, bo jutro kuryer odjeżdża.

— A zkądże wiesz o tem?

— Synowiec Mortza, taki żydek jak i ja, choć niby w pańskiej skórze, wygadał się ze wszystkiem, a on te raporta przepisuje, wprawdzie ująłem go małym datkiem, bo on, choć to sobie drobna rybka, zdać się nam może.

— Nieoceniony jesteś, mój Srulu, ale zawsze szkoda żeś się odrazu nie przebrał, a takbyś mi był potrzebny na tym dworze, chciałbym cię mieć pod ręką.

— Skoro się pan prześpi, jutro mnie pan tam zastanie.

— Czy podobna? zawołał kasztelanic coraz bardziej zdziwiony i uradowany. A to jakim sposobem?

— Bardzo prostym; kawaler ma młodą wnuczkę, która wcale niezgorzej gra na gitarze.

— Co, co? gadaj, młoda? a może ładna? — zawołał kasztelanic z zapałem, chwytając za ramię Srula.

— I jedno i drugie — odparł on spokojnie, z pewnym przekąsem — lecz to się nam na nic nie przyda, bowiem stary ze swoją córką, a matką panienki, strzegą ją jak dwa cerbery, niejednego już odpalantowali, a kręciło się ich tam wielu i sam książe, ale bez sukcesu... a dziewczątko skromne.

— No, to obaczymy kto lepszy, czy książątko niemieckie, czy szlachcic polski? — wtrącił Branicki z junakieryą, a potem dodał: Ale mów dalej, cóż to ma do tego, że owa dulcynea gra na gitarze, a przez to ty się masz na zamku znaleźć, nie rozumiem?

— Natychmiast wyjaśnię; poczyniłem pannie niektóre uwagi jako muzyk, ztąd dowiedzieli się iż grywam na flecie, a stary jako meloman zaprosił mnie, żebym z wnuczką grał duet. Rozumie się, że skorzystam z tej sposobności, bo stary Mortz nam potrzebny i stawić się mam na siódmą wieczorem. Panu także wypada odwiedzić starego Mortza, bo i wam się on zda; wybierz więc pan tę poobiednią godzinę; książe pojedzie na przechadzkę, bo wiem że mają konie próbować, pan się wymów bólem głowy, co po wczorajszej pijatyce bardzo naturalne.

— Ah! prawda i to, łeb mi trzeszczy; zresztą do jutra mój Srulu — ziewnął Branicki.

— Jeszcze jedno słówko. Niech pan pozwoli zwrócić sobie uwagę, żeby hojność o ile możności mitygować, bo choć tam mamy jaki taki zapasik, ale niewiadomo co nas jeszcze czeka, a ta hołota obsaczy o pożyczkę, będzie grę proponowała, trzeba się mieć na baczności.

— Nie bój się, mój Srulu, wpuszczę węża do kalety, boć to przecie cały majątek, *omnia mea mecum porto!*

Kasztelanic, zawołany wielbiciel płci pięknej, pomimo fatygi po spędzonym burzliwym dniu, oka prawie nie zmrużył po odejściu Srula, ciągle mu się majaczyła owa piękna niemka gitarzystka i już tylko przemyśliwał, jak się wywinie od księcia i dworu, aby pragnieniu poznania nadobnej germanki zadość uczynić. Rzeczy się wybornie złożyły po myśli kasztelanica, bo książe chociaż wprawiał się w te praktyki hulaszcze, jednak owa niezwykła szermierka i nadużycie sektu kasztelańskiego, nabawiły go bólu głowy i w łóżku prawie cały dzień zatrzymały. Branicki, dla uzyskania większej swobody w czynnościach, udał także niedyspozyta i oczekiwał niecierpliwie nadejścia wieczoru. Dworacy zaś z powodu choroby pana i jego pierwszego gościa udali się na łowy, to rozleźli się po rozmaitych kątach, a że stary Mortz ich unikał i wnuczki nie pokazywał, był więc pewny kasztelanic że mu tam nie przeszkodzą.

Nadszedł nakoniec ów pożądany wieczór. Kasztelanic oczekiwał tylko, aż dadzą się słyszeć dźwięki gitary i fletu, aby wpaść do Mortza i zastać dzieweczkę przy muzyce, bo inaczej wiedział, że ją stary przed gościem schowa do innej izby, jak to miał we zwyczaju. Wypatrzywszy chwilę sposobną, Branicki przybrany stosownie do pierwszych odwiedzin, wszedł do Mortza, który nie posiadł się z niespodzianego zaszczytu, że taki pan stateczny, za jakiego poczytywał kasztelanica już z jego prezentacyi u dworu, już z opowiadań mniemanego kupca gdańskiego, jego próg przestąpić raczył; tem zaś bardziej go to cieszyło, że cały dwór książęcy traktując go z góry, nie składał mu atencyi.

Dzieweczki od rozpoczętego duetu wyprawić stary nie mógł, a możeby i nie śmiał wobec tak statecznego pana absolutnie sobie poczynać.

Spotkały się wejrzenia młodych: kasztelanica zuchwa-

łe, wystudyowane i wprawne do lekkich miłostek, zapłonionej dziewicy trwożne, nieśmiałe, ale przytem ogniste, jakby z głębi serca wychodzące.

Gretchen — tak się zwała zdrobniale niemeczka — była to owa biała, jasnowłosa córka Germanii, chłodna na pozór jak szare niebo tego kraju, lecz wewnątrz tająca płomienie, które zagrzane słońcem młodzieńczego wzroku wybuchają jak wulkany, raz może tylko w życiu, a potem przepalą się, spopieleją i nikt ich więcej nie rozżarzy, aż znów jak przedtem zastygłe w zimny grób się położą ze spopielałem sercem.

Gretchen w siedemnastej wiośnie była istnym pączkiem pięknego kwiatu, zwracającego się do słońca, aby pod jego ciepłem zakwitnąć. A ślicznie jej było z małą zgrabną gitarą zawieszoną na niebieskiej wstędze, od której pięknie odbijały bujne jej płowe warkocze. Biała, świeża sukienka uwydatniała wiotką jej kibić, zaledwie zaokrągloną świeżą dojrzałością. Przezroczysta cera pokryta mienioną barwą brzoskwini, duże, błękitne oczy z wyrazem tęsknoty, którą łagodził uśmieszek powabny, rozgoszczony rozkosznie na dwóch rzędach białych perełek, chroniących się pod różowe, wązkie usteczka.

Po wymianie zwykłych komplementów z gospodarzem i przywitaniu kupca gdańskiego, z którym nie zdradzał kasztelanic bliższych stosunków, ale tylko dalszą znajomość, zwróciwszy się z pięknym pokłonem do panny, rzekł słodko:

— Proszę mi wybaczyć moje niewczesne przybycie, którem przeszkodziłem pięknej muzyce.

Za całą odpowiedź Gretchen ze zdwojonym uśmiechem, pąsowa jak świeża wisienka, dygnęła nieśmiało gościowi, zaledwie śmiejąc podnieść na niego piękne oczy.

— Za największą poczytałbym sobie przyjemność,

gdybym mógł być słuchaczem tej pięknej muzyki — dodał kasztelanic z galanteryą.

— A, pan kasztelanic lubi muzykę, może i sam jest muzykiem? — wtrącił gospodarz, ujęty już za serce przez gościa, *hochdeutschem*, w którym ten się wyrażał.

— Wybaczą mi panowie, że się wmięszam do rozmowy i odpowiem za pana kasztelanica, którego śpiew piękny miałem sposobność i szczęście podziwiać, bywając w domu jego ojca — przemówił kupiec.

— Gdybyśmy mogli mieć także to szczęście — rzekł z uprzejmym ukłonem Mortz.

— Chętniebym zadość uczynił jego żądaniu, lecz nie śmiem pozbawiać słuchaczy tak pięknie rozpoczętej przez panią muzyki — ozwał się z ukłonem do panny kasztelanic.

— Wybaczy pan, ale ja nigdy jeszcze przed obcymi grać się nie ośmieliłam — zaledwie przez gęstsze rumieńce zdobyła się na odpowiedź Gretchen.

— Zatem niech ją pan kasztelanic raczy ośmielić przez dobry przykład — wtrącił gospodarz.

— Skoro za tę cenę będę mógł słuchać muzyki pani, a więc...

Odparł kasztelanic, biorąc instrument z białych rąk zapłonionej dziewczyny. Jako zaś kawaler światowy wiedział jak się gdzie znaleźć, po uderzeniu więc kilku tęsknych akordów, zanucił donośnym męzkim głosem jedną z tych długich, starych niemieckich ballad, z których to oni tak dzielnie dwa sprzeczne wywołują skutki — kołysząc dzieci do snu i rozbudzając dziewki do miłości.

Gretchen, jak wiele albo i wszystkie z jej rodaczek, hodowane skrycie w klauzurze rodzinnej z predestynacyą na towarzyszkę, albo raczej kucharkę jakiegoś *zapiwionego* szwaba o krótkiej fajeczce i karmazynowych policzkach, można powiedzieć nie widziała dotąd człowieka-młodzień-

ca, któryby o ile tyle przypominał jej bohaterów poetycznych niemieckich ballad, tych niebelungowych olbrzymów, o których młode niemki zwykły marzyć przed wdzianiem jarzma, a słuszniej mówiąc, fartucha małżeńskiego. Nie dziw więc że kasztelanic na pierwszy rzut oka znalazł odgłos w tem młodem, marzącem serduszku; dźwięk zaś jego niemieckiej pieśni wpłynął odrazu w to młodociane serce zdawna wymarzonym ideałem.

Kasztelanic nie był nowicyuszem w pożeraniu serc; wprawiał się w to czasu pogodnego, próżnując pod skrzydłami ojca; umiał spozierać dwoiście: na dziadka kamedulsko-skruszonem jednem okiem, podczas kiedy drugie rzucało zabójczo-miodowe wejrzenia na wnuczkę. Spiew na gorące prośby kompanii musiał kilkakrotnie powtarzać. Staruszek niemiec, traktowany przez dworaków księcia na stopie podrzędnej, nie posiadał się z okazywanej sobie rewerencyi i powolności tak wielkiego pana, który odrazu blaskiem swoim przyćmił całą dworską hołotę.

Obojgu, starcowi i dziewczynie, pozostawił kasztelanic najmilsze wrażenie; dzieweczkę chwycił za niewinne serce a staruszka za pychę, przez swoją pokorną submisyę, a już około północy, tak niezwyczajnej godzinie dla cichych mieszkańców tego quasi klasztoru musiał młodzieniec solennie przyrzec na progu częste odwiedziny.

Nie potrzebujemy dodawać, że spokojna niemiecka poduszeczka Gretchen dziwowała się, że ją właścicielka tak niemiłosiernie tłoczyła, a nawet zrosiła niejedną łezką i owiała westchnieniem; lecz niestety, między nią a Morfeusza, nieodstępnego towarzysza nocy, wcisnął się obraz młodego kasztelanica.

* * *

Skoro się oddalili, tak iż nie mogli być słyszani przez żegnających, Branicki uderzył wesoło towarzysza po ramieniu:

— A wiesz co, Srulu, — zawołał — tak mi jakoś było nijako po tych moich nimfach pozostawionych w domu, żem tęsknić poczynał, teraz odżywam. Cóż mi ty plotłeś od niechcenia że ta Gretchen tak sobie niczego; ależ powiadam ci, to smaczny kąsek!

— Ale nie na wszystkie zęby — wtrącił szyderczo Srul.

— A ja ci mówię, schrupię, jak wiewiórka orzech; chybaś nie widział, jak dziewczyna zjadała mnie oczyma kiedym śpiewał, brała mnie za bohatera ballady! — zawołał młodzieniec w uniesieniu.

— A sumienie, paniczu, a spokój dziewczyny — wtrącił towarzysz sentymentalnie.

— Et, idź do djabła do szkoły z twojemi talmudycznemi sentencyami — przerwał kasztelanic udając gniew — a ja co chcę to zrobię i kto mnie przeszkodzi?

— Ja! — odparł Srul poważnie.

— Cha! cha! — zaśmiał się kasztelanic — czy z nią się ożenisz?

— Nie, bo mnie trzeba żydówki... lecz gdyby nią była, kto wie? — rzekł Srul na seryo.

— No, to się wychrzcij i konkuruj, w takim razie możesz być pewny, ale inaczej będziemy rywalami. Cha! cha! to śmieszne, my starzy koledzy, niby współuczniowie... rywalami! cha! cha!

Srul posmutniał i spoważniał, tego śmiechu pańskiego nie witał, jak zazwyczaj, z ochotą, nie wtórował mu. Branicki spojrzał nań z kompasyą i poważnie:

— Mój Srulu, mówmy otwarcie, czy ona ci wpadła w serce, ta białowłosa germanka? W takim razie bierz ją

za żonę czy jak ci się podoba, ja ustępuję, bo nie ona jedna na świecie.

— Jestem żydem! — przerwał smutnie Srul.

— Wszak mi mówiłeś że oni są żydami, może ona została przy dawnej wierze, a zatem niech was błogosławi Bóg Abrahamów, Izaaków, Jakubów. Więc ty Srulu na prawdę rozmiłowany? a to ciekawe.

Kończył ze śmiechem kasztelanic, kiedy już stanęli w komnatach.

— Więc żydowi rozmiłować się w kobiecie niewolno? Kiedy dla was są miłostki płoche, przelotne, żydowi za to iż jest żydem niewolno sobie upodobać kobiety i szukać w związkach prawych szczęścia i rozkoszy? — powiedział Srul rzucając ogniste połyski swemi czarnemi oczyma.

— Ażeby cię gęś kopła! — odpowiedział uśmiechnięty kasztelanic — jeszczem cię takiego amorose nie widział. Słuchaj więc: ochrzcij się, będę ci kumem, ożeń się, będę ci drużbował na weselu, a rozumie się że twoja żona będzie dla mnie świętością jak relikwie.

— Dajmy temu pokój, dobranoc panu — rzekł Srul niechętny, mając się ku drzwiom, od których mu Branicki zastąpił.

— Słuchaj! nie bądź głupi, pamiętaj że jeszcześmy nigdy nie zaspali rankoru do siebie. Ot, wiesz co, rzucam pieniądz do góry „cet czy liszka“. Zgadnij, wygrywający zostanie przy Gretchen, a drugi precz!

Słowa te poparł czynem, rzucając monetę do góry.

Żyd milczał z zaciętemi ustami.

— Nie chcesz tej gry o nią, to jest inna: wybijemy się — rzekł żwawo kasztelanic ukazując wiszące na ścianie pałasze.

— Żyda biją, ale nie biją się z nim — odparł Srul z rezygnacyą.

— Przecie nieraz próbowaliśmy się.

— Tak tylko w fechtunku, ale nie na ostro.

— Palże cię djable! nakoniec czegóż chcesz? — podchwycił niecierpliwie Branicki.

— Niczego nad to, jak życzyć panu dobrej nocy — odpowiedział żyd sucho z głębokim pokłonem.

— Dobrej nocy, dobrej nocy! Nie o noc tu ani dzień chodzi, ale do kogo nakoniec ma należeć ta nimfa germańska?

— Do tego kto ją będzie nietylko kochał, ale i szanował.

— Gadasz jak rabin, ale nie w tem rzecz: *moja czy twoja?* odpowiedz słowem.

— Ani moja, ani pańska!

— Ba, tak krótko i węzłowato. A ciekawy jestem, kto to się poważy włazić mi w drogę?

— Ja! — odparł żyd stanowczo i odważnie.

— Wiesz co, mój Srulu — rzekł Branicki z przekąsem — musisz potrzebować wypoczynku, bo prawisz jak przez sen, nie zatrzymuję cię dłużej, dobranoc.

Żyd pokłoniwszy się nizko wyszedł z komnaty. A pierwszy raz odkąd żyli, rozeszli się ze sobą niechętni.

* * *

Zjawienie się kasztelanica na dworze książęcym stanowiło świetną epokę; w skutek tego między dworzanami zaburzyło się jak w ulu, a każdy inaczej, a po swojemu na przybysza spoglądał, może tam trochę i zawistnem okiem, ale że rozdawnictwo łask znajdowało się jeszcze w dalekiej ekspektatywie, bo tron książęcy spoczywał w niepewnej elekcyi, a tymczasem *nemo dat qui non habet*, bo książe sam więcej potrzebował niźli mógł szafować — zatem bar-

dziej się ucieszyli przybyciu kasztelanica dworno a z nowym zasobem, gdyż jaki taki spodziewał się u niego podsukursować swoją goliznę. Prawda że poszła im trochę po nosie konfuzya w szermierce, ale że uległ jej i sam książe lubo gracz na rękę, a potem zwycięzca swój tryumf oznaczył taką skromnością, tak się zeń nie pysznił, a zdawał się jakby pokonanym, iż niczyjej to miłości własnej drasnąć nie mogło. A przytem uprzejmością koleżeńską i miłym humorem chwycił każdego za serce, a doskonałym sektem rodzicielskim gardła im wysmarował — i to coś znaczyło. Ztąd odrazu gościem był pożądanym.

Wszakże nie obeszło się bez zawistnego: do przybycia kasztelanica pierwszym koryfeuszem dworu książęcego był niejaki tak zwany zdrobniale Kostek, od imienia chrzestnego Konstanty — a był to młody szlachcic Janikowski, co do wieku mniej więcej rówieśnik kasztelanica; on pomiędzy innymi szukał karyery, byle się gdzie zaczepić, a dostawszy się na dwór książęcy, odrazu w fawor pański się wkręcił i przed innymi w tem przodował.

Słówko o tym Janikowskim, tembardziej niezbędne, że w toku gawędy nieraz się z nim zetkniemy. Przez dziwny traf nie był mu całkiem obcy Branicki, lubo go nie znał osobiście, rzecz zaś tak się miała:

Pomiędzy nieprzeliczonym zastępem wierzycieli starego kasztelana, napływających z różnych stron świata, przybył aż z Trockiego młody szlachetka, ów Janikowski, i w szeregu exdywizorów z innymi stanął. Był on synem (a już dziś sierotą) podsędka trockiego ziemskiego. Ojciec za całe dziedzictwo pozostawiał mu wierzytelność dzisiejszą na kasztelanie Bracławskim. Udał się i on pod skrzydła jura Gałuszyńskiego i w liczbie innych jakiś mu kąsek resztek pańskich wydzielono.

Nowy kolokator, osiadłszy na szczupłym zagonie,

wpośród rozmaitej spekulacyjnej gawiedzi, rozejrzał się iż żyć z kim nie ma; nudziło się młodemu, a szukając odpowiedniego towarzystwa, złożył czołobitność kasztelanowi, wedle należności, bo to dawniej mawiano: „kares karesem, a interes interesem“.

Kasztelan że już to przez swoją karmazynową prozapię butnym był, a swoich exdywizorów nie miłował, jakoś mu drzwi pokazał. Trudno było na starcu szukać satysfakcyi, bo wtedy znano jeszcze mores i rewerencyę dla siwego włosa — schował więc szlachcic despekt do kieszeni i na tem koniec. Starał się następnie zbliżyć w sąsiedztwach do kasztelanica, z którym w równym był wieku, ale kasztelanic lubo uprzejmy dla niewiast, poufały z ich mężami, ojcami i całą parantelą, lekko sobie ważył jakąś „małą rybkę“ podsędkowicza, a tembardziej iż należał do exdywizorów ojca, pozbawiających jego samego substancyi i przyszłości.

Gorącej wprawdzie był krwi podsędkowicz (jak się to da widzieć w dalszym ciągu opowiadania), kipiał więc i na wąs motał, aliści przyszła mu zimna rozwaga, i zamiast poczynać od burdy w nowem sąsiedztwie, umyślił zbyć swoje kolokacye Gałuszyńskiemu, który już tą sprawą wiercił. Dostał od niego kilkaset dukatów w złocie, które w trzos wsypawszy, w świat wyruszył, jak czyniło wówczas wielu zdobywców karyery, wierząc „iż Bóg łaskaw, a świat szeroki!“

Wyruszywszy wcześniej od kasztelanica, podsędkowicz rozejrzał się po onym szerokim świecie, gdzie tam jaśniej a gęściej kurzy się z komina, i nakoniec przystał na satelitę do książęcej gwiazdy Mitawskiej, która jak dotąd świetniej połyskiwała, bo klęski ówczesnej wojny nie trapiły jeszcze Saksonii.

Jednym z pierwszych był, który się pogrzał przy tem

świetle, kiedy więcej jeszcze ogrzewało. Pierwszy też względy i łaskę pańską pozyskał. Prawda i to, że walny z niego chłop był, jakby stworzony do usposobień i fantazyi księcia — do wypitki i wybitki stawał ochotnie, zawżdy z tęgim animuszem, a czy to łowy poprowadzić, czy skrzesać się w pałasze albo stanąć do jakiejbądź zabawy, rozweselić, rozmarszczyć księcia i całą kompanię, wszędy Janikowski prym chwytał, a krotofilnością i dowcipem wszystkiemu sprostał. Za toż był duszą samego księcia, a ztąd chcąc nie chcąc i całego dworu, chociaż tam niejeden spoglądał nań zawistnie, zukosa.

Krótko mówiąc, kasztelanic zręcznem wzięciem się odrazu detronizował dawnego ulubieńca w faworze pańskim. Lecz jakież było zdziwienie Kostka, kiedy, jak przypominacie, wkroczywszy z innymi do zbrojowni, gdzie pan się krzesał z przybyszem, poznał w nim nienawistnego kasztelanica. Krew mu spłynęła do głowy na wspomnienie zniewagi doznanej od ojca i niejednokrotnego lekceważenia syna w sąsiedztwie Gdyby nie książęca powaga i pomimo wszelkiej konfidencyi, respekt mu należny, możeby się Janikowski, kipiący pomstą, rzucił na przybysza, ale że książe rozkazał rzucać losy o szermierkę, posunął się pierwszy Kostek z wielkim ferworem do tej gry, chętnieby go choć na tępo sprażył, był bowiem rębacz równej a może i wyższej z księciem siły. Ale że los mu nie dopisał, więc zaciął tylko usta, odkładając swoją animozyę do lepszej okazyi, a motał na wąs, powtarzając sobie: „co się przewlecze, to nie uciecze“.

Kostek tedy na widok nienawistnego sobie kasztelanica, chwycony był jak kleszczami pomiędzy dwie alternaty: spostponować nagłą wziętość przybysza w łasce pańskiej, a jednocześnie złość mu szeptała, ażeby korzystać z okazyi odemszczenia wyrządzonych sobie zniewag. Głę-

boko to ważył w umyśle jak sobie począć, bowiem od burdy pospolitej zasłaniała przybysza gościnność księcia, a wyrządziwszy ją, można było odrazu utracić łaskę, o której zachowanie właśnie chodziło, aby się nie wymknęła do nowego, który gładkiem a światowem wzięciem rączo się ku niej zbliżał. Miał już Kostek na końcu języka opowieść o kasztelanie, jego hulankach, exdywizyi, etc., ale się powstrzymał, aby nie posądzono, iż zawiść przez niego przemawia — więc w cichości a złości, na wąs sobie motał.

Wiecie już, jak się odbyła pierwsza uczta ochocza na cześć nowego gościa. Z umysłu, dla ułatwienia gawędy przenieśliśmy z niej pewien wypadek na to miejsce. Przy uczcie tej Kostek siedział zasumowany, sierdzisty, a jak powiadają „środa na piątek“. Pomimo wyzywań przytomnych i samego księcia, koncepta go się nie imały; lecz że tymczasem gość nowy przez swoją gładkość i humor wszystkich zajął, mało na Kostka zwracano uwagi. Wszakże skoro wniesiono sekt kasztelański, nowego gościa zręczną ofiarę, Janikowski już nie zdołał ukryć złości i kielicha odmówił, czego jako żyw nie czynił.

— A to co nowego, chyba koniec świata, Kostek nie pije wina i jeszcze takiego, jakie z naszych źródeł się nie toczy? — zawołał rubasznie rozochocony książe.

— Jestem niedyspozyt, mości książe — odparł zachmurzony Janikowski.

— Cóż ci to jest?

— Głowa mnie setnie boli.

— A wiesz co pismo św. mówi, jeżeli cię gorszy jaki członek, to masz go odciąć.

— W istocie tak mi dolega, że na tobym się zgodził.

— Ha, jeżeli tak — podchwycił żartobliwie książe — poproś kasztelanica, to ci zdejmie głowę od jednego machu.

Ogólny śmiech mowę księcia zagłuszył, a jeden drugi zawoła:

— Kasztelanic tak macha szablą, że kto wie...

Zaś Janikowski zaperzony ozwie się ze złością:

— Mości książe! Bóg łaskaw nie stworzył głów ludzkich nakształt ulęgałek, ażeby padały od ladajakiej ręki, i moja dzięki Stwórcy mocno siedzi na karku, a nimby zleciała, możeby jaką inną strąciła.

Przy tych słowach okiem gniewnem mimowoli spojrzał na przybysza, a zapalone gniewem spojrzenia potrąciły się wzajemnie.

Niewiadomo coby tam kasztelanic odpowiedział, bo w kaszę dmuchać sobie nie dawał, lecz książe zachmurzony odburknął krótko:

— Kostku, ja burd nie znoszę!

— Pozwoli mi w. ks. mość dla ciężkiej niedyspozycyi oddalić się do wczasu — ozwał się Janikowski powstając, a widocznem było w jego głosie, iż z trudnością gniew opanowywał.

— Życzę zdrowia i większej abstynencyi w słowach.

Odparł książe sucho a niemal z powagą panującego, którą pomimo poufałości umiał w danych razach przybierać. Do gościa zaś natychmiast zwrócił się z galanteryą, uniewinniając swojego dworzanina i prosząc, aby sobie za urazę tego nie poczytał i temu dalszej konsekwencyi nie dawał.

Janikowski odszedł pokłoniwszy się głęboko księciu.

Jakoś się rozklejała ochota, ale nie na długo, gdyż wpręce zapito tę sprawę i o zrebelizowanym zapomniano. Książe podwoił uprzejmość dla gościa. Ale szlachta znając Janikowskiego, jako do wszelkiego pojednania był trudny, a miarkując z fantazyi kasztelanica, myślała sobie:

— Dwóch ich tu zadużo, któryś ustąpić musi.

W istocie prorokowali nie na wiatr. Książe bowiem żywić zaczął żal do Janikowskiego za niewczesny wyskok i obrazę gościa, który ze wszech miar odpowiadając bardziej jego kondycyi, światowości i edukacyi, pozyskał afekt książęcy, kiedy tymczasem Kostek wypadł z faworów i porównał się w konsyderacyi pańskiej z resztą dworskiej hołoty, z czego się jedni cieszyli, drudzy smucili, jak zwykle bywa po dworach.

Lecz odtąd Janikowski unikał starannie kasztelanica, co mógł łatwo czynić przy swobodzie dworu, bo każdy tam wedle potrzeby czy fantazyi mógł się stawić lub nie stawić nawet do wspólnego stołu; kasztelanic też go nie szukał.

Szlachta jednak zawsze powtarzała:

— Dwóch ich tu zadużo!

* *
*

Już od paru tygodni wcielił się kasztelanic do dworu książęcego, a odrazu stanął w nim tak mocno, że podkopać by go nie mogły żadne pokątne intrygi i knowania kurtyzanów, których że książe nie lubił, a nie rad im ucha dawał, zwolennicy malkontenta Janikowskiego poszeptawszy między sobą, ucichli — a kończyło się wszystko na ukośnych spojrzeniach, których sobie kasztelanic, silny łaską pańską, nie ważył.

Tak szła sobie skrycie nienawiść dwóch antagonistów, a przez ten czas o ile bardziej się zagłębiał Branicki w fawory książęce, o tyle oddalał się od nich Kostek, tak wszakże lawirowali zręcznie, szczególnie ostatni, że od onej pierwszej uczty prawie nie spojrzeli sobie w oczy.

Kasztelanic naprzemian to pilnie zdobywając łaskę księcia, to miłosne fawory złotowłosej niemki, której wpra-

wdzie Srul nie odstępował, jednak rozmiłowany młodzieniec zanadto biegły w taktyce z białogłowami, wiedział że znuży wszelką cierpliwość — nic więc dziwnego, że przy dwóch tak ważnych zajęciach zapomniał czyli jaki podsędkowicz żyje na świecie, gdy pewnego rana, właśnie kiedy kasztelanic ze Srulem wybierali się na łowy, co zwykli byli czynić codziennie nim się książe obudził i na pokoje wezwał — wszedł Kostek do komnaty.

Iż te odwiedziny były wstrętne gospodarzowi, powiadać nie trzeba, tem niemniej zadziwiły go o tak niezwykłej porannej dobie. Jednak jako kawaler światowy a dworski, zdołał ukryć cierpkie wrażenie i gościa powitał niemal kordyalnie.

Janikowski wszakże nie dysymulował, a do rzeozy obcesowo zimnym tonem przystąpił.

— Czy w. m. panu jest wiadomem, iż stałem w rzędzie exdywizorów imć pana kasztelana ojca pańskiego — rozpoczął przybyły zaledwie pokrywając swoją alteracyę.

Kasztelanic jednak nie tracąc zimnej krwi i umiarkowania, przerwał gościowi tonem tej magnackiej słodyczy, która chociaż głaszcze na pozor, lecz w rzeczy kąsa żądłem jadowitem.

— Zaprawdę, zaszczyt to nieposledni przynosi jak mojemu ojcu, tak i mnie słudze najpowolniejszemu w m. pana, że raczyłeś swoją czcigodną osobą dopomódz onej exdywizyi. Ale winienem jednocześnie uprzedzić waćpana, że mnie wszelkie sprawy majątkowe ojca mojego nie dotyczą, a to tembardziej, iż od spadku po nim zrobiłem reces przed aktami ziemskiemi, więc jeżeli chodzi o jakoweś pretensye, to...

— Są pretensye w istocie, ale takowe ani przed grodem ani przed ziemstwem rozplątywać się nie będą — przerwał grubiańsko Janikowski.

— Więc czemże w. m. panu mogę służyć? jestem na pańskie rozkazy — odpowiedział grzecznie Branicki, podwajając niemal ów poprzedni ton łagodny.

— Ja tam quinque djabłów, waszych finesów magnackich nie znam — rozpoczął z nietajoną pasyą Janikowski — a przychodzę waści powiedzieć, że należy nam się rozprawić i to na ostro, jeszcze z Bracławskiego mam do tego powody....

— Na co tu powodów? nie podobała się fizys i dość — przerwał Branicki nieledwie z uprzejmością, a rubasznie dodał: clara pacta, mości dobrodzieju, masz waćpan zapewne świadków, miejsce, broń etc. jak i gdzie się podoba, jestem na rozkazy.

Srul, dotąd jeszcze stojący z izraelską pokorą przy drzwiach, skoro ujrzał iż rzeczy dochodziły do konkluzyi, której żydowi słuchać nie wypadało, chciał cichaczem wynieść się z komnaty, lecz Janikowski go powstrzymał, mówiąc już spokojnie i grzecznie:

— Panie Srulu, racz pozostać, gdyż jeżeli łaska, możesz nam stanąć w przygodzie.

Żyd okazał pewne zdziwienie, widząc swoje incognito zdradzone, bowiem dotąd jeszcze za gdańskiego kupca uchodził, czego dostrzegłszy gość, dodał:

— Trudno ażebym was nie znał, przecie z mojego dworku na górze widziałem co się działo w pałacu imć pana kasztelana, którego progi były dla mnie za wysokie, zaraz się tedy dowiecie o co chodzi.

Niewiadomo mi czy Srul znał dawniej i teraz poznawał gościa, ale na znak pana przez niego tylko postrzeżony, pozostał dalej u progu.

Janikowski, odpowiadając już teraz z całą przystojnością i spokojem kasztelanicowi, a może rad iż na swojem postawił, rzekł:

— Owoż wbrew przyjętemu w takich razach obyczajowi, świadków mieć nam nie wypada.

— Bić się można ile się tylko podoba, ale zawsze nie widzę dobrej racyi odbywania rozprawy w tajemnicy jakoś po zbójecku, kiedy jest tylu braci szlachty i na świadkach nam nie zbędzie — przerwał poważnie i spokojnie Branicki.

— W każdym innym razie miałbyś w. m. pan słuszność za sobą, ale zachodzą tu wyjątkowe okoliczności, z racyi których ośmielę się mu negować, jeżeli udzielisz mi w. pan wolności mówić otwarcie.

— Wszystko z ust w. m. pana usłyszę z prawdziwą przyjemnością.

— A więc za łaskawem zezwoleniem powiem, iż obaj szukamy przy księciu karyery, on zaś jest zapamiętałym nieprzyjacielem wszelkich zwad i utarczek pomiędzy otaczającymi go; można tam potuzać i nawet zabić w rozprawie jakiegoś intruza, wyczubić Mitawskiego niemca, ale między sobą święta zgoda! Nietajno waszmości, jak mnie zgromił książe przy pierwszej uczcie za pewną alluzyę; były jeszcze inne przykłady, że kilku oddalił za to iż się rąbali między sobą; jeżeli tedy nieprzebłagane fatum zechce abyś w. m. pan poszedł do lepszego żywota, lub mnie quinque djabłów weźmie, bo spodziewam się że między nami nie przelewki i żartów nie będzie. Ale jeszcze nie wyłuszczyłem wszystkich powodów, które...

— Oszczędź waszmość sobie fatygi, albowiem zaszczyt rozprawy ze szlachetnym kawalerem jest tak wielki, iż bez wszelakiego pozorowania przyjmuję go z wielkiem mojem ukontentowaniem — pozerwał kasztelanic a potem dodał:

— Dowoli więc waćpana, racz tylko wskazać jak sobie począć mamy, jestem na rozkazy.

— Jeżeli tedy łaska i wola, udamy się do tej puszczy za rzeką, która jak waszmość zapewne słyszałeś, jest siedliskiem opryszków, którzy już niejednego odarli i zabili, więc gdyby komuś i przydarzył się tam jakiś *casus*, takowy pójdzie na karb zbójów. To jest pro primo, czy zgoda?

— Trudno dowcipniej rzecz skombinować — odparł z galanteryą Branicki.

— Co do świadków, których pomiędzy swoimi szukać nie możemy ut supra się przełożyło, czy nie uważałbyś waszmość za słuszne uprosić sobie pana Srula — mówił Janikowski ukazując na żyda, który tymczasem bacząc na te śmiertelne przygotowania, drżał na myśl niebezpieczeństwa swojego panicza, który chociaż tam i sam bijał się po świecie, jednakże takiej śmiertelnej rozprawy dotąd nie praktykował.

— A czemu nie, i owszem, Srul mój przyjaciel, a pomimo iż żyd, uczciwy i szlachetny człowiek — ozwał się kasztelanic.

— Ja — zawołał Srul — miałbym się w takie grzeszne imprezy pomiędzy szlachtę mięszać? Czyliż żydowi przystoi być sekundantem?

— Sekundantem, nie sekundantem, ale na wszelki wypadek będziesz świadkiem przed Bogiem i ludźmi, żeśmy wszystkiego zawarowanego dopełnili z honorem i bez podstępu — przekładał mu kasztelanic.

— Ależ na miłość bozką, waszmościowie! — rozpoczął żyd blady i przerażony, wznosząc ręce do góry; lecz przerwał mu stanowczo Branicki:

— Mój Srulu, znamy się od dzieciństwa, a dla tego wiedziećbyś powinien, iż tu wszelkie perswazye stracone, bo ja się przed żadną taką propozycyą nie cofnę, jegomość zaś jako kawaler stateczny na wiatrby jej nie czynił; więc

daj mi dowód tej jeszcze życzliwości, abyś nam towarzyszył.

Żyd opuścił głowę, łzą ledwie dostrzeżoną zaszło mu oko i jak posąg skamieniał przy progu.

Poczem zwrócił się wesoło do gościa Branicki:

— A zatem jestem na rozkazy pańskie, zechcesz mi być przewodnikiem do tej puszczy, o której tylko słyszałem, ale do niejbym nie trafił; nie traćmy czasu, bo skoro się książe obudzi, gotów wezwać na pokoje.

— I quinque djabłów jednego się z dworzan nie doliczy, więc jestem na rozkazy — prawił Janikowski — ale jeszcze słówko o kondycyach i jeżeli waszmość pan zezwoli, będę miał zaszczyt przełożyć moje: zabierzemy pałasze i po parze pistoletów nabitych, a do nich po dwa tylko naboje na zapas. Najprzód się złożymy białą bronią, jeżeliby ta nie dopisała, uciekniem się do palnej i tak aż do skutku, a komu tam wyroki Najwyższego z puszczy wyjść dozwolą, ma pozostawić drugiego na pieczy opryszków i wilków, z warunkiem że za pozostałego zmówi pobożnie *requiem aeternam*.

— Amen! concedo! — przerwał wesoło kasztelanic, przypasując szablę i opatrując pistolety.

— Nie potrafię zadość wywdzięczyć się za zaszczyt i łaskawe przyjęcie moich pokornych propozycyj — ozwał się uprzejmie Janikowski — lecz jeszcze o jednem zapomnieliśmy: należy nam zmierzyć pałasze.

Wziąwszy pałasz od Branickiego niezwłocznie przystąpił do tej czynności.

— A ta niegodziwa moja szerpentyna blizko o cal dłuższa od waszmości pałasza.

— Taka bagatela, niewarto na to zważać — odparł obojętnie kasztelanic.

— Ej! nie, tak nie uchodzi, „dłuższa szabla to sprawa djabla“, mówi przysłowie; zaraz ja temu zaradzę.

Mówiąc to Janikowski, dobył osełkę i mały pilnik i wnet szablę swoją do miary tamtej przypasował.

Podczas kiedy był tem zajęty, ozwał się Branicki:

— Ale, ale, gdzież to ja mam głowę, to mi piękna go ścinność! Mamyż się wybrać w daleką drogę o próżnych żołądkach? Wybaczaj waszmość za suchy traktament, bo mi książe wzbronił swojej kuchni zaprowadzić, ale czem Bóg dał...

Otworzywszy zaś puzderko podróżne z flaszami, nalał kielich, mówiąc.

— W zacne ręce waszmości, sprawiedliwa gdanka, a oto piernik toruński, półgęsek, kiełbasa... chuda fara, lecz byle choć cokolwiek, aby z głodu zadrwić.

— Na miłą i zaszczytną znajomość z waszmość panem, ale chyba tak stante pede, bo czas nagli — odparł uprzejmie gość wypijając podany sobie kielich.

Niedziw iż serce w biednym Srulu zamierało, skoro obaczył tych ludzi (którzy obadwaj, a niezawodnie jeden z nich nie miał już ujrzeć zachodzącego słońca), posilających się naprzeciwko siebie i baraszkując, prawiących krotofile, jakby szli nie na śmierć, ale na weselne gody.

* * *

Ruszył nareszcie ten pochód; ktośby pomyślał pochód żałobny, lub orszak prowadzący zbrodniarza na stracenie, atoli niktby tego nie odgadł, widząc jak się ona iście Golgotowa podróż wesoło odbywała: dwaj młodzi, za chwilę krwawi zapaśnicy, raźno szli, przodem, usta im się nie zamykały, prawili sobie w najlepsze setne krotofile, śmiechem serdecznym wtórując.

Srul tylko biedny postępował za nimi jak na uwięzi ciągniony, zaniechawszy wszelkiej perswazyi, któraby się nie na wiele przydała, na swego panicza rzucał łzawem okiem i od czasu do czasu wzrok w niebo wznosił, a coś tam szeptał drżącemi usty, zapewne modlitwę.

Przebywszy spory szmat lasu, stanęli na pięknej zielonej polance, otoczonej jakby wieńcem, zielonemi drzewami; Janikowski przystanąwszy nieco, ozwał się z uprzejmością:

— Czyliby się nie zdawało waszmość panu, abyśmy tu rozpoczęli?

— Chętnie — odpowiedział kasztelanic, wierzchnią suknię zdejmując; adwersarz poszedł za tym przykładem.

Złożyli się. Wszystko zaś szło uprzejmie, grzecznie, słodko, że tak powiem, dyplomatycznie, a na zimno, iż rzekłbyś dwaj uczniowie szkoły szermierskiej zdają egzamin przed profesorem. Zimna krew zobopólna przechodziła w widmo zatrważające.

— Co za cięcie!

— Jaka lekkość ręki!

— Odbicie mistrzowskie!

W ciągu gry, w tych słowach oddawali sobie wspólną admiracyę, nie spuszczając się z bacznego oka. Ale pod tą osłoną słodyczy wiało zimno tak srogie, tak złowieszcze, iż Srulowi drżącemu na całem ciele, mimowoli przychodziło na myśl owo proroctwo szlachty:

— Zadużo ich dwóch na tym świecie!

Odpoczywali też sobie podczas na chwilkę i znów wracali do tego okropnego dzieła wzajemnego zniszczenia. Wczas ten urozmaicali sobie dyskursem i krotofilami, tak iż najbieglejszy badacz duszy ludzkiej, widząc tę ich serdeczność i dobrą komitywę, ani na chwilęby nie przypu-

ścił, iż gra się straszna pomiędzy nimi toczyła o śmierć i życie.

Dwie godziny pracowali w pocie czoła na onej polance i wyszli cało, aż pierwszy Janikowski opuszczając szablę, rzecze:

— Quinque djabłów! (co przy humorze lub gniewie było jego przysłowiem) od kiedym żyw podobnegom gracza nie spotkał.

— A Bóg mi świadkiem — odpowie Branicki — iż o tak wykończonej grze jak waszmości, nigdy mi się nawet nie przyśniło.

— Wolne żarty, mości kasztelanicu, ale quinque djabłów, gracz z was pierwszej ręki i nasze książątko, acz nie ma co mówić tnie się z kretesem, ale go w myszą dziurę zapędzisz. Wszakże widzi mi się, iż ta polanka wcale się nam nie szczęści i wasza „gdańska" mocno pali mnie w gardle i wznieca pragnienie. Owoż jeżeli wola rozprostujmy się trochę, a po za tym lasem jest inna łączka, przecięta żywym strumieniem wody, tam będzie nam chłodniej i utulimy pragnienie.

— Służę jegomości — odparł kasztelanic, chowając pałasz do pochwy.

Szli tedy ręka w rękę baraszkując sobie. A biedny Srul zamierał, dopatrując w tych serdecznych afektach oznak śmierci.

Zmieniali pokilkakroć miejsca jak zwali niefortunne, zewsząd jednak cało wychodzili, admirując wzajemnie grę swoją doskonałą, aż na ostatniem miejscu ozwał się Janikowski:

— Quinque djabłów! pozwól się uściskać panie bracie miły, bom jako żyw podobnego gracza nie widział.

I padli sobie w ramiona.

Srul z podniesionemi ku niebu rękoma podbiegł ku

adwersarzom, chcąc głosić tryumf zgody i ocalenia, gdy wtem Janikowski nanowo się ozwie:

— Dalibóg rad jestem z presentymentu, że ja tu pozostanę, ale nie ty, panie bracie, albowiem setnieby mi żal było takiego kawalera. Wszelako czas nam kończyć, bośmy to nie chłystki, quinque djabłów, abyśmy obaj do domu wracali, a słowo się rzekło mospanie, kobyła u płotu. A ponieważ słonko już się chyli ku spoczynkowi, a w tej puszczy pomiędzy opryszkami i dzikim zwierzem nie arcybezpiecznie pociemku plądrować, broń zaś nam sieczna nie służy, uciekniemy się do palnej. Ale pozwólże waszmość raz jeszcze sobie podziękować za doznaną prawdziwą satysfakcyę.

Rzekłszy to Janikowski chowając pałasz do pochwy, dobył pistolety, adwersarz go naśladował, a on znów prawi:

— A na ile też niesie waszmościowa broń?

— Na pięćdziesiąt przebija nawylot calówkę.

— Quinque djabłów! to mi meta kawalerska, nieżal na takiej głowę położyć. Raczcież tu stanąć, ale tak nie przeciw słońca.

Ustawiwszy adwersarza, począł Janikowski pięćdziesiąt kroków odliczać, a skoro skończył, pokłonił się nizko mówiąc:

— A teraz zaczynajcie, w imię Boże!

— A czemu to ja, a nie waszmość masz pierwszy strzelać?

— To nic nie ma do rzeczy, ja pierwszy nie strzelę, daję na to parol.

— Kiedy parol, quinque djabłów, to już na losy, raczcie oznaczyć waszą metę, połóżcie na niej szablę, ja toż samo uczynię i rozegramy się na „długi kij“.

Powiedziawszy to, rzucił się do pierwszego krzaka, wyrzął cień żerdź długą, oczyścił liście i gałązki w mgnie-

niu oka i obaj adwersarze poczęli na nią kłaść ręce, jak to się gra w „czyja na wierzchu“. Ręka kasztelanica była ostatnią.

— Quinque djabłów! Sprawiedliwe wyroki boskie, że waść poczynasz, bo w istocie mnie już gryzie sumienie żem był agresorem i całą tę nieszczęśliwą rozprawę wywołał. A palże mnie za to, panie bracie, quinque djabłów, i to w sam łeb! Bo chowaj Boże złej godziny, a jednego dzielnego kawalera mogłoby być mniej na świecie!

Stanęli.

Branicki, mając pierwszy strzał od losu, jakby upadł na duchu, odrazu pobladł... mierzył i nie mierzył, chciał i nie chciał, wahał się, aż nakoniec zawołał:

— Ej! panie bracie! Bóg mi świadkiem, że na dziesięć ledwie raz chybiam do tuza, a żalby mi było setnie takiego dzielnego kawalera, jak waszmość. Ot, lepiej dajmy pokój tej grzesznej zabawie.

Po tych słowach już chciał biedz ku adwersarzowi z otwartemi ramiony, gdy ten zawołał srogo:

— Quinque djabłów! Stój! ani rusz z miejsca! jesteś na placu!

A potem łagodniej dodał:

— Słuchaj, panie bracie, na co nam się ośmieszać. Słowo się rzekło, nie jesteśmy żaki, quinque djabłów, aby z gęby cholewę robić, strzelaj więc, a nie oszczędzaj mnie, bo powiadam ci, tak mi się twoje lewe oko uśmiecha, tak mnie jakaś nieopisana atrakcya ku niemu nęci, iż jak mi Bóg miły, jeżeli mnie chybisz, trafię niezawodnie, a przez całe życie nie odżałowałbym straty tak gładkiego kawalera, jakim waść jesteś!

Branicki pomyślał chwilę, za serce go ścisnęła myśl tego zabójstwa i rzecze:

— Miły bracie, jeślić o cześć chodzi, ogłoszę całemu

światu że strzelać nie umiem, nakoniec żem stchórzył z obawy, aby po mojej chybionej twojego strzału celnego uniknąć, ale do czego to bratobójstwo?

— Strzelaj, quinque djabłów! albo twe lewe oko!...

Rozpoczął pieniąc się od złośli Janikowski, mierząc do adwersarza, lecz tych słów jeszcze nie domówił, padł strzał i już we krwi swej broczył.

Do leżącego na ziemi poskoczył kasztelanic, wołając w rozpaczy:

— O Boże! cóżem ja nieszczęśliwy uczynił!

Janikowski, przytrzymując ręką bok, z którego krew obficie buchała, odparł na to uśmiechnięty:

— Dobrześ zrobił, miły bracie, quinque djabłów, żeś zmiótł jadowitą gadzinę, bo wyznam ci w chwili śmierci, żem niechrześciańską pałał do ciebie zawiścią, a teraz widzę iż gdybym żył, kochałbym cię o tyle, o ile nienawidziłem, boś jest walny chłop i setnie mi przypadłeś do serca.

Srul tymczasem rad że jego panicza podobny traktament ominął, chciał się zabierać do opatrzenia rannego, lecz ten zlekka go ręką odtrącając, rzekł, lubo głosem słabnącym, ale zawsze wesoło:

— Co mi tam żydzie! quinque djabłów! chcesz dłubać, wszelki opatrunek około mnie już do wilków należy, tak przecie było powiedziano, daj mi tam pokój — zwracając się zaś do Branickiego, ciągnął:

— Prawda, panie bracie, że jeden z nas miał tu pozostać, verbum nobile, quinque djabłów!

— Wszystko co dotyczy naszej rozprawy, dochowane według parolu, lecz tu gdzie idzie o miłość bliźniego a ratunek chorego, wszelkie światowe umowy ustają — odparł kasztelanic.

Srul zaś pomimo zakazu ciągle usiłował krzątać się około rany.

— Słuchajno, ty żydzie, quinque djabłów, precz albo strzelę! — wyszeptał Janikowski słabnącym głosem, ale z pasyą, obraniając ranę odwiedzionym pistoletem, który trzymał w ręku.

— Nachyl się, miły bracie — mówił do kasztelanica — bo już mi stygnie w piersi, dalej już i szczekać nie będę, słuchaj, nie przerywaj, quinque djabłów. Pytałeś czyli ci wybaczam? O, z całego serca i oby Bóg miłosierny tak wszystkie moje grzechy odpuścił, zresztą jam tu jeden winny... przebaczam pod kondycyą, abyś zabrał moją broń; w mężniejsze i godniejsze ręce powierzyć jej nie mogę... Zdejm ze mnie trzos, jest tam trochę złota, którego nie mam komu zostawić, sam jeden na świecie, bez krewnych, zrobisz z niem coć się spodoba... Krzyżyk z błogosławieństwem od matki chciałbym zachować, ale bestye wilczyska gotowe pożreć i to razem ze ścierwem, zawieś jako wotum w kościele... spiesz do domu... dalej noc... bywaj zdrów... quinque...!

Kasztelanic musiał ucho do samych ust rannego przycisnąć, aby dosłyszeć ostatnich słów, które mu na ustach zamarły, i zadumał się a zafrasował srodze nad tą marną śmiercią, której poniekąd był zmuszonym powodem. Z głębokiej zadumy wyrwał go głos Srula, który wołał radośnie:

— No, przecie chwała Bogu!

— Co to jest, co za żart niewczesny nad umarłym! — zawołał kasztelanic w gniewie.

— Jaki tam umarły, rad tylko jestem że nakoniec zemdlał, bo nigdybym rany nie opatrzył — odparł Srul, który skorzystał z tej pozornej śmierci, aby się koło rany zawinąć.

— Nietylko że żyje, ale przy łasce Boga może dalej żyć będzie, o ile mi się zdaje i na tem się rozumiem.

— O nieba! co mówisz? — zawołał kasztelanic uradowany.

— Da Bóg będziemy się cieszyć, ale teraz nietrzeba stać z założonemi rękoma, bo to noc za pasem a kawał drogi do domu, niech mi panicz na przemycie rany wody przyniesie, ale w czem?... aha! proszę zdjąć but, źródło ztąd nie daleko, choć trochę wyciecze, zawsze coś się zostanie.

Branicki natychmiast rozkaz wypełnił.

W tem miejscu dopuszczę się małego zboczenia: trudnoby suponować, aby żyjący w owych czasach pomiędzy szlachtą, gdzie rany gęsto się przejawiały, nie umiał się z niemi obchodzić, przynajmniej co do udzielenia pierwszych starań na razie; osobliwie Srul, bywały na kuligach kasztelańskich, gdzie wypitka z wybitką chadzały w parze, mógł się temu przypatrzyć. Nareszcie żydzi dawniejsi siedzący po karczmach, czynili sobie profesyę z cyrulictwa, mając do tego zdolność wrodzoną. Srul, wiedząc zawczasu, po co się panowie do puszczy udają, zaopatrzył się tajemnie w szarpie i rozmaite środki na razie pod ręką przydatne i że rana była wielka, zdjąwszy własną koszulę, pociął na bandaże. Branicki, wracający z wodą, zastał go przy tej czynności.

— Poczciwy Srulu! — zawołał z admiracyą — a co, jakże mu jest?

— Żyje i coraz lepiej, jest to tylko zemdlenie, gdybym chciał mógłbym go otrzeźwić.

— Dla czego nie chcesz?

— Bobym nie dał rady z opatrzeniem, to istny „quinque djabłów“, znówby się rzucał i groził, nie donieślibyśmy go do domu, co należy niezwłocznie uczynić. Już ja tu sobie z nim dam radę, a panicz niech teraz pójdzie i szablą

natnie mi ze dwadzieścia żerdzi, na nosze, tylko rychło, czas nagli.

Niedługo potem ranny obandażowany, a na ile umiejętność Srula starczyła, lege artis, włożony był na nosze, które z wielką ostrożnością a niemniejszym wysiłkiem we dwóch z kasztelanicem dźwigali.

. . . .

Lecz zanim w dalsze dzieje się zapuścimy, musisz miły czytelniku! wysłuchać małej *notabenki* autorskiej:

„Dzisiejsze nasze pojedyneczki, dość wprawdzie gęste, a których wynikiem bywa najczęściej pukaninka z chybionemi strzałami, lub tylko śmierć i rany szampańskim butelkom zadane, nie wzbudzą w dzisiejszym czytelniku wiary w rozprawę powyżej tu opowiedzianą. A jednak Bóg świadkiem, nie jest to historyjka zmyślona, lub jak to mówią z palca wyssana; za moich dni młodych krążyła ona w żywej tradycyi, szeroko starzy o niej gadali. Wypadki, które się dalej opowiedzą, wiarę moją i do tego nakłoniły. A zresztą, co się nam dziś widzi nieprawdopodobnem, dziać się mogło natenczas, gdy tamci ludzie mieli więcej krewkości, męztwa, brawury i lekceważenia życia, niż my dziatwa naszego liczbowo-materyalnego wieku — *dixi!*

*
* *

Wieść o pojedynku nie mogła zostać tajemnicą, jak ją w każdym wypadku chciał mieć Janikowski; rozumie się, należało o wszystkiem uwiadomić księcia, a ztąd historya gruchnęła po całym dworze. Kasztelanic stał się bohaterem chwili nietyle za sam oryginalny pojedynek, boć bywało ich wiele po świecie, a męztwo chodziło wtedy gęsto po ludziach, lecz za bezprzykładne poświęcenie około chorego, którego na swojem łóżku umieścił a dniem i nocą nie od-

stępował, zabaczywszy przez ten czas wszystkich spraw, uciech, zabaw i nawet pokojów książęcych.

Dla uniknięcia rozwlekłości opuścimy szczegóły i szczególiki przebiegu choroby; po trudnem a pełnem poświęceniu dodźwigania rannego do domu, wezwano starego Mortza, który w rzeczy był jednym z bieglejszych chirurgów; pomimo to jednak dużo czasu minęło nim nadzieja życia przystąpiła do łoża chorego. Nieborak trawiony gorączką majaczył, że jest pożeranym przez wilki lub obdzieranym od zbójców. Nareszcie po kilku tygodniach, ku wielkiej uciesze kasztelanica, Srula, bo nawet sam książe często do pielęgnowania chorego przyłączał się, Janikowski otworzył oczy i przytomnie na świat spojrzał:

— A gdzie to ja jestem? — spytał zdziwiony.

— Na łóżku twego najlepszego przyjaciela — odpowiedział Branicki uradowany.

— Przecie nie tak było powiedziano, nie tu się znajdować winienem, nic nie pojmuję, co się ze mną stało?

A widząc że kasztelanic zabierał się do zaspokojenia jego ciekawości, powstrzymał go i mówił dalej:

— Poczekajcie, bo ja miałem jakby sen, coś mi się tak majaczyło...

Poczem z całą przytomnością opowiedział wypadki, które przytoczyliśmy wyżej, co wielce uradowało otaczających, bo przytomny temu Mortz zapewnił o minionem niebezpieczeństwie. Poczem już chory rączym krokiem dążył do zdrowia. Razu pewnego, kiedy sam na sam z Branickim pozostali, Janikowski prawił:

— Nie wiem, czyli ci dziękować za wybawienie lub nie? czas to pokaże, gdyż tę moją wichrowatą naturę może i lepiej byłoby w śmierci uspokoić. Jednak, przyznaj panie bracie, żeś stchórzył?

— Ja stchórzyłem? — spytał bez obrazy Branicki.

— Ano tak, bo prawdziwa odwaga męża nie zawiera się jeszcze całkiem w zwierzęcym niejako procederze bicia się, ale w spełnieniu tego co sobie człek przedsięwziął i postanowił, a tyś sobie ze mną począł po babsku.

— Pewny tego jestem, iż na mojem miejscu w podobnej okoliczności nieinaczejbyś postąpił.

— Nie! quinque djabłów! Nie chcę uchodzić za lepszego niźli mnie Bóg stworzył, i powiem ci szczerze, że gdybym miał pierwszy strzał, ani jotybym nie uchybił naszemu cyrografowi i niezawodnie siedziałbyś w trzewiach wilczych, a do tego czasu jużby cię może wilki strawiły.

Branicki wysłuchał tej mowy z prawdziwem ukontentowaniem, a najbardziej go cieszyło owe *quiuque djabłów*, bowiem Mortz przepowiedział, iż chory gdy pierwszy raz zaklnie, będzie na stopie rychłego wyzdrowienia.

— Skoro tedy, miły bracie, stało się inaczej i nie siedzisz w trzewiach wilczych a plątać się jakoś po tym bożym świecie musisz, zatem raczysz wziąć co do ciebie należy — rzekł Branicki, składając przed towarzyszem trzos z pieniędzmi, broń i inne rzeczy przy nim znalezione.

— A cóż to? quinque djabłów!—zawoła ten z pasyą— czyli trzymasz mnie waść za chłystka. człeka bez parolu, ażebym raz rzecz testamentem legowaną odbierał?

— Toć naucza przecie każde prawo, iż testament nie jest ważny aż po śmierci testamentnika i póki tenże żyje, testament może odmienić.

Na te słowa Janikowski uderzając pięścią w stół, który się rozpadł na dwie połowy, wrzaśnie gniewnie:

— Quinque djabłów! alboż ja żyję?

— Bogu na chwałę. mojemu sumieniowi na ulgę, a sercu na pociechę, bom cię szczerze pokochał, panie bracie — odparł radośnie Branicki, widząc że przyjacielowi wraca siła olbrzymia z której słynął.

— Co mi waść prawisz sentencye; ja tyle wiem, że stosownie do naszego parolu, ja quinque djabłów żyć nie powinienem. Na jakiego licha wyrwałeś mnie od wilków, skoro to było moją destynacyą. Najadłyby się wilczyska i choćbyś jednego kurlandzkiego barana oszczędził. Po co ja żyję, pytam, quinque djabłów?

— Abyś mi był przyjacielem od serca, aż do śmierci! — zawołał ze łzami kasztelanic chwytajec w ramiona towarzysza, który się od tego nie wzbraniał.

I popłakali się rzewnie.

Jacy tam byli ci nasi przodkowie, dobrzy lub źli? Bóg ich będzie sądził, ale że krew i łzy lały się w nich bystrym strumieniem, to już niezawodna prawda.

Skoro się dowoli wypłakali i wyściskali, rzecze kasztelanic już całkiem poufale:

— Teraz spodziewam się, mój Kostku, że przestaniesz dziwaczyć i zabierzesz te swoje legata.

— To już tam próżne gadanie, panie bracie. Wskrzesiłeś mnie sobie, quinque djabłów, to już mnie trzymaj, ale ja parolu nie cofam. A na sto katów umarłemu pieniądze? Krzyżyk matczyny to jeszcze mogę wziąć, bo czy tam będzie wisiał na murze kościelnym czy na trupie, to mu wszystko jedno. Broń wziąć muszę, bo jakkolwiek jestem nieboszczykiem, zawsze atoli szlacheckim, a szlachcic na ziemi bez broni, to jak ryba w wodzie bez oskrzelów, niedaleko popłynie. Raczej pożyczysz mi tej broni, abym ją użył dla ciebie, w twojej obronie i zachował ci życie, którego mnie nie odebrałeś. Ale co do pieniędzy sza! quinque djabłów, bo się nanowo pogniewamy.

I znów się uściskali serdecznie a rzewnie.

Tak to się zawiązał stosunek przyjazny zeszłowiecznych Piladesa i Oresta. A nie myślcie abym wam prawił jakowąś bajeczkę, boć się tego i indziej doczytać możecie.

Przecie Branicki (w świetle *sui generis*) figura historyczna, a i Janikowski słynął z odwagi, już to prawda niemało i z awantur, pojedynków i burczymuchostwa. Przyjaźń zaś obudwóch niezmienna od tej daty pół wieku dotrwała, pomimo iż nieraz potrąciła się o szkopuł różnicy zdań politycznych — ale nie uprzedzajmy faktów.

* * *

Owoż jak niebezpieczną jest rzeczą zapaść w ten rozkoszny odmęt przeszłości! Zabłąkany opowiadacz w tym labiryncie, napróżno w surowej formie piśmiennictwa szukałby kłębka Aryadny, ażeby z tego obłędu wyjść dobrą drogą; jedno się bowiem nawija po drugiem, żal tego ominąć, szkoda innego nie dopowiedzieć, nie godzi się tamtego ukrzywdzić zapomnieniem, to znów coś cię samego za serce ciągnie i pod pióro podaje, że owemu *dulcis recordatio praeteritorum* opędzić się niepodobna. To jest właśnie powód, dla którego my starzy gawędziarze grzeszymy rozwlekłością, bo skoro jedną kartę przewrócisz w tej księdze przeszłości, tak i z księgą się niesnadno rozstaniesz — jakby powiedzieć — jak modna dzisiejsza dama z romansem Dumasa. Wszakże dla zapobieżenia znudzeniu miłego czytelnika, zadając sobie gwałt skracania, idę dalej.

Ow bój niezwyczajny dwóch młodych bohaterów, a z niego wzrosła przyjaźń wzorowa, wzbudziła ku nim admiracyę tak samego księcia jak i całego dworu; Janikowski dawną łaskę książęcą odzyskał, wszakże kasztelanic jako bardziej odpowiadający księciu przez tradycye i wychowanie był mu bliższym, a może i to, że ze świeżym forszusem na gołym dworze był mu przydatniejszym, a to tembardziej iż właśnie zjechały się stany kurlandzkie na elekcyę księcia, należało je podejmować, a około Karola było kuso.

Kasztelanic sam prawie, pomimo przestróg wiernego Srula hojnie szafował ostatkiem zapasu, który niezawodnieby się wyczerpał, gdyby przezorny Srul nie wpadł na pomysł założenia domu gry za resztę majątku kasztelanica, na wyłowienie kurlandzkiej gotówki.

Gry naówczas, jak wiadomo, były w modzie i bardzo rozpowszechnione, nie broniono nawet zakładania domów gry publicznych, był to sobie proceder handlowy jak każdy inny, a nierzadko praktykowany przez żydów. Nie były to słynne zakłady na wielką stopę jak za naszych czasów u wód niemieckich, a nakoniec ostatnia próbka istniejąca w Monaco, lecz zwano takie domy powszechnie jamami, gdzie ludziom nikt nie bronił zgrywać się swobodnie, tolerancya zaś do tego dochodziła, że ojciec wówczas panującego, król August II, jak wiadomo, chętnie do takich domów uczęszczał. Owoż Srul obrał ten sposób podreperowania fortuny pańskiej, co mu się dobrze powiodło: czy sukces zawdzięczał wrodzonej żydom kalkulacyi lub sztuką szczęściu dopomógł, co w ówczesnych pierwotnych czasach szulerki było dość naturalnem i popłatnem, przy naiwności graczy i niebardzo potępianem szulerstwie — może być że przebiegły żyd jedno z drugiem połączył — ale koniec końców, że ową przenośną pańską fortunkę przywiódł do pierwotnego stanu doniosłości — a był czas wielki po temu, bo się nowe nawijały potrzeby.

* * *

Skrępowany obowiązkiem skracania, a zresztą i historyi nie pisząc, nie wdam się w szczegóły, jak za protekcyą Imperatorowej Elżbiety nastąpiła elekcya księcia saskiego na księztwo Kurlandzkie (w listopadzie 1758 roku). Samo przez się, że król na inwestyturę nie dał czekać sy-

nowi, którą mu wręczono solennie już w styczniu roku następnego. Na tę uroczystość towarzyszyli do Warszawy księciu kasztelanic i nieodstępny już teraz jego socyusz Janikowski. Król wiedząc, ile syn jego w sukcesie elekcyi zręczności Branickiego zawdzięczał, mianował go swoim szambelanem i podpułkownikiem pancernej chorągwi — odtąd datuje się przyszła świetna karyera kasztelanica. Janikowski, jako skromniejszy, zadowolnił się prostem porucznikostwem w tejże chorągwi, byle nie rozłączać się z przyjacielem.

Za powrotem z Warszawy rozjaśniło się na ciemnogołym horyzoncie dworu książęcego, gdyż ze wstąpieniem na tron kurlandzki i dochody państwowe wpływać poczęły. Dopieroż szeroko hulaszcze zakwitło tam życie, którego Branicki był duszą, a jego satelici Janikowski i Srul dzielnie mu wtórowali. Ten ostatni, chociaż izraelita, był jednak nietylko tolerowany, ale bardzo wzięty na dworze, już to jako człek wyższej edukacyi, już to jako biegły muzyk, bo i sam książe kunszt ten miłował, grywając na cytrze.

Dobrzeby im tam było zaprawdę na tym wesołym dworze, gdyby nie to, że wojna siedmioletnia coraz dotkliwiej obijała się o Saksonię. Rwał się do oręża duch młodego księcia, a pilno mu było biedz na odsiecz przyrodzonej swej ojczyzny, ciężko zgnębionej przez Fryderyka pruskiego; jakoż jął werbować ochotnika, aby z nim na siedmioletnią wojnę ciągnąć. Lecz lubo z polepszeniem fortuny i dworzan przybyło, jednak ci w obecnej wojnie nie szukali karyery; dom zaś saski, chociaż go się trzymała arystokracya dla swoich widoków, ale u ogółu szlachty nie posiadał tego miru i popularności, ażeby się ta na obronę Saksonii rzucała. Wprawdzie król szafował rangami, orderami i honorami wojskowemi — bo wojna skarb jego po-

chłonęła — aby z rzeczypospolitej co najwięcej rekrutować ochotnika, ale tego się wiele nie nalazło. Toż i dworzanie księcia kurlandzkiego, skoro ten chciał ich wcielić do saskiego wojska, rozleźli się powoli,pozostało niewielu, chyba już ostatkami goniących, a niemających o co się zaczepić, albo prawdziwie przywiązanych do osoby książęcej lub do jego jakokolwiek świecącej gwiazdy. W tej liczbie był Branicki, a rozumie się pociągnął za nim już nieodstępny jego satelita Janikowski, który wszakże na zrobioną sobie propozycyę tej wyprawy, swoim zwyczajem odburknął:

— Quinque djabłów! kłaść szlachecki łeb za szwabską sprawę, licha to impreza!... Jak mówią „zdrową głowę pod ewangelię“. Ale że to jegomość wyrwałeś mnie sobie z wilczych trzewiów, to już ja się waści nie puszczę.

Książe kurlandzki rwał się na obronę swej rodzinnej ziemi, boć iście rycerska w nim była dusza; przodem wyruszył z Branickim; (którego za męztwo in futura, król Jmć już na pułkownika rychło posunął), powierzył sztyftowanie kurlandzkich ochotników, z którymi miał za nim pospieszyć.

* * *

Odbieglismy zadaleko od naszej złotowłosej germanki, a zaprawdę bez białogłowy kraszącej żywot ludzki, źle jest tak na świecie, jako i w gawędzie, więc co rychlej do niej wracamy. Biedna Gretchen, odrazu jak powiedzieliśmy, młodziutkiem sercem przylgnęła do szlacheckiej postawy kasztelanica, a jak się zwykło dziać ze szczelnie zamykanemi dziewczętami, u których „co na placu to nieprzyjaciel“, i przy pierwszem na pierwszego młodzieńca spojrzeniu już serce goni za okiem — a przylgnęła z tą niemiecką akuratnością, która we wszystkiem dotrwa gorliwie do

końca. Niemka *akuratnie* kocha, szaleje, poświęca się bez granic, z tą samą *akuratnością* i w swoim rodzaju zapałem, jak lepi knedle, robi pończochę, piastuje dzieci i t. d. — musi wszystko wykończyć do dna, wysnuć do ostatniej nitki.

Kasztelanicowi schlebiała miłość pierwsza młodego dziewczęcia, grały w nim zmysły namiętne, pobudzała go świeża piękność, ale przeto rachuby nie tracił, godności rodowej nie zabaczył. Biedna zaś Gretchen na jasnego panicza leciała na oślep jak ćma na światło, jak heroina starej ballady, którą jakiś niemiec stworzył na zimno przy dymie porcelanowej fajki o długich kutasach, zakrapianym nektarem chmielowym.

Starego opiekuna Mortza olśnił polski panek przepychem, schwytał za wyziębione serce gładkością i rewerencyą, której od reszty dworzan stary niemiec nie doświadczał. I on, swojego czasu naczytawszy się sielanek, opiewających, jako królowie wzdychają do pasterek, wynosząc je do wyżyn tronu, przy swej fajeczce marzył o przyszłym losie swej wnuczki, a kasztelanica jak najczęściej w dom zapraszał, z czem mu było niezgorzej.

I kochali się młodzi, każde z nich na swój sposób — ona marzyła o wieczności sentymentów, on gonił za chwilką rozkoszy, i dobrze im było, jak wszystkim co się gorąco miłują.

Jeden tylko Srul stał im na zawadzie, bo pomiędzy balladę kasztelanica a słuch dziewczyny, wmięszał swój flet, pomiędzy ogniste spojrzenia kochanków wsunął wzrok Argusa badawczy. Kasztelanic się zżymał, gdyby mógł odpędziłby siłą, ale to jakoś nie wypadało. Szydził z żydka, iż jest rozmiłowany, on znosił przekąsy z pokorą, ale swoje robił. Czas jednak sprzyjał rozkwitnieniu młodych sentymentów, które bóstwo miłości pokryło swojemi skrzy-

dły, kiedy Srul podczas elekcyi książęcej pracował nad zwiększeniem pańskiego mienia, zgrywając kurlandczyków.

A nareszcie kto tam wie jako się dwoje kocha; jedna praktyka tylko może dać dokładne o tem pojęcie, zatem rozwiązanie tego problematu wolę pozostawić młodym czytelnikom płci obojej — zda się lepszej powagi w tej mierze odszukać trudno — sam zaś pospieszę do wątku opowiadania.

* * *

Książe tedy odjechał na wojnę, a sprawienie szyków wolontaryuszów kurlandzkich zlecił Branickiemu, który podołał trudnemu zadaniu jako tako, przy pomocy Kostka wiernego przyjaciela, a tego w hierarchii wojskowej przybrał sobie za adjutanta. Nie mógł lepiej trafić, bo Janikowski była to czysto obozowa figura, sprawny, słowny, rygorozus, ani kompanii, ani miłostek nie lubiał, a biłby się od rana do wieczora, lub wojskowością wszelką radby się zabawiał. Prawda, że w kuflu kropelki nie pozostawił, ale przy tęgiej głowie, niezamącającej się nigdy żadną ilością, ni też mocą płynu, i to wadą nie było, bo mu jeszcze wojowniczego ferworu dodawało. Takim był Janikowski.

Wszakże i kurlandzcy wolontaryusze niebardzo gorliwie spieszyli, aby w tę cudzą kaszę dmuchnąć, i póki sam książe był na miejscu siła pochlebiali, a jeszcze więcej obiecywali, lecz skoro przyszło dotrzymać, Branicki zebrał zaledwie jakich paruset ludzi i to nie z arystokracyi, ale samej hołoty. Z nimi tedy wyruszał, gdyż książe słał gońce za gońcami, bo sasom gorąco tam było.

Tak tedy rozporządził pan pułkownik marszem: przodem szedł Janikowski jako kwatermistrz tej armii, ze Srulem jej liwerantem i stanowniczym, bo szaloną pałę, Kostka,

puszczać samego nie można było, gdyż nimby dotarł do prusaków, biłby po drodze coby się tylko nawinęło; żyda zaś polubił Janikowski dla jego rozsądku i umiarkowania, a jużto być może i za gorliwą opiekę w chorobie, chociaż on sobie życia nie ważył. Srulowi co prawda niebardzo się spieszyło na tę wyprawę, a szczególniej wypraszał się ażeby w aryergardzie pozostać, lecz pułkownik podżartowywał sobie z niego, że się rozmiłował w pięknej niemce i pragnie dłużej się nią nacieszyć — nakoniec jako liwerantowi kazał iść przodem i żyd bacząc na subordynancyę, wymaszerował, choć mu to widocznie było nie po myśli.

Ci przodownicy na umówionem miejscu mieli się połączyć z głównym orszakiem; jakoż wymaszerował wczas i Branicki, wszakże nie występował z miasta ostentacyjnie, jak to wówczas szczególnie przestrzegano, ale z racyi wielkich upałów, ażeby żołnierza nie męczyć, wybrał się cichaczem, zpółnocka.

Główny oddział po paru dniach znalazł w umówionym punkcie awangardę, a staraniem Srula wszystko było w porządku. Branicki też rad był połączyć się ze swoimi, ale widocznie był pomięszany i jakby nieswój, a kolasa kryta pułkownikowska, której dwóch kurlandzkich drabantów pilnie strzegło, widocznie ukrywała jakąś tajemnicę, nawet przed oczami przyjaciół, dla których dotąd nic tajnego nie miewał. Zaintrygowało to obydwóch poufałych pułkownika; Srul chociaż przebieglejszy, jednak w spenetrowaniu tej rzeczy dał się uprzedzić Janikowskiemu, który z funkcyi subalterna, obchodząc w nocy szyldwachy i posterunki, dotarł do owej kolasy pułkownika i dopatrzył przy świetle księżyca tej tajemnicy, która była nie czem innem, tylko ową piękną niemką przebraną za węgrzynka, a dla bezpieczniejszego ukrycia pozbawioną najwspanialszej ozdoby, płowych bujnych warkoczów. Zawrzał gniewem pan po-

rucznik, bo wszelkich odstępstw od wojennego regulaminu nie lubiał, jednak nie chcąc się mięszać do spraw dowódzcy, przygryzł tylko wargi, ludzi z patrolu rozpuścił, a sam udał się do Srula, z którym dzielił kwaterę; wszedł zasapany, zły i rzucając kaszkiet na ziemię, wrzasnął:

— Co mi to za obóz, co mi to za wojsko! psu na buty się nie zdało, quinque djabłów, gdzie są podwiki przebrane za chłopców!

Srul, jakby się wszystkiego domyślał, pobladł i błędnym tylko wzrokiem badał dalszego wyjaśnienia gniewu porucznika, który nie dał mu na nie czekać.

— A pięknie się nasz pułkownik bawi — ciągnął dalej — czy wiesz, co ukrywa w owej kolasie? oto wnuczkę starego Mortza, przebraną za węgrzynka.

— Czy pan porucznik pewny tego?

— Quinque djabłów! na wiatr słów nie rzucam, przecię tę dulcyneę nieraz i nie dwa spotkałem w ogrodzie, wprawdzie tylko zdala, bo to ja od podwik jak czart od święconej wody, ale znam ją i dokumentnie się teraz przyjrzałem.

Srul się zafrasował bardziej, pomyślał przez chwilę, a potem rzekł:

— I pan porucznik temu nie zaradzi, aby kobiety nie było w obozie, przecież to się sprzeciwia regulaminowi.

— A jakże tu quinque djabłów sobie poradzić? Z panem pułkownikiem w kontrze stawać mi nie wypada, a zresztą chociaż jest podwika, ale przebrana po chłopięcemu, decorum zachowane, quinque djabłów!

Po krótkim jednak namyśle Janikowski uderzył się w głowę, aż coś w środku zahuczało, i zawołał z tryumfem wynalazcy:

— Albo wiesz co! quinque djabłów! wyborna inwencya! skoro się chcesz pozbyć tej podwiki, bo to w rzeczy

samej choć przebrana, ale w razie czego może być konfuzya dla obozu, zatem wiesz jak umyśliłem? Każę jego, czy tam ją, krótko mówiąc to licho, wywlec z kolasy pułkownikowskiej — a jak? w tem już moja głowa, a sam nadejdę z patrolem i niby to pojmany szpieg... cel, pal i po wszystkiemu! A co, może powiesz że tak źle? quinque djabłów! czyliż nie będzie to krótko i węzłowato?

— A na Boga, panie poruczniku, gubić niewinną duszę w ten sposób! — zawołał wylękniony Srul.

— To powiadasz, quinque djabłów, że tak źle? No proszę, a ja myślałem, żem to z finesem skoncypował! Jeżeli więc tak się nie spodoba, to ją w pierwszej potrzebie podsunę prusakom, żeby wzięli w plen...

Srul wielce zafrasowany zakończył rozmowę, a porucznik rychło zachrapał, bo pora była spóźniona, on zaś na sen długo nie czekał.

* * *

Minął czas jakiś po tej rozmowie, wojsko było w ciągłym marszu. Pewnego dnia o świcie, nim jeszcze capstrzyk uderzono, pułkownik podkradłszy się cichaczem do tajemniczej kolasy, rad był niezmiernie, iż nie znalazł ani Janikowskiego, ani Srula, którzy ciągle pod różnemi pretekstami tam się kręcili. Lecz zarazem zdziwił się i przeraził niepomału, gdy nie dojrzał na stanowisku szyldwachów, ci zaś jakby martwi leżeli na ziemi obok karabinów. Zajrzał czemprędzej do kolasy, ta była pustą. Szyldwachów ani się dobudzić; trącał ich nogą pułkownik, podnosił i opuszczał na ziemię, lecz na nic się to nie przydało, znaku życia nie dawali. Zresztą było cicho, obóz w śnie jeszcze pogrążony.

Branicki po pewnym namyśle strzelił z dwóch pisto-

letów. Porucznik, który już czuwał w przeciwnej stronie, na odgłos wystrzałów kazał natychmiast doboszowi na larum bębnić, sam zaś skierował się w stronę zkąd wystrzały dosłyszał, a zabrał ze sobą patrol dyżarny. Wkrótce dotarł do pułkownika, który stał blady i pomięszany przy kolasie, a skoro ujrzał przybywającego, napadł nań z góry.

— Mości poruczniku! co to jest? — zawołał, ukazując bezprzytomnych szyldwachów na ziemi.

— Mości pułkowniku! może nagła jaka choroba, byłem tu przed małą godziną z moim patrolem i wszystko znalazłem w należytym porządku — odparł Janikowski spokojnie, pochylając się dla obejrzenia leżących bez duszy szyldwachów, a zwracając się do podoficera, dodał:

— Zawołać chirurga, niech tu natychmiast przybywa.

— Mości poruczniku, jest dezercya w wojsku! — zawołał surowo Branicki.

— Stawaj do apelu! — zakomenderował spokojnie i zimno porucznik; a skoro koło uformowali, dobył papier czytał z kolei po imieniu, a skoro na każde zapytanie nastąpiła odpowiedź, „przytomny“ — salutując pułkownikowi, powiedział:

— Mości pułkowniku, mam honor złożyć raport, iż wszyscy stanęli do apelu, dezercyi nie ma.

— A gdzież węgrzynek? — spytał Branicki.

— Węgrzynka żadnego nie mam na assortyrunku, mości pułkowniku — rzekł porucznik ukazując trzymany papier.

Branicki spojrzał nań surowo, jakby mu chciał dać do zrozumienia, iż się domyśla czyja to może być sprawka.

Tymczasem przybył chirurg a opatrzywszy szyldwachów, zawyrokował, iż to jest apopleksya piorunująca, lecz spodziewa się uratować chorych przy rychłej pomocy, dla udzielenia której kazał ich przenieść do ambulansu.

Branicki, nie zważając na przytomność porucznika, a z nim całej kompanii, kręcił się niespokojny około kolasy, jakby czegoś szukał; nakoniec tyle oczów zwróconych na niego widocznie mu się sprzeciwiały, bo zakomenderował głosem donośnym:

— Kompania na lewo w tył — czyścić konie i oczekiwać na dalsze rozkazy.

Porucznik z obowiązku powtórzył komendę i już odchodził, kiedy go pułkownik spytał:

— A gdzież jest liwerant?

— Według rozkazu pana pułkownika, wczorajszego wieczora wyruszył na przygotowanie furażu.

— Proszę iść z kompanią i czekać rozkazu.

Gdy wszyscy odeszli, Branicki konwulsyjnie wskoczył do wnętrza kolasy i jął tam wszystko przewracać, jakby się spodziewał coś ukrytego odszukać — jakoż znalazł sukinie onego węgrzynka, a na nich papier w formie listu złożony, pochwyciwszy go, wyskoczył z kolasy i przy szarzejącym dniu te wyrazy odczytał:

Mości pułkowniku! Mam zaszczyt meldować, iż według rozkazu pańskiego nie udałem się na furażerówkę i niniejszem mam honor upraszać o dymisyę, jak również węgrzynek, wracający do swojego postu honorowego przy matce i dziadku, którego jako żołnierz owej chorągwi, dla własnej czci pilnować winien.

Liwerant chorągwi kurlandzkiej *Srul Mortko*".

Po odczytaniu fatalnej kartki, pułkownik zakipiał złością, oczy mu krwią zaszły, wygrażał w powietrzu zaciśnionemi pięściami, sam nie wiedział komu; rzucał się w tę i ową stronę, jakby chciał kogoś dogonić i pojmać. Nareszcie dojrzawszy opodal uszykowane wojsko, oczekujące rozkazów, puścił się cwałem ku niemu, a stanąwszy przed szeregiem, rzekł:

— Mości poruczniku, wybierzesz waść piętnastu pewnych ludzi dla strzeżenia obozu i amunicyi i pozostaniesz z nimi tu na miejscu do dalszego ordonansu, reszcie zaś daję abszyt do wieczornego capstrzyku.

Natychmiast posypały się okrzyki:

— Wiwat, niech żyje nasz pan pułkownik!

Branicki, dając znak ręką aby się uciszyli, przemówił, o ile tylko mógł, osłodzonym głosem:

— Dzieci! dezerterował żyd liwerant i mój węgrzynek, kto z was któregobądź z tych dwóch dostarczy, odbierze po sto czerwonych złotych za każdą głowę, a gdyby to był prosty żołnierz, dostanie awans na podoficera. Lecz o wieczornym capstrzyku każdy na miejscu, pod rygorem wojskowym!

— Niech żyje nasz pułkownik! — zawołali chórem i rozsypali się na wszystkie strony świata, a tak ochoczo, iż zdałoby się, że wszelką stratę z pod ziemi wygrzebią, z nieba zdejmą.

Branicki kazał sobie podać najlepszego konia, wskoczył nań, długo rozpatrywał się na wszystkie strony, jakby wzywał natchnienia lub miał się rządzić instynktem... pomyślał... pomyślał i cwałem puścił się w obranym kierunku. Janikowski, z dobranymi ludźmi pozostawiony na straży obozu, ruszał tylko ramionami na całą tę gorączkę pana pułkownika, której wcale się nie obawiał, a owszem pod wąsem drwił z niej sobie.

Wedle ordonansu wróciło rozproszone wojsko na capstrzyk wieczorny; kilkunastu jednak skorzystało z okazyi aby dezerterować, a inni puściwszy się dalej za tak korzystną zdobyczą także się nie stawili.

Sam pułkownik na zziajanym koniu wrócił dopiero nazajutrz, ledwie około południa, nie spytał o nic, nawet nie spojrzał na porucznika, a zły i zalterowany, przespaw-

szy się w swojej kolasie, dosiadł świeżego konia i znów pognał na cztery wiatry, ponowiwszy wprzód abszyt kompanii na jeden dzień, końcem szukania zbiegów. Tak się powtarzało przez trzy dni. Janikowski patrząc na ten ład wywrócony, szarpał tylko wąsa, ruszał ramionami, niecierpliwił się a mruczał:

— Quinque djabłów! to mi piękna wojaczka, pogoń za podwiką i żydem; czylibyśmy tak mieli wojować do sądnego dnia? Jeżeli tak dalej będzie, to i ja sam sobie bez meldunku wezmę abszyt nieograniczony.

Nareszcie po kilku dniach tej forsownej obławy wszystko wracało w karby wojskowego rygoru; wprawdzie z parę dziesiątków maruderów nie stawiło się do apelu, ale nakoniec, ku wielkiej uciesze porucznika, marsz zapowiedziano; wprzód jednak wystąpił pułkownik przed szeregi i ozwał się:

— Dzieci! dziękuję wam za gorliwość w poszukiwaniu zbiegów, będziecie za to mieli przez tydzień podwójną racyę wódki. Nagrody za dostarczenie zbiegów nie cofam, owszem podwajam ją: żyda można dostarczyć *zdechłego* (wyraz ten wymówił krztusząc się od złości), wszystko jedno, bo bez tego wedle krygsrechtu acz nie żołnierz, ale jako liwerant, stanowiący posługę wojskową, podlega on karze gardłowej i za zjawieniem się do obozu kula w łeb szelmie! Lecz gdybyście natrafili na węgrzynka, macie go tylko przyprowadzić, ale oszczędzać i chowaj Boże, aby mu się co złego stało!

* * *

Rozpoczął się nanowo marsz, ale jaki? Klął go z całej duszy Janikowski; do chmurnego pułkownika ani przystępu, nawet od tej katastrofy ucieczki ani razu w oczy sobie

nie spojrzeli. Na jednodniowy lekki przemarsz często gęsto po trzy dni tracili, rozpytywali podróżnych po drodze, a skoro który opowiedział iż napotkał żyda lub jakiegoś gładkiego młodzika, zaraz rozsypywał pułkownik pogoń i sam za nią pospieszał.

Janikowski sierdził się na wszystko, mruczał jak niedźwiadek a klął co siła.

— A quinque djabłów! Fryderyk połknie całą Saksonię nim my zdążymy tym krokiem; żółwieby nas wyprzedziły. Owoż masz: jedna podwika zaledwie otarła się o nasz obóz; a niechże ją kaci porwą, żeby mi tam którą ze złota uleli, to jej nie tknę póki życia!

Zaledwie w jaki tydzień marsz wszedł w jakie takie karby. Lecz pułkownik się nie rozchmurzał; dnia pewnego zwołał krygsrecht, składający się z niego samego, porucznika i młodszego jeszcze subalterna, tylu bowiem było w tej kompanii oficerów i wydał wyrok śmierci na Srula, pomimo opozycyi Janikowskiego, iż liwerant jako nieszeregowy, mógł, nie ściągając na siebie winy dezercyi, obóz opuścić i tylko za naruszenie umowy, jeżeli takowa istniała, może być pociągnięty do sądu cywilnego, ale nigdy pod krygsrecht, tembardziej, że wojsko nie znajdowało się w boju, a przez oddalenie się liweranta żadnej szkody nie poniosło. Wszakże pułkownik z subalternem przegłosowali porucznika, wyrok śmierci stanął i był ogłoszony przed szeregami i Srul z pod prawa wyjęty, tak, iż każdy z kompanii mógł go bezkarnie zabić.

Branicki zaś biorąc na stronę Janikowskiego, rzekł mu z wymówką:

— Nie spodziewałem się, panie bracie, że przeciw mnie za żydem pociągniesz.

— Za żydem, nie za żydem, ale quinque djabłów za sprawiedliwością. Bo po co było takie larum podnosić,

wojsko z karbów rozprzęgać, na co ja patrzeć nie mogę... Na co jegomość wyrwałeś mnie od wilków mojej destynacyi; gdybym w którym tam siedział, przynajmniej pobiegłbym nieraz, a nie lazł tym żółwim krokiem jak my teraz maszerujemy.

Aż lżej było porucznikowi, gdy się wygadał nakoniec, a ciężar tłoczący mu serce zrzucił. Wreszcie i marsz przyszedł do należytego porządku i pułkownik o zbiegach zapominać zaczął, chociaż złość do Srula leżała mu głębiej na sercu.

* * *

Janikowski jednak tęsknił za żydem, który był mu nieodstępnym miłym towarzyszem, a jako człowieka rozważnego statecznego polubił go wielce i obawiał się, aby nie popełnił nieostrożności powrotu, wiedząc że trwały w sentymencie zemsty, Branicki swojego nie daruje. Dla uprzedzenia możliwego nieszczęścia, Janikowski już teraz po całych nocach wałęsał się po obozie, wprawdzie samopas bez patrolu, pod pretekstem aby ludzi nie męczyć. Sznurkował popod obozem w najpustszych miejscach, widocznie jakby kogoś wyczekiwał.

W kilka dni po onym krygsrechcie, kiedy wszystko spało w obozie, a Janikowski wybrawszy się około północy na zwykłą włóczęgę, usłyszał jakieś gwizdanie. Zastanowił się na ten odgłos, a przysłuchawszy się pilniej, jakby znakowi umówionemu, skierował się w stronę zkąd ten wychodził, i wkrótce, o ile mu ciemność nocy dozwalała, ujrzał kogoś, który z ostrożnością opodal od obozu się trzymał; zbliżywszy się do niego dobył porucznik ślepą latarkę z pod płaszcza, poświecił w twarz nieznajomemu —

był to jakiś młodzik bez zarostu, owinięty w płaszcz, z pod którego broń wyzierała.

— Co zacz? quinque djabłów, i czego się tu włóczysz po nocy? — zagadnął opryskliwie nieznajomego.

— Cha! cha! mości poruczniku, nie poznajesz swojego sługi powolnego? — odparł przybyły.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, quinque djabłów, a to Srul!

— Do usług waszmości. A co, czy niegładko zdmuchnęliśmy dziewuchę?

— Zmykaj, quinque djabłów, bo jeszcze gładziej zdmuchną ci głowę z karku, bo pułkownik siarczyście zawziął się na ciebie, jest krygsrecht, wyrok śmierci, głowa twoja oszacowana.

— Wiem o tem wszystkiem.

— Wiesz, quinque djabłów i tu stoisz? A zkądżebyś ty o tem wiedział, chyba przez Ducha św., ale prawda że ty żyd, nic wspólnego z nim nie masz, więc chyba od quinque djabłów?

— Ani nawet od nich, ale od tych samych żołnierzy, wysłanych w pogoń; rozmawiałem z nimi, częstowałem wódką, naprowadzałem na drogi jakie mi się zdawało, ztąd to wszystko wiem i nic mi jegomość nowego nie powiesz — rzekł Srul śmiejąc się, a na zakończenie wyrecytował najdokładniej wszystko, co po jego dezercyi zaszło w obozie i dodał:

— Przewidziałem ja to z góry, bo niedaremnie z pułkownikiem od dziecka chowaliśmy się, wiem iż pasyonat jest i sangwinik, ale skoro mu to przeminie, a znajdzie sobie nową podwikę, to znów stanie się barankiem.

— Jakież cię tu quinque djabłów przyniosło i po co?

— Zatęskniłem kaducznie za pułkownikiem i za jegomością.

— Czyś zwaryował? pierwszy lepszy ciura dla zysku strzeli ci w łeb.

— Alboż mnie pozna?

Janikowski znów przyświecał latarką w twarz Srula, patrzył z uwagą a potem zawołał:

— Tfy! a niechże cię quinque djabłów, to jakaś żydowska albo szatańska sztuka. Ano, cóż z dziewką?

— Tak dobrze zachowana, iż jej quinque djabłów nie wytropią — odparł ze śmiechem Srul.

— Cóż tedy zamyślasz?

— Stawić się w obozie jako nowy wolontaryusz, wszak mając tu wielką dezercyę w obozie z racyi mojej ucieczki, potrzebujecie ludzi.

— Nie miałbym nic przeciwko temu, bo wyznaję żem setnie za tobą zatęsknił i osamotniałem; od tego czasu pułkownik nasz tak zbisurmaniał, że bez kija nie przystępuj, ale quinque djabłów, krok ten ze strony waćpana byłby szaleństwem i na to się nie piszę. Idź więc zkąd cię djabli przynieśli, a chowaj się skrzętnie, jeżelić miła głowa na karku.

— Już tam będzie, jak Bóg pokieruje, ale powiem waszmości, żem tak zatęsknił za naszym pułkownikiem, iż wolę się narazić na wszystko.

— Ależ quinque djabłów, ja ci przedtem w łeb palnę własnoręcznie, aniżeli miałbym komenderować z obowiązku plutonowi, któryby do ciebie strzelał jak do związanej kury. Miejże rozum, a idź sobie do quinque djabłów! — zawołał Janikowski srogo, podnosząc pistolet.

Srul ani się ruszył a odparł z uśmiechem:

— Cel, pal! poruczniku, jeźlić serce dyktuje, a ja ztąd się nie ruszę, chyba ku waszemu obozowi.

— A do quinque djabłów, precz mi ztąd, powiadam! a to desperacya z tym człekiem, uparty jak żyd w tańcu.

— No, zazwyczaj żyd, jakim mnie Bóg stworzył.

Janikowski zbliżywszy mu latarkę do twarzy, pilnie się przypatrywał, ruszał ramionami, chrząkał, a w końcu rzekł:

— Prawda żeś ogolił brodę i wąsy, ostrzygłeś pejsy i jesteś nie do poznania, ale ten głos cię zdradzi.

— To jest chciałeś powiedzieć, mości poruczniku, tamten, ale nie „ten".

Ozwał się Srul wcale odmiennym głosem, tak iż porucznik obejrzał się z trwogą, czyli kto trzeci pomiędzy nimi nie mówił.

— Tfu! quinque djabłów, a to jakieś żydowskie czary!

— Mam honor meldować, mości poruczniku, że tym głosem rozmawiałem z całą pogonią, a przecież jestem nie schwytany, skoro tu stoję.

— Ot koniec końców, idź sobie do djabła — zawołał w pasyi Janikowski.

— A ja powiem koniec końców, że jutro równo ze dniem stawię się jako nowy wolontaryusz, kawaler szwedzki Wernik, nawet ze szwedzkim passerunkiem, a pan porucznik zrobisz ze mną co zechcesz: lub rozstrzelasz jako liweranta dezertera, albo zameldujesz panu pułkownikowi jako nowego wolontaryusza.

— A do quinque djabłów! — zaklął energicznie porucznik, ale już kląć na kogo nie było, bo żyd, czyli jak na teraz kawaler, zniknął mu z przed oczu.

* * *

Nazajutrz przy raporcie porannym pan porucznik zameldował przybycie nowego wolontaryusza panu pułkownikowi.

— Dobrze to jest, bo się nasze szeregi diabelnie przerzedziły. A jak on tam wygląda? Może hołota jaka?

— O nie, cale statecznie, silny jest i zręczny, jeszcze młody; koń pod nim dobry, rynsztunek nowy, dystyngowaną ma prezencyę.

— Co zacz?

— Kawaler szwedzki, zwie się Wernik, posiada passerunek.

— Tem lepiej.

— Każe pan pułkownik stawić go przed sobą?

— Ba, niechno potem kiedyś tam go obaczę, nic pilnego — odparł Branicki machnąwszy ręką przy przeciągłem ziewaniu, bowiem od czasu onej dezercyi popadł w jakąś melancholię i był obojętnym na wszystko.

Lżej się zrobiło na sercu Janikowskiemu, że odrazu nie był obowiązany stawić przybysza przed pułkownikiem, czego się setnie obawiał. Kawaler, tak go odtąd zwać będziemy, widząc porucznika wracającego, spytał.

— A co, mam się stawić przed pułkownikiem?

— Nie, quinque djabłów, przynajmniej to się udało ale żeby to nie było „pierwsze koty za płoty".

— Nie, to szkoda, a takbym chciał go obaczyć, tak mi tęskno do niego.

— Głupiś waść, quinque djabłów, czyć kark świerzbi, jeszcze czas na to będzie; on miałby cię nie poznać, od dzieciństwa z tobą wychowany? Niebezpieczną to grę rozpoczynamy, quinque djabłów!

Płonne wszakże były te obawy, gdyż kawaler chcąc się napatrzeć na pułkownika, nawijał mu się na każdym kroku i nigdy nie zwrócił na siebie jego uwagi. Zresztą Branicki wpadłszy w jakieś apatyczne usposobienie, siedział ciągle w owej kolasie, całą zaś komendę zdał nieograniczenie na Janikowskiego — i dobrze zrobił, bo ten

przed paru laty, na początku siedmioletniej wojny, już zażył wojaczki, znajdując się z generałem Szybilskim pod Pirną, w armii saskiej (którą Fryderyk zamorzył głodem), i miał już jakie takie wyobrażenie o wojskowości, wkrótce ład w rozprzężonych szeregach wprowadził i marsz odbywał się regularnie.

Nakoniec co do kawalera i sam porucznik stracił wszelkie obawy, widząc że w wojennych sprawach rychło się wyćwiczywszy, stawał mu się wielce pomocnym, jako zwinny i sprawny z natury, a potem w chwilach wolnych trzymał mu kompanię w samotności, a mawiał mu:

— Qinque djabłów, dowcipniejszyś waść odemnie i dobrześ skoncypował ten powrót, jużby cię sam djabeł nie poznał, a jabym tu zdechł z nudów.

* * *

Nie pisząc historyi, służy nam prawo pominięcia wszystkich szczegółów siedmioletniej wojny, w której wzięli czynny udział nasi bohaterowie. Jedno co powiemy, że ta wojna była najfatalniejszą dla Saksonii; wiadomo bowiem, iż Fryderyk II zniszczywszy na wstępie wojsko saskie, z 70-tysięczną armią zajął Drezno, stolicę sasów, zaprowadził tam administracyę pruską, zajął magazyny na rzecz własną, wywiózł broń i amunicyę do Magdeburga, a podatki i wszelkie przychody saskie obrócił na prowadzenie wojny. Pojmanych sasów zmuszał do służby w szeregach pruskich, lecz napróżno, bo ci przy pierwszej sposobności zmykali do Warszawy, zkąd się dwór saski w ciągu całej wojny nie ruszył, tak iż mimowoli nasuwa się słuszne pytanie: *gdzieby się ten dwór podział, gdyby Warszawy za schronienie nie miał?*

Rządu bowiem saskiego, ani własnej stolicy nie było,

nawet armia saska kilkakroć pobita na głowę, egzystowała raczej w imaginacyi lub rozsypana w nieznacznych oddzialikach; ci zaś co za Saksonię walczyć chcieli, garnęli się do większych armij nieprzyjaznych Fryderykowi, austryackiej, francuzkiej lub rosyjskiej.

Nakoniec chorągiew kurlandzka pod wodzą Branickiego, a słuszniebу powiedzieć Janikowskiego, wstąpiła na pole boju i w miarę szczupłych sił swoich cudów waleczności dokazywała — historya zaprawdę milczy o tym maleńkim zastępiku, bo i w rzeczy cóż on znaczył na tym placu, gdzie trzy najpotężniejsze połączone siły występowały przeciw czwartej, uświetnionej zwycięztwem — ale zawsze oddział był pierwszym w ogniu, a ostatnim w odwodzie i cześć jego przywódcom należy, bo i Branicki jaśniał jeżeli nie przymiotami wodza, to przynajmniej osobistą odwagą i brawurą bez granic.

Opuścimy kilka bitew i utarczek, w których się kompania dystyngowała i złożyła dowody męztwa, a przejdziemy odrazu do walnej bitwy pod Kunersdorf, gdzie zwycięzkiej potędze Fryderyka cios zgubny zadano, Saksonię zaś od haniebnych więzów oswobodzono. Z bitwy tej wystawimy to tylko, co bohaterów naszej opowieści dotyczy.

Powiedziałem, że kompania kurlandzka biła się dzielnie, w korpusie austryackiego generała Laudona, szczególniej w bitwie pod Kunersdorfem. Bitwa to była rozpaczliwa i straszna, hazardownemu bowiem graczowi w tej wojnie, Fryderykowi, powijała się noga i wszystko stawił na jedną kartę — dowód najlepszy iż po przegranej, upadły na duchu, śmierci wzywał. Ztąd można powziąć wyobrażenie o zaciętości tej walki, pod koniec której kiedy blizki pokonania prusak bronił się z zaciętą wściekłością, Branicki, walczący zawsze z szalonym zapałem, rzucił się z małą garstką swoich w liczny tłum zrozpaczonych nie-

przyjaciół. Walka była nierówną, skłuli mu kilku żołnierzy, sam zaś otoczony przez pięciu, cięty w ramię, bronił się jak lew rozjuszony... lecz już, już, miał uledz przeważnej sile, już ogromny kirysyer pruski długą kopię w pierś mu wymierzał; napadnięty i przeciw wielom bezsilny, już tylko ducha w ręce boskie polecał... gdy wtem jakby z pod ziemi wyrasta rycerz i w okamgnieniu, mniej niż na wypowiedzenie powyższych słów potrzeba, rękę nieprzyjacielską wraz z zabójczą kopią odcina, drugiego powala wystrzałem z pistoletu, dwaj inni za nim rozpędzają tłum, który się zwiększał i Branicki, będący blizkim śmierci, ujrzał się swobodnym, sam jeden w polu, nie mając przeciwko sobie nieprzyjaciół!

Oswobodziciel wszakże nie czekając długo, nim wyswobodzony opamiętać się zdołał, rzekł krótko do jednego ze swych przybocznych:

— Wskażesz temu oficerowi drogę do ambulansu i nie opuścisz go aż tam stanie, bo jest raniony.

Sam zaś po tych słowach spiął konia ostrogami i napowrót pocwałował.

Lecz wyswobodzony pędem strzały puścił się za nim, wołając z całej siły:

— Hej! hej! mości panie! takich hojnych darów jak życie, nie rzuca się na oślep, bez przyjęcia nawet wyrazu wdzięczności; niech wiem przynajmniej, komu mam zaszczyt zawdzięczać dalszą moją egzystencyę, u kogo ten święty dług zaciągam?

Koń Branickiego snać był lepszy, gdyż dogonił cwałującego wybawcę i te słowa wymówił mu już prawie nad uchem.

Zadrżał nieznajomy na dźwięk tego głosu, który jakby niewiadomą siłą pociągał go ku sobie; osadził konia, odwrócił się i rzekł z pewnem wzruszeniem:

— Jestem Wernik, kawaler szwedzki.

Po tych słowach chciał zawrócić konia i w dalszą puścić się drogę, lecz Branicki schwyciwszy konia za cugle, wpatrzył się w oblicze nieznajomego, a jednocześnie chwytając go w gorące objęcia, zawołał:

— Srul!... o mój drogi, jakżem szczęśliwy, żem jednocześnie z życiem ciebie odzyskał!

W owych czasach najeżonych kolcami hierarchicznych różnic i subtelnosci, pierwszy to może był uścisk żyda z szlachcicem.

A skoro się wzajemnie nasycili swoim widokiem, spytał Branicki:

— Zkądże ty się tu wziąłeś i dla czego?

Zapytany milczał, jakby się namyślał nad odpowiedzią.

— Mów otwarcie, jeżeli mi sprzyjasz.

— Skoro tak, powiem, że przysiągłem mojemu staremu ojcu czuwać nad paniczem i stanąć mu w każdej przygodzie, ile na to siły moje dozwolą.

Uścisk się ponowił zlany łzami rozrzewnienia. O gdyby stary kasztelan ojciec to widział, coby na to powiedział?

Gdy się już sobą nawzajem nacieszyli, znów ozwie się Branicki:

— Dla czegoś uciekał, wybawiwszy mnie od jawnego niebezpieczeństwa?

— Rzecz prosta, gdybym inaczej postąpił, stanąłbym w charakterze handlującego żydka, że przez tę małą przysługę wykupuję się z pod krygsrechtu, który sam pułkownik na mnie wydałeś, a przecie jestem już nie ów Srul liwerant, ale kawaler Wernik.

— Głupiś ze swoim krygsrechtem — odparł Branicki śmiejąc się, lecz nagle dodał z trwogą: — A wiesz co, Bogu

bądź chwała, żem cię wtedy nie spotkał, bo taki miałem ku tobie zawziątek, że byłbym tę zbrodnię popełnił, aż drżę na samą myśl coby się ze mną stało. Widzisz żeś lepszy odemnie; chciałem cię zabić, a ty mnie ratujesz; ale ta dziewka, którąś mi wykradł... Ale, ale, jesteś bez brody, zapewne już nie żyd?

— Potem o tem, ale pan pułkownik raniony.

— Co tam za rana, pobite prusaki już sami kiepsko biją, zresztą ztąd o parę kroków mój namiot, tam zobaczymy jak mnie ten szołdra udrapnął, spodziewam się że idziesz ze mną.

Za przybyciem w rzeczy samej rana okazała się lekką i dla opatrzenia jej aż zanadto wystarczała medyczna umiejętność Srula. Więc zasiedli dawni koledzy do przyjaznej gawędki.

— Czekajno, mój Srulu, bo to siła musisz mi opowiedzieć... a więc teraz zwiesz się już kawalerem Wernikiem? coś mi się to miano ochapia.

— Przecie jestem wolontaryuszem w chorągwi kurlandzkiej, pod komendą pana pułkownika.

— A tak w istocie, przed paru tygodniami Janikowski zaregestrował jakiegoś Wernika do chorągwi... czyliżbyś to ty był?

— W mojej własnej osobie, panie pułkowniku.

— Chyba żartujesz, i jabym cię nie poznał? prawda żeś powierzchownie bardzo się odmienił bez brody i pejsów, ale przecie głos...

— Nic dziwnego, bo pan pułkownik był zły i nietylko do nikogo nie mówił, ale nawet na nikogo nie patrzył.

— A Janikowski cię nie poznał?

— Nie poznał — odpowiedział Wernik, jąkając.

— Ej, chyba Janikowski poznał, bo to wy razem odkradliście u mnie dziewczynę, bo i on na to zgorszenie

w obozie kręcił nosem. Nie ma jednak złego, coby na dobre nie wyszło, i w poręście sobie poczęli, bo tej biednej dziewczyny nie mam na sumieniu i przeciwko niej ciężko nie zawiniłem. Na honor, że nic mi nie może zarzucić oprócz wykradzenia — rzekł z powagą Branicki.

Wernikowi mimowoli oczy się radośnie zaiskrzyły.

A zmieniając ton poważny na rubaszny, prawił dalej pułkownik:

— Mówże tedy, coś zrobił z Gretchen? Albo czekaj, ja za ciebie odpowiem: jako człek moralny i stateczny, aby pocieszyć dziewczynę, zostałeś chrześcianinem i ożeniłeś się, boś ty się łotrze także w dziewczynie rozmiłowałeś.

— Zgadł pan pułkownik przez połowę, przynajmniej co do drugiego, lecz z tą różnicą iż nie potrzebowałem zostawać chrześcianinem, bo Sara, tak się naprawdę zwie Gretchen, jest żydówką.

— A wiesz co, omne trinum perfectum, niechże cię za to jeszcze raz uściskam i powinszuję ci żony, która chociaż dała się wykraść, ale ręczę ci sumieniem, iż godną jest nosić imię zacnego jak ty człowieka. Nic mi jednak nie mówiła, iż jest żydówką.

— Miała przyjąć chrzest przed zamężciem z panem pułkownikiem, które jej pan przyrzekłeś.

— Daj pokój, nie gadaj, bo mnie spali wstyd i zagryzie sumienie. Lepiej opowiedz jakeś się wziął do wykradzenia?

— W najprostszy sposób; skoro po złączeniu kompanii z awangardą, w której się znajdowałem, dowiedziałem się iż Gretchen jest w obozie, co łatwo było wyczytać z pomięszanego wyrazu oblicza pana pułkownika, za serce mnie ścisnęło.

— A co, nie mówiłem, żeś się w dziewce rozmiłował,

gdybym był wiedział że do tego stopnia, daję ci słowo, żebym ci tej przykrości oszczędził — przerwał Branicki.

— Jako dawnemu znajomemu nietrudno mi było do niej dotrzeć... biedna dziewczyna natenczas wyznała mi wszystko, ja z mej strony począłem jej przekładać...

— Ażeby mnie nie wierzyła, żem jest niegodny bałamut, uwodziciel etc. etc. — przerwał ze śmiechem Branicki.

— Sam pan pułkownik wyrzekł — odparł Wernik z pokłonem, a dalej ciągnął opowiadanie:

— Biedne dziewczę zalało się łzami na myśl smutnej przyszłości, jaką przez ten krok płochy sobie zgotowała, a na moją propozycyę powrotu do domu, do którego jej dopomódz chciałem, nie zgadzała się z obawy dziadka, że ją gotów z domu wypędzić.

— Biedne dziecko! — westchnął pułkownik.

— Wtedy obiecałem jej że ją zaślubię i dopiero razem jako małżonkowie przed dziadkiem staniemy.

— O szlachetny człeku! — zawołał Branicki.

— Reszty łatwo się domyśleć — ciągnął dalej kawaler — na moje szczęście tejże nocy postawiono dwóch najgorliwszych pijaków na szyldwachu przy kolasie; skusiłem ich gorzałką, przyprawioną pewnym narkotykiem, zaopatrzyłem się w konie, które mnie, a raczej nas oboje czekały w umówionem miejscu...

— Dalej nietrudno się domyśleć, ale jakże ty i Gretchen zmyliliście pogonie, które natychmiast nad ranem rozesłałem? spytał Branicki.

— Najprościej. Przed dopełnieniem zamiaru już wyglądałem tak jak teraz, bez brody i w takich sukniach Gretchen zaś czyli Sara, pojechała z pewną żydówką wcale inną drogą do Mitawy, obie ubrane ubogo, a Sara po kobie-

cemu, niby matka i córka. Oboje po drodze napotykaliśmy pogonie, ja nawet wdawałem się z nimi w rozmowę.

— Ano, jakże sobie poradziłeś ze starym Mortzem? — wtrącił Branicki.

— I to poszło gładko; umówiliśmy się z żydówką towarzyszącą Sarze, iż ją prosto powiezie do rabina w Mitawie, z którym się tam poznałem. Człek to mądry i zacny. Chociaż przez różne drogi stanęliśmy w Mitawie prawie jednocześnie z Sarą, ja tylko nieco uprzedziłem niewiasty. Skoro przełożyłem poczciwemu rabinowi rzecz całą, chociaż i bez tego był on świadom wszystkiego i martwił się rozpaczą biednego Mortza, który prawie od zmysłów odchodził, ucieszył się wielce z mojego zamysłu poślubienia Sary, pobłogosławił nasz związek natychmiast.

— Jakto, tak odrazu? — spytał pułkownik.

— U nas, jak wiadomo, ten obrządek wymaga mniej czasu i form, niż u chrześcian.

— A cóż ze starym?

— Z tego co mi rabin opowiadał, nie tuszyłem sobie, aby starzec przebaczył wnuczce, którą już przeklął na wszystkie strony, a sam biedak prawie zmysły postradał. Zaraz po odbytym ślubie udaliśmy się do niego z rabinem, ten poszedł przodem aby go lepiej usposobić, a lubo Mortz jest na pozór chrześcianinem, zawsze w duszy trzyma się dawnej wiary i ów rabin ma nad nim wielką przewagę... ano i jakoś to się pomyślnie powiodło.

Urwał nagle Srul, jakby nie chciał dopowiedzieć.

— No, ale jednak mów śmiało, nie taj niczego — domagał się pułkownik.

— Ha! kiedy rozkazujecie... więc stary myśląc iż to wy jesteście owym mężem, nie chciał widzieć ani was ani wnuczki, ale skoro się dowiedział jak rzeczy stały, przyjął Sarę z taką radością jakby nowonarodzoną, szalał starowi-

na ze szczęścia jak dziecko... Zabawiwszy kilka dni przy młodej żonie...

— Których ci setnie zazdroszczę — wtrącił mimowoli Branicki.

— ... Pomimo szczęścia jakiego doznawałem, przyszedłeś mi paniczu na myśl, dziwnie mi się coś jakby dwoiło w sercu, radbym był i przy żonie pozostać, która mnie darzyła afektem wdzięczności, iżem ją rodzinie powrócił, atoli bodaj czy nie silniej mnie ku wam ciągnęło; zdawało mi się że mam do odpokutowania względem was tę zdradę... stanął mi mój stary ojciec przed oczyma, któremu przysiągłem iż was nigdy nie opuszczę, ciągle mi szeptało, że się tu przydam na coś. Gnany tą nieprzepartą chęcią, przezwyciężyłem łzy i tęsknotę żony... po zmarłym jakimś Werniku, kawalerze szwedzkim, dostały mi się papiery i glejt, wziąłem to dla lepszego bezpieczeństwa... a dalej, mości pułkowniku, już wiecie.

— Wiem to — dodał z zapałem Branicki potrząsając ręką żyda — żeś milionkroć lepszy człek odemnie i wzgardziłbym sobą samym, gdybym do śmierci twego szlachetnego poświęcenia nie pamiętał.

* * *

Niezgorzej się opłaciła pierwsza wojaczka Branickiemu, już to zaiste i fawor księcia Karola saskiego, za forytowanie gorliwe jego elekcyi kurlandzkiej niemało się do tego przyczynił, iż po powrocie z wojny siedmioletniej Branicki został generał-adjutantem królewskim — awans to wprawdzie był niemały dla młodzieńca poczynającego karyerę, ale cóż, kiedy sama szarża niepopłatna.

Trójka więc przyjacielska, jak ongi skupiała się przy łożu chorego Janikowskiego, tak teraz ściągnęła do War-

szawy spocząć na laurach sławy wojennej, bo i Janikowski wyszedł z szeregów z tytułem rotmistrza, a tytuły sypały się hojniej, bo z pustej szkatuły innej magnificencyi król wydobyć nie mógł. Srul nawet, jako kawaler szwedzki Wernik, dostał rangę porucznika, lecz on wcale się z tego nie nadymając, mawiał:

— Nie na długo ja się stroić będę w te pożyczane pióra, zrzucę je prędko, niechno tylko osiądę na karczmie za przykładem przodków i wdzieję hałat i jarmułkę.

Szumiał wszakże pan generał-adjutant, należało bowiem godność tytułu podtrzymać, a zresztą i żyłka ojcowska odzywać się poczęła — ale szumiąc gonił ostatkami wywiezionemi z domu; jeszcze coś im się tam udało złapać ze zdobyczy wojennej, co skrzętny Srul pochował ku uciesze pańskiej. Wszystko jednak nie na długo starczyło w ówczesnym modnym i na zbytki wylanym warszawskim świecie. Już dno sakwy przeświecało, kiedy tymczasem, jak manna z nieba, przez przyjaciół i protekcye, które jednać i w lot chwytać umiał, wpadło panu generał-adjutantowi starostwo Halickie — co prawda lichsze od wielu innych, ale zawsze było oco ręce zaczepić.

Zawsze atoli przyznać trzeba, że karyera Branickiego lazła nie na żółwiu, bo na samym wstępie zamłodu zdobył to w lat kilka, do czego napróżno wspinali się ludzie przez długie życie. Zawdzięczał to bezwątpienia nadobnej powierzchowności, światowej prezencyi, gładkiemu obejściu, osobistej niezaprzeczonej odwadze, pewnemu, że tak nazwę, wkrętnemu usposobieniu, przez które wszędzie docierał, już to zuchwałemu i przedsiębierczemu postępowaniu względem kobiet. Rozumie się, że hojna natura zgromadziwszy w jednej istocie tyle zalet popłatnych w owym awanturniczym wieku, uczyniła go szczęśliwem dzieckiem ślepej fortuny; nie posiadał on bowiem zalet dodatnich głę-

bokiej rozwagi, rządził się raczej chwilowemi popędami i dogadzaniem osobistym widokom; choć kochał może ludzi. ale nie umiłował żadnej idei i nie stawał w jej obronie, Gotów był dla osobistych widoków poświęcić wszystko z fantazyi, która w nim silnie grała; nie pojmował obywatelskich ofiar i powinności — słowem, jak dziecko wieku rządził się maksymą: „zdobyć aby użyć“. Nadto posiadał dar zniewalania ludzi — dowód najlepszy na Srulu, który pomimo ugruntowanej we krwi żydowskiej chciwości zarobku, wszystko poświęcał za jeden uśmiech i spojrzenie swojego panicza.

Rozumie się, że wiek tak obfity w cudowność i nadzwyczajność, wyrażane przez gusła, zabobony, kabały itp. naturalne objawy, pchał takich karyerowiczów na szersze drogi przez przepowiednie i horoskopy; tych też Branicki nazbierawszy moc wielką po świecie, wierzył jak wówczas nazywano: w „swoją gwiazdę“ i szedł za nią śmiało naoślep.

Wybaczy czytelnik ten przydłuższy odbieg od rzeczy, lecz należało nam się bliżej zastanowić nad tą osobistością, bo chociaż to nietytułowy, ale zawsze niepośledni bohater naszej opowieści.

A jeszcze o Janikowskim, który, jak wiadomo, stał się niemal historyczną figurą przez burdy i zawadyatwa. Ten czysto żołnierskiej i z grubego wióra ciosanej natury, zastępował brak wyższej edukacyi prostym, tak zwanym gospodarskim rozumem; ciepłe miał serce przytem i po odbytej burdzie, której szukał, a znalezionej nie zaniechał i do samego dna wyczerpał, opłakiwał potem gorzko następstwa swej popędliwości. I on też, jak widzimy, stał się również niby jeńcem serdecznym Branickiego i za cóż? oto, jak nam wiadomo, za kulę w brzuch wsadzoną. Na różne tedy sposoby jednał sobie Branicki zwolenników

i przyjaciół, i jak ów wąż czarownik przyciągał wszystkich jednem spojrzeniem — doprawdy „w czepku się rodził“.

Co do Janikowskiego, ten siła nabroiwszy w Warszawie, wiele tam burd i awantur wszcząwszy, już z obawy sądu marszałkowskiego musiał zmykać, nie upatrywał zaś lepszego schronienia, jak armia saska, którą ze strzępków pociętych przez prusaków reperowano wówczas, tam to schronił się z musu Janikowski, postanowiwszy sobie przy pierwszej lepszej okazyi do rozerwanej przez swój odjazd trójki powrócić.

* * *

Generał-adjutant i starosta, to już figura — więc i kredyt się znachodził, a Srul kręcił głową, żeby paniczowi nie zbrakło na forszusie, to zarabiał muzyką, to gdzieś tam obskurną szulernię założył, na których nie zbywało naówczas nietylko w Warszawie, ale i na całym świecie. Branicki namawiał żyda, aby bacząc na ogładę, pozycyę oficera i kawalera, która go okrywała, wcisnął się do wyższych sfer towarzyskich, ale zawsze jedną odbierał odpowiedź:

— A mnie to na co? Ja wzdycham do pejsów i chałata, w których się moi ojcowie porodzili i pomarli, a co prawda, do młodej żony, którą zaledwie miałem czas poznać. Zresztą nie cofnąłbym się i przed tem, jakkolwiek mnie nie nęci, ale wierzcie mi paniczu, że jako maluczki, więcej się wam przydam po kątach, niźli na wielkich salonach.

Dla księcia kurlandzkiego, czy to z popędu serca, lub że jemu zawdzięczał olbrzymi krok w karyerze, Branicki był wylanym i gotowym na każde skinienie. Po skończonej siedmioletniej wojnie, książe Karol, jak wiadomo, roz-

miłował się w Franciszce Krasińskiej, starościance nowomiejskiej.

Zdolniejszym współbraciom w piórze zalecam całe przejście onego książęcego sentymentu, jako kanwę do pysznej powieści historycznej. Co do mnie, mało o tem powiem, o ile wiem, gdyż niech raz wypowiem pro domo sua, czyli o tej mojej szczupłej pisarskiej lepiance, iż zwykłem, i w sumieniu autorskiem postawiłem sobie jako prawo, te tylko rzeczy podawać, które wiem dowodnie z pisania innych, lub w ostatnim razie takie tylko, które w mniej więcej wiarogodnych podaniach zyskały prawo obywatelstwa.

Otóż ten romans książęcy, o ile ja go pojmuję, był poprostu pułapką zobopólnie zastawioną: Karol w istocie gorąco rozmiłował się w pięknej dziewce i jako pyszne książątko, przypuszczał iż się skończy na przelotnych amorach, a tymczasem i Krasińscy dumni w otoczeniu Lubomirskich i możnych aliantów, snuli na tej miłości całą sieć przyszłych intryg politycznych, suponując, że po śmierci Augusta III, Karol, jako najpopularniejszy z rodziny panującej w Polsce, zostanie królem i Franciszka wskrzesi dawną postać Barbary Radziwiłłówny, a jej adherenci będą trzęśli rzecząpospolitą.

Atoli z tych wszystkich zabiegów sama panna była najniewinniejszą ofiarą: piękna duszą i ciałem, a pomiędzy ówczesnemi rozpustnicami i symplaczkami, niewiasta wyższego polotu a czysta dziewica, niedziw że mimowoli, bez intryg i zabiegów uwikłała młode książątko w sidła swoich powabów najniewinniej; dośćby na to odczytać jej korespondencyę, ogłoszoną przez Klementynę Hoffmanowę, iżby powziąć wyobrażenie o wysokim rozumie, głębokiej wierze i czystem sercu starościanki. Wzniosła to była iście postać!

Lecz owoż co jeszcze niesie tradycya, że marzeniem serdecznej ambicyi Franciszki był Kazimierz Pułaski, ten

piękny rycerz niedalekiej przyszłości. Już to na jej korzyść silnie przemawia, że umiała pojąć i miłowała takiego człowieka, który stał się zczasem bożyszczem przedniejszych umysłów nietylko pomiędzy swoimi, ale na innych kończynach świata, u ludów dobijających się swobody.

Powiadają, iż się pokochały te wzniosłe dusze, a kto wie, jakie byłyby losy Franciszki i Kazimierza, gdyby im duma rodzicielska, wcielona w mitrę książęcą, w poprzek najczystszych uczuć nie stanęła. Co prawda, w prozapii rodowej *ambo meliores*, Krasińscy bowiem nie odskoczyli tak bardzo od Pułaskich — ona starościanka Nowomiejska, on starościc Warecki, i może byliby szczęśliwie związali piękną szlachecką parę, gdyby .. ah! to *gdyby*, szkopuł o który rozbiły się niejedne najszczytniejsze marzenia śmiertelników!

* * *

Otóż całe to książęce kochanie było istnym kłopotem dla wielu; raz rodzice i ich blizcy mierząc dziewczynę miarą własnej ambicyi, obawiali się, aby nie stała się przed czasem zbyt przychylną owym westchnieniom koronowanym, a przez to nie rozwiała ich ambitnych zabiegów. Sam zaś książe i jego zwolennicy obawiali się rywalizacyi Pułaskiego, który usunięty przez rodziców, jakoby miał widywać pannę pokryjomu.

Branicki w całej tej intrydze razem z Wernikiem grał przeważną rolę; pilnowali panny, pierwszy jawnie, drugi pokątnie, ażeby z Pułaskim potajemnie ślubu nie wzięła; a nakoniec kiedy stanął projekt małżeństwa księcia z Krasińską, które w tajemnicy odbyć należało, albowiem dumny dwór saski na jawność nigdyby się nie zgo-

dził, Branicki wiele się przyczynił do ułatwienia tajemnych zaślubin.

Dalsze losy tego małżeństwa nie są założeniem naszej opowieści, dla tego zawarliśmy je w krótkim epizodzie o tyle, o ile nasi bohaterowie byli tam czynni.

* * *

Trudną jest do zmierzenia skala czułości w ówczesnych awanturnikach i karyerowiczach — wszakże zawsze mi się widzi, iż Branicki był dzieckiem tego wyziębionego czasu i należał do rzędu ludzi, którzy po spożyciu owocu nie rozczulają się nad łupiną i ujrzał wkrótce, że z księcia Karola wyssał już wszystko co się tylko dało, gdyż ten przez ów mezalians kończył prawie swoją karyerę polityczną, mając teraz za główne zadanie ukryć to nierówne małżeństwo przed dumnym ojcem, Augustem III, wszakże pono się to nie powiodło, bo król będąc nieprzyjacielem wszelkich wybuchów i irrytacyj, udawał tylko niewiadomość do śmierci, na wszystkich zaś sprawców mezaliansu syna patrzył krzywo, usuwał ich od siebie, a między innymi i Branicki straciwszy kredyt u dworu, nie mógł się już ztamtąd niczego więcej spodziewać.

I księztwo Karola także wisiało na włosku. Kurlandczycy niezadowoleni, iż ich książe pobierając tylko dochody, prawie w kraju nie rezydował, szemrać poczynali, zwracali oczy na Birona, dawnego księcia, wygnanego na Syberyę; a zresztą tajnem nie było, że następca Elżbiety (Piotr III) skoro tron zasiądzie, Birona z wygnania powróci i na księztwie osadzi — bacząc zaś na upadające zdrowie Cesarzowej, czas to mógł być niedaleki.

Wprawdzie partya młodej księżnej, Krasińscy i ich adherenci, omenowali sobie, iż król stary chylił się na zdro-

wiu i niebawem można było się spodziewać nowej elekcyi, która padnie na księcia Karola, lecz to było widłami pisane. Tak snać rozumiał i Branicki, bo już zaczął się oglądać po świecie za nową gwiazdą, którąby ową przyćmioną zastąpić.

* * *

Petersburg był wtedy obfitą niwą dla szukających karyery — tam Branicki pospieszył, ciągnąc za sobą swojego wiernego i nieodstępnego Wernika. Chociaż on zawsze lubiał poczynać z góry i na dwór oczy zwrócił, lecz ten z powodu ciężkiej choroby Cesarzowej był wcale nie wesoły i nie przedstawiający pola do popisu, bo zaledwie dostępny dla szczupłego kółka poważnych osób dworskich i dygnitarzy.

Za toż dwór młodego carewicza w Oranienbaumie wrzał weselem i zabawą, lubo nie przepychem i zbytkiem, gdyż stara Cesarzowa oszczędna, niewiele dostarczała; dostęp był tam łatwiejszy, bowiem dokoła młodych i uprzejmych księztwa roiła się młodzież wesoła różnych warstw stolicy; — wszelako etykieta dworska i tam stała na straży i Branicki, chociaż figura w swoim kraju, tu nie znajdując poważnej rekomendacyi u dworu, już zamyślał o odwrocie, gdy los, który widocznie go faworyzował, przyszedł mu w pomoc.

* * *

Bawił podówczas w Petersburgu młody Poniatowski, — o nim słów kilka z konieczności, gdyż w naszej opowieści niemałą zczasem odegra rolę. Był to syn kasztelana krakowskiego, pierwszego zatem senatora świeckiego Rzeczypospolitej — wszakże co do prozapii rodu figura to była świeżego własnego dorobku. Kasztelan był także ka-

ryerowiczem, jednym z tych szczęśliwych dorobkiewiczów, którzy rozmaicie na krescytywy pracują, bo jak on, żeby dojść do czegoś, służył lekkiem sumieniem w przeciwnych obozach aż czterem monarchom, bo Stanisławowi Leszczyńskiemu i Karolowi XII, a następnie przerzucił się do obudwóch Sasów. Jeżeli zwrócimy uwagę na tak zwaną *karmazynowość* szlachecką, ta była arcyświeżą, a największą jej ozdobą był alians pana kasztelana z Czartoryskimi przez żonę, a siostrę potężnych wówczas książąt Augusta i Michała. Sam bowiem ród Poniatowskich wcale nie połyskał świetnym blaskiem, a dośćby na to przytoczyć, że sam Niesiecki, giętkiego karku wobec możnych i łaską królewską zaszczyconych, dla pana Poniatowskiego, generała gwardyi królewskiej, regimentarza najwyższych wojsk koronnych, podskarbiego W. Ks. Lit., wojewody mazowieckiego etc. etc. *), nie wynajduje świetniejszych antenatów, nad jakiegoś kanonika, ksienię i sędziego kapturowego. (Za to co prawda, tegoż Niesieckiego edycya Bobrowicza sypnęła Poniatowskim hrabiami *Torellimi* aż miło!... ale to nas nie dotyczy).

Pan kasztelan w miarę wysokich tytułów nie gromadził wielkiej fortuny, bo sam lubił żyć honeste, a do tego miał siedmioro dzieci; w tej liczbie pięciu synów, których obecnie na obławę za karyerą w świat posłał.

Z tych synów czwarty z porządku Stanisław August, był istnem dzieckiem swojego awanturniczego wieku, jakby stworzony do zdobycia świetnej karyery. Z tego co współcześni o nim wyrzekli, tak się on nam przedstawia: obdarzony niepospolitą urodą, bardziej niewieścią niż męzką, sentymentalny jak korydon i wrażliwy na wdzięk ko-

*) Kasztelanem krakowskim został Poniatowski nietylko po pierwszem wydaniu herbarza Niesieckiego ale i po śmierci autora, bo w roku 1752.

biet, śmiały w miłosnych imprezach, wymowny, rozumny, ugrzeczniony światowy kawaler w całem znaczeniu tego wyrazu. Nadto edukowany starannie, przy bystrym rozumie posiadający wielki zasób wiedzy, był to można powiedzieć materyał na uczonego, gdyby nie światowe względy, które nęcąc go ku płochości, rozpraszały w nim powagę i głębsze myślenie.

Spółcześni twierdzą, iż urokowi obcowania Stanisława Augusta, słodyczy jego słowa, pociągającego biegłą i płynną wymową w rozmaitych językach, które doskonale posiadał, nikt oprzeć się nie mógł i nietylko niewiasty urokowi temu podlegały, ale nawet ludzie poważni i surowi, a często jemu nieprzychylni. Charakteru był płochego, bez zasad ugruntowanych, chwiejny, lekki, zmienny, jak chorągiewka skłaniający się za wiatrem, rządzący się ostatniem pochwyconem zdaniem, układny, nieznający opozycyi, niepopierający żadnej idei — był jakby rzucony na świat do jednania otaczających i zdobywania ich afektów i względów. Co do usposobień nie był to mąż wojowniczy, hartowny do bojów i oręża, jak się wielu wówczas znajdowało pomiędzy tymi i owymi ludźmi, owszem miał animusz słaby, białogłowski, widoku krwi nie znosił, huk broni, szczęk oręża nerwy mu drażniły, a spokój osobisty gotów był okupić przez poniżające nawet poświęcenia — brakło mu wcale na fantazyi rycerskiej, stanowiącej po nad owe czasy główny przedmiot wychowania tak dla magnatów jako i szlachty.

Rzuciliśmy ten zarys do nowego portretu, jakby jedynie w tym celu, aby sobie samym zadać pytanie i postawić wykrzyknik zadziwienia — w jaki sposób mogły się zetknąć ze sobą dwa tak krańcowe i sprzeczne kontrasty, jak Branicki z Poniatowskim?

Pierwszy bowiem, pomimo pewnej dozy egoizmu wła-

ściwej ludziom dążącym do zdobycia pozycyi, posiadał wady i niektóre zalety czysto polsko-szlacheckie: był łatwy w zetknięciu, bohaterski, rubaszny, odważny, podczas burczymucha i zawadyak, przed żadną rozprawą się nie cofał... Rzecz istotnie niewiadoma, dla czego się zeszli z Poniatowskim? — a może ich ta sama sprzeczność usposobień spajała, może się dopełniali nawzajem, ale jednem słowem jak to dalsze okoliczności wykażą, zeszli się i to na długo.

Niemożna także powiedzieć, aby Poniatowski dla Branickiego był ową gwiazdą, za którą gonił. Młodzieniec to był bez majątku i pozycyi, tytułujący się godnością ojca kasztelanicem (wprawdzie krakowskim!) *) wtedy gdy Branicki dawno już wyszedł z onych *„iców“*, mając własny tytuł i znaczenie w świecie.

Do tego obecna pozycya Poniatowskiego, w czasie kiedy się zbliżyli, nie była świetną; schronił się on do Petersburga od długów paryzkich, za które wysiadywał areszt, a był od niego wyratowany przez pewną kupcowę, swoją kochankę. W Petersburgu znalazł baroneta Williamsa, posła angielskiego, znanego mu dawniej w Warszawie, który używał go wprawdzie jako zdolnego w sprawach dyplomatycznych, lecz bez żadnego zaszczytnego tytułu **). Wszakże jeszcze i w tej podrządnej pozycyi potrafił Poniatowski uzyskać wstęp do dworu i w znaczniejszych kompaniach, bo gdzie raz nogę postawił, umiał ugruntować się zręcznością i rozumem i stawał się niezbędnym; toż i teraz na dworze Cesarzewicza w Oranienbaumie był jak domowy.

Zrozumiał to bowiem zmysłem karyerowicza, że w cichym dworze Cesarzowej Elżbiety, chorej, otoczonej lekarzami i mnichami, żadnej perspektywy nie było — wolał

---

*) Nie był jeszcze podówczas stolnikiem litewskim.

**) J. Castera:

zatem licząc na przyszłość, trzymać się klamki w. księcia następcy; nareszcie młoda tam księżna wesoła, słynąca z piękności i rozumu, dwór ten niemało ożywiała.

*
* *

Co do dworu w. księcia, zrozumiał toż samo i Branicki, iż trzymać go się byłoby najlepiej, jako sperandy na przyszłość, lecz najprzód należało się jakoś tam wkręcić, co łatwem nie było. Skoro się tedy zbliżył i zaprzyjaźnił z Poniatowskim, co nastąpiło od pierwszego poznania, proponował aby go na tym dworze przedstawił.

— Nic łatwiejszego nad prezentacyę, gdyż te się odbywają co święta i niedzieli, przy powrocie w. księztwa ze mszy. Wdziejesz waćpan strój galowy i pokłonisz się im pięknie w sali na cel prezentacyi przeznaczonej, uzyskasz miły uśmiech nadobnej księżnej, zostaniesz zaszczycony kilkoma słowami samego księcia i po wszystkiemu — rzecze Poniatowski. ale dojrzawszy zdziwienia towarzysza, natychmiast dodał:

— Ale ja wiem o co waćpanu chodzi, oto ażeby się zbliżyć i być domowym, a niejako nieodzownym.

— Ba, otóż to właśnie, ale na to trzeba jakiegoś tytułu czy pretekstu.

— Masz je waćpan w swojej staturze i olbrzymim wzroście.

— A cóż to, chcesz mnie waćpan kreować na hajduka? — wtrącił uśmiechnięty Branicki.

— Wcale nie, ale na oficera przybocznej gwardyi cesarzewicza.

— A to jakim sposobem?

— Najprzód, sprawisz sobie pruski mundur...

— Co? ja mam wdziewać tę skórę, którą garbowałem pod Kunersdorfem?... nie, nigdy!

— Nie suknia człowieka zdobi, ale człowiek suknię, ta zaś skóra dobra, która grzeje — rozpoczął Poniatowski sentencyonalnie. Najprzód ani słówka o tem, żeś odbywał ostatnią wojnę z sasami przeciw prusakom, bo o ile pierwszych w. książe nienawidzi, o tyle drugich uwielbia i stara się naśladować Fryderyka II, który jest jego bożyszczem; swoją przyboczną gwardyę książe ubiera i mustruje po prusku, a każdy wojskowy pruski, osobliwie wzrostu i wspaniałej postawy waćpana; witany jest jak messyasz, bo książe za przykładem swojego wzoru, stara się dobierać rosłych ludzi.

— Hm, ale jakże tak, może się wydać podstęp?

— Skoro się waćpan księciu spodobasz, co niezawodnie przy twej gładkości nastąpi, nikt o legitymacyę nie zapyta; spojrzałeś zblizka w oczy prusakom, ażebyś potrafił ich naśladować, zresztą musisz znać wiele anegdot o Fryderyku, któremi książe rad się bawi.

* * *

Stało się jak przewidywał Poniatowski. Branicki, jako oficer pruski, pozyskał łaskę w. księcia i był wcielony do jego małej przybocznej gwardyi. Ale tymczasem Poniatowskiemu za jakoweś skandale kazano opuścić Petersburg. Nie rad był temu rozkazowi w. książe i dwór jego, dla których stał się on niezbędnym, lecz woli wypływającej z góry uledz musieli.

Martwił się może najbardziej Branicki i już chciał razem z przyjacielem podążyć, lecz ten mu perswadował:

— Nie rzucaj waćpan łaski książęcej, zaczekaj tu na mnie, kto wie, może się wkrótce zetkniemy i ja postaram

się przybyć w takim charakterze, iż mnie się tak łatwo nie pozbędą.

Jakoż stało się tak, że Branicki pozostał, Poniatowski zaś, prawdopodobnie zasilony hojnością przyjaciela na podróż, puścił się do Warszawy.

* * *

A stało się jak przepowiedział Poniatowski, już to nie bez wdania się polityki i dygnitarzy, którzy chcąc dogodzić przyszłemu panu w niedalekiej sperandzie, i wiedząc jak cały dwór książęcy tęsknił za swoim ulubieńcem, postarali się u ministra Brühla, aby Poniatowski był naznaczony posłem Rzeczypospolitej przy dworze petersburskim; było to dziełem kanclerza Bestużewa, który w ten sposób chciał sobie skarbić łaski przyszłego panowania.

Poniatowski tedy wracał niespełna w lat parę, już w mocnym charakterze i stanął na twardym gruncie; a pomimo iż zmienił już podrzędną pozycyę względem Branickiego, bo wracał z godnością Stolnika Litewskiego i z poważnym tytułem posła, jednakże z dawną przyjaźnią padł w objęcia przyjaciela. Nietrzeba o tem powiadać, że Poniatowski za przybyciem odzyskał z nawiązką dawną u dworu Cesarzewicza łaskę.

Przeżyli tak lat parę przyjaciele: Branicki mustrując po prusku gwardyę książęcą, Poniatowski oddany zabawie i rozkoszy. Palił hołdy i kadzidła ulubionej płci pięknej, zawiązał intrygę miłosną z pewną damą dworu książęcego, a iż słynęła ona z wdzięków i powabów, wielu wzbudził zawistnych, którzy samego księcia przeciw niemu podburzyli i ten już niechętnem okiem patrzał na dawnego faworyta, a chociaż go tolerował pozornie, oczekiwał tylko sposobnej chwili, aby znaleźć powód do oddalenia go ze dworu, jakoż nie czekał długo.

Pewnej nocy, w ogrodzie Oranienbaumu, miał mieć schadzkę z damą swojego serca Poniatowski i udał się tam przebrany za ogrodnika. Czujni rywale byli na straży i pochwycili czułego kochanka w tej przybranej roli — a że jak mówi francuzkie przysłowie — pociemku wszystkie koty szare — udając iż w ogrodniczku nie poznawają szanownej osoby posła, potraktowawszy po grubiańsku jako włóczęgę, wsadzili go do ciupy, oczekując dnia wymiaru sprawiedliwości, który miał być surowy, bo sam książe uprzedzony i zaalarmowany, rozsrożył się wielce i postanowił surowo ukarać śmiałka za wiolencyę terytoryum książęcego.

Krucho istotnie było około pana posła i niewiadomo, na czemby się katastrofa skończyła, gdyby przyjaźń i zręczność Branickiego nad nim nie czuwała; jako wpływowy oficer gwardyi książęcej, a także przyjaciel jej głównego komendanta, generała T., pono szczególniej pani komendantowej, spisał się gracko, wszystkiemu zaradził, jak to się zaraz da widzieć.

W. książe, może nietyle gniewny, ile chcąc sobie zażartować z Poniatowskiego, nie widząc tegoż wieczora pojmanego, kazał go do więzienia wtrącić i oznajmił, iż nazajutrz rano, za pogwałcenie terytoryum książęcego, będzie śmiercią karany przez rozstrzelanie, a dla obostrzenia żartu wydał rozkaz, aby Branicki ze swoją komendą wystąpił do exekucyi, wiedząc jakie ich stosunki z więźniem łączyły. Poniatowski nie mógł się istotnie obawiać śmierci, ale raczej ośmieszenia na całe życie, że jako poseł i osoba dyplomatyczna dopuścił się takiej lekkomyślności. Zawsze równało się to śmierci towarzyskiej, gdyż po takiem ośmieszeniu cała tak świetnie rozpoczęta karyera, mogła się zwichnąć.

Branickiemu strzeżenie więźnia było powierzone na

odpowiedzialność wojskową. Exekucya surowego wyroku była naznaczona na godzinę 12-stą w południe, w tym celu ażeby wszystkie damy dworu już przystrojone po galowemu, mogły być jej przytomne. I to jeszcze jeden dowód, że wykonanie wyroku nie miało być krwawe, a chodziło głównie o kompromitacyę dla pana posła; co ważniejsza, jak utrzymują, że Branicki odebrał ordonans sekretny, aby ludzie do exekucyi wyznaczeni mieli broń nabitą ślepemi nabojami, t. j. bez kul.

Nadeszła owa godzina fatalna, cały dwór tak męzki jako i żeński, w galowych strojach na rozkaz w. księcia wystąpił na dziedzińce zamkowe, gdzie się exekucya odbyć miała. Rozkaz zaś zmusił ową damę serca, dla której ta nocna wyprawa była przedsiębraną, aby również w stroju galowym była przytomną egzekucyi kochanka.

Skoro się zebrali wszyscy wedle ordonansu, wyszedł wielki książe w otoczeniu świty i cała szczupła załoga z chorągwiami, doboszami i wszelką paradą wystąpiła pod bronią. Branicki, jak wiadomo, dowodził exekucyjnym orszakiem.

W. książe wydał rozkaz wyprowadzenia więźnia, a powiadają, że w tejże chwili owa dama dworska zbladła jak śmierć, i przez siłę tylko niesłychanej woli oparła się zemdleniu, lecz o wydaleniu się z orszaku zamyślać było niepodobna, bo wyraźny rozkaz sprzeciwiał się temu.

Lecz o dziwo! w tejże chwili, kiedy więzień stawał przed surowym areopagiem, nim zdołano mu jeszcze w twarz spojrzeć, ukazała się na dziedzińcu paradna kareta pana posła, a w niej on sam z wizytą do dworu przybywał.

Nie potrafię odmalować zdziwienia przytomnych, a radości i tryumfu onej obwinionej damy na widok tej najmniej spodziewanej metamorfozy.

Kimże tedy był ów więzień, któremu gotowano tak surową karę?

Oto stanął przed oczyma zdziwionych jakiś odarty, wylękniony człeczyna, który przez swoją cudacką posturę ogólny śmiech i politowanie wywołał. Sam książe śmiał się do rozpuku, nie wiedząc jak pana posła witać i całą tę awanturę mu wyjaśnić. Nakoniec spytał więźnia, co zacz jest i w jakim zamiarze ośmielił się pogwałcić terytoryum książęce?

— Jestem biedny muzykant; chciałem się tu schronić na nocleg w kląbach ogrodu w. ks. mości, a z nastaniem dnia możeby mi się udało moim kunsztem coś u służby dworskiej zarobić, bo już kilka dni nie jadłem.

Odpowiedział delikwent, dzwoniąc z przerażenia zębami.

Cesarzewicz uśmiechnięty i rozchmurzony, przewidując w tem nową zabawę, której zawsze rad bywał, dworaków, którzy całą tę katastrofę wywołali, mierzył szyderczym wzrokiem i podżartowywał z nich. A do muzykanta rzekł łagodnie:

— Na czemże grywasz?

Ośmielony łaską książęcą więzień wydobył z zanadrza flet i odpowiedział pokornie:

— Oto jest mój instrument i jeżeli tylko przezacna kompania pozwoli, gotów jestem...

— Ano to zagrajże nam, obaczymy co umiesz — przerwał mu Cesarzewicz śmiejąc się serdecznie i obsypyując krotofilą wszystkich dworzan, którzy owo podejrzenie wzniecili. Damie zaś pomówionej o zalotność cześć publicznie przywrócił i delatorom poniżyć się w przeprosinach przed nią rozkazał.

Muzykant nie dał sobie powtórzyć rozkazu, wydobył tak melodyjne i rzewne tony ze swojego instrumentu, iż

wszystkich w podziwienie wprawił. Sam wielki książe także amator muzyki, bo grywał na skrzypcach, nie mógł się nacieszyć tej pięknej harmonii, kazał ją sobie po kilkakroć powtarzać, aż nareszcie rzekł:

— Zda mi się nie do uwierzenia, ażeby taki mistrz w muzyce po kilka dni nie jadał i nie miał kąta do noclegu?

Po tych słowach rzucił mu jakiś datek, dwór wysadził się za przykładem księcia, który zakończył:

— Mianuję cię moim nadwornym flecistą.

Muzykant się skłonił do nóg książęcych. Cały dwór ucztował dnia tego nasycając się tonami nadwornego flecisty.

Denuncyatorowie skonfundowani, ponosili szyderstwa w. księcia za swoją niewczesną gorliwość o honor dworu. Poseł ogólną zabawę najspokojniej podzielał.

Tak się skończyła owa wielka katastrofa grożąca Poniatowskiemu strasznem piętnem śmieszności, a co zatem idzie, przecięciem karyery na przyszłość; wybawienie zaś swoje zawdzięczał Branickiemu.

Domyślnym czytelnikom powiadać nie potrzebujemy, iż owym muzykantem był nie kto inny, tylko znany nam Srul, alias Wernik, wierny i zręczny wykonawca wszystkich pomysłów swojego panicza. Że zaś był człek stworzony według przysłowia: iż „mądrej głowie dość na słowie“, można ztąd wnosić, jak subtelnie powierzoną sobie rolę odegrał.

Za tę niezaprzeczenie wielką, a zręcznie i dowcipnie obmyślaną przysługę, Poniatowski zaprzysiągł swoim wybawcom wdzięczność dozgonną, — a że obietnicy dotrzymał, czas to pokazał i my też coś o tem powiemy. (*)

(*) Autentyczne — wspomina o tem i Castera w swojej „Historyi“, wprawdzie nieco odmiennie od tego co powyżej podałem, trzymając

Wszakże owi wyszydzeni dworacy nie dali za wygraną i mistyfikacya Branickiego wyszła na jaw, a gdy wieść o tem doszła do surowego dworu cesarzowej Elżbiety, ta natychmiast rozkazała starać się u rządu Polskiego o odwołanie posła, co też wkrótce nastąpiło. (**)

W. książe zaś rozgniewany na Branickiego, tembardziej iż wydała się cała jego przeszła karyera, zdobyta w wojnie siedmioletniej przeciwko jego ulubieńcom Prusakom, łaskę mu swoję cofnął i z dworu wydalił.

* * *

Rozstali się tedy przyjaciele.

Co się stało z Poniatowskim, to tymczasowo do nas nie należy.

Branicki z zapewnioną pana posła dozgonną wdzięcznością, która na on czas niewiele ważyła, puszczał się w świat szeroki na odszukanie nowych źródeł karyery, gdyż dawniejsze tak bystro płynące zatamowały się: dwór warszawski bowiem krzywo nań patrzył za tajemne małżeństwo Karola, a u dworu petersburskiego już wstępu mieć nie mógł.

Z wiernym i nieodstępnym Srulem puścił się Branicki za nową karyerą po dworach zagranicznych. Zawadzili

---

się bardziej relacyi głównego aktora tego przejścia, samego Branickiego, uczynionej w kilkadziesiąt lat potem, bo już po śmierci Poniatowskiego, a którą według jego opowiadania słyszałem powtórzoną za lat moich młodych, z ust starych i wiarogodnych ludzi. Czy nie będzie to to samo, o czem wspomina Jul. Bartoszewicz w życiorysie Branickiego, mówiąc że ten w Petersburgu miał „sposobność wyrządzić Poniatowskiemu wielką przysługę i ocalić go...“ Wszakże rodzaju tej przysługi nie wymienia.

(**) Historyczne.

o Paryż, ale tam jakoś im się nie powiodło, pono i długi się znalazły, a tylko przemyślności Srula zawdzięczał Branicki, że się cało ztamtąd wydobył. Wszakże o tych wędrówkach niewiele ciekawego do powiedzenia, prócz może kilku skandalików i miłosnych awanturek. Lepiej wypłyńmy na bystre wody.

Dopiero śmierć Augusta III zmieniła postać rzeczy.

Nagle wszystkie figury, grające główną rolę w naszem opowiadaniu, zbiegły się w Warszawie: Branicki z nieodstępnym Srulem, Poniatowski jako kandydat do korony, a nawet Janikowski, korzystając, że w bezkrólewiu z nastaniem sądów kapturowych, marszałkowskich, obawiać się nie było czego, stanął do apelu z wierną szabelką, którą wymachując powiadał:

— Mają szczęście szwaby, że sądy kapturowe nastały, bo gdybym tam między nimi dłużej pogościł, toby szwabów zabrakło na tej ziemi; ciąłemże, quinque dyabłów, to szmatłajstwo na bigos.

* * *

Nakoniec Poniatowski siadł na tronie; jakiemi drogami doń doszedł, to już historya, w której gawęda nasza się nie zagłębia; wszakże nie osiedział się jeszcze na nim dobrze, kiedy już dał dowody względem swojego przyjaciela, iż nie podzielał onej maksymy *honores mutant mores*, bowiem Branicki prawie odrazu został pierwszym generał-adjutantem króla Imci, generał-lejtenantem wojsk koronnych, podstolim wielkim koronnym, nakoniec otrzymał starostwo przemyślskie, jedno z dochodniejszych—a wszystkie te nominacye nastąpiły w przeciągu niespełna miesiąca.

Samo przez się, że za tem poszły ordery św. Stanisława i Orła białego.

Że to protekcye chodzą szczeblami od wyższych do niższych, nowy dygnitarz wyjednał Janikowskiemu rangę pułkownika z podwójnym traktamentem, wprawdzie bez żadnej szarży, tylko pozostawiając go przy swoim boku. Nie olśnił się Janikowski honorami, a odbierając je powiedział:

— Quinque dyabłów, panie bracie, czy gdybym siedział w trzewiach wilczych i ten mój pokrowiec zostałby także pułkownikiem, czy to taka już destynacya? Wszakże dziękuję za honor, a bardziej za laffę, która mi do śmierci wystarczy na wszystkie szerpentyny, ale uprzedzam, że już żadnej dystynkcyi więcej nie przyjmę, bo i to pułkownikowstwo na moje wątłe barki za ciężkie.

Wistocie Janikowski, całe życie poświęciwszy Branickiemu, gdyby tylko chciał, zrobiłby większą karyerę, ale dość mu było awanturować się i uwijać z szabelką, o więcej nie dbał.

Nie zapomniał król i o fleciście, który niepoślednią rolę poświęcenia i zręczności odegrał u dworu W. księcia na jego korzyść, a przez Branickiego proponował mu, iż gotów do chrztu go trzymać i jego kawalerstwo szwedzkie na indygenat zamienić. Srul wszakże dziękując za zaszczyt, rzekł:

— Czas mi wielki zostać znów poważnie i statecznie tem czem byli moi ojcowie, a nakoniec muszę i na to pamiętać, iż jestem mężem i ojcem.

— Więcbyś mnie miał opuścić mój Srulu?

— Muszę, siądę sobie u pana na arendzie jak ojcowie moi u waszych ojców siedzieli, a o was paniczu już się nie

troskam, gdyż pozostawiam was w najlepszej opiece, jaka po Bogu na ziemi być może.

Rozstali się ze łzami — ale się rozstali, bo żyd był niezachwiany w przedsięwzięciach.

* * *

Lecz czas wielki zajrzeć, co się działo w Mitawie z ową niegdyś Gretchen, a dziś już Sarą.

Biedna kobiecina smutne przeszła koleje: raz, przez samą tęsknotę do swojego męża i wybawcy ze sromotnej doli, do którego szczerze i wiernie się przywiązała; albowiem mijały godziny, dnie, nakoniec lata od obiecywanego powrotu męża, a już nawet i ojca, (gdyż w czas przewidywany od ślubu synek im się narodził), ale próżne były oczekiwania i tęsknoty młodej niewiasty, bo Srul się składał tem, że paniczowi swojemu był jeszcze potrzebnym, a jako związany przysięgą przed swoim ojcem wiernego mu służenia, opuścić go nie mógł, nie postawiwszy na twardym gruncie i powrót swój odwlekał.

Tymczasem prócz tęsknoty za mężem smutne ciosy dotknęły biedną Sarę, w jednym roku straciła matkę i dziadka; przynajmniej że stary Mortz zostawił jej fundusz zapewniający byt niezależny. Wróciłaby teraz chętnie do męża, nie mając już innych nad te obowiązków, ale gdzież go było szukać, goniącego za karyerą swojego panicza; pozostała więc w Mitawie i razem z syneczkiem schroniła się u starego rabina, już teraz bowiem była jawną żydówką i pochodzenia swojego ukrywać nie potrzebowała.

Tak rzeczy stały, kiedy po latach sześciu nakoniec, Srul zrzuciwszy charakter kawalera Wernika i jego skórę, przywdział dawny strój ojców i do młodej żony pospieszył,

a z nią razem przycisnął do ojcowskiego serca już pięcioletniego synaczka.

Srul nacieszywszy się rodzinką, zabrał młodą żonę do Przemyśla, gdzie obszerne dobra starościńskie swojego panicza urządał, a sam, jak mawiał, „zwyczajem ojców“ osiadł na arendzie, lecz w sprawach majątkowych Branickiego był zawsze prawą ręką, a dodajmy do tego że wierną i uczciwą, o sobie zaś mało pamiętając, wydobywał dla swojego panicza ile tylko mógł gotówki, aby napychać ten „wór dziurawy“; wiadomo bowiem iż Branicki był sławnym utracyuszem swojego czasu.

Kochał Srul wprawdzie młodą i pracowitą żonę, ale go bardziej coś ciągnęło do „panicza“, a zresztą chociaż żydem w gruncie pozostał, był on człowiekiem niezaprzeczenie wyższego towarzystwa, i nic dziwnego, bo w niem całe prawie życie przepędził; pomimo przywiązania do surowej żydowskiej wiary i tradycyi, Srul lubił grę, wino i wszelką zabawę, a w wyższych sferach mile był widziany, jako człek z pańską prawdziwie edukacyą i fantazyą. Gromił go niekiedy „panicz“, że nie przyjął łaski królewskiej, a nie skorzystał z niej aby się uszlachcić i zczasem zająć wyższą pozycyę — na to on odpowiadał coś nakształt Cezara:

— Wolę ja być pierwszym żydem z antenatów i tem się szczycić, niźli nowym chrześcianinem i szlachcicem, a jako taki znosić pośmiewisko i przylepić do siebie i dzieci pogardliwe nazwy „przechrztów i neofitów“, moją jest największą ambicyą, abyś jegomość co najwięcej miał starostw, a ja w nich arendował propinacye.

Mimo tego Srul często się wydalając, rzadkim bywał w domu gościem, najczęściej przebywał przy Branickim, do którego, jak się powiedziało, pociągał go już to niekłama-

ny afekt, a może niemniej powab wyższego towarzystwa, do którego przylgnął od dzieciństwa.

*
* *

Raz tylko w życiu osłabł i zerwał się czasowo wspólny dobry stosunek Srula z „paniczem“, kiedy ten, jako już Łowczy wielki koronny wojował z konfederatami barskimi: skoro powziął ten zamiar p. Łowczy, wnet przyzwał Srula, bawiącego podówczas w jego rozległych dobrach. Żyd jak zazwyczaj, stawić się nie omieszkał.

— No, mosanie szwedzki kawalerze, przywdziej na nowo skórę Wernika i pójdziemy wojować, znów będziesz kwatermistrzem w mojej armii.

Żyd zaś, nie zająknąwszy się, odparł raźnie:

— Ano, możeby to nie szkodziło rozprostować trochę kości i na czas otrząsnąć tę pleśń arendarską... A z kimże mamy wojować, może znów tłuc szwabów? — to i owszem.

— Czyliż nie wiesz, że idę z wojskiem przeciw konfederatom barskim? — co tobie tymczasem sub secreto zwierzam.

— Chyba się jegomość pomylił, bo ja myślałem, że bić się w ich szeregach będziecie, a w ostatecznym razie zachowacie neutralność...

— Cóż to, żydzie, dajesz mi lekcyę polityki! — zawołał Łowczy gniewnie.

— Uczciwszy honor pański, raczcie wybaczyć, iż wdałem się nie w swoją rzecz, ale ja pomimo posłuszeństwa, jakie Jw. panu winienem, do tej wyprawy się nie piszę — odrzekł żyd z głębokim pokłonem, przyjmując postawę *arendarską*, jako jego niegdy ojciec przed nieboszczykiem kasztelanem.

— Ależ nie bądź głupi, mój Srulu — rozpoczął Łow-

czy łagodnie — przecież to rebelia przeciw królowi, który był na ciebie tak względny, choć jego łaskę odrzuciłeś; nareszcie gdzie ja idę, ty tam śmiało pójść możesz...

Perswadował na różny sposób Łowczy — żyd zaś tylko milczał stojąc w progu, a kłaniał się jak ongi Srul-Mortko 1-szy przed kasztelanem.

Łowczy ciągnął z ironią:

— Czyli może nie chcesz wystąpić przeciwko Matce Boskiej, bo jak ci wiadomo, oni biją się pod jej chorągwią i za jej honor.

— Mają tam oni i swój honor, który dzielićby się z nimi godziło — odparł Srul jakoś nieco zuchwale jak na żyda.

Pan zamilkł na to; żyd zaś z obawy aby go nie obrazić, chcąc widocznie ostrość słowa złagodzić, zakończył pokornie:

— Nareszcie na co ja się panu zdam w szeregach, już mi ręce zgrubiały przy szynkwasie.

— Ano jeżeli masz tam jakoweś swoje niewczesne skrupuły, których ja co prawda pojąć nie mogę, to bądź u mnie liwerantem, możesz grubo zarobić...

— Wdzięczny nieskończenie jestem, ale z łaski jw. pana mam więcej niźli mi potrzeba, a zresztą czas wielki zająć się sprawami rodziny. W domu żona z czworgiem dzieci, a piąte za pasem jak to mówią, a ja ich, mogę powiedzieć, dotąd nie znam; winienem przecie i im coś poświęcić; a nakoniec nieżydowska to rzecz wojaczka, — odparł Srul stanowczo, z tonem wprawdzie pokornym, w którym jednakże widniało silne i nieodwołalne postanowienie.

Łowczy wszakże długo nie dawał za wygranę, fukał, perswadował, rozczulał, lecz że na mało się to przydało przeciw stałości Srula, więc zakończył na wzór rodzica:

— Istnie upartyś „jak żyd w tańcu“, idźże sobie do stu....

A trzasnąwszy drzwiami, sam wprzód wyszedł z komnaty i pierwszy raz od dzieciństwa rozłączył się gniewnie z towarzyszem młodości.

* * *

Widzieliśmy jako niespodzianie ubył jeden członek z nierozdzielnej dotąd trójcy, Branickiego, Srula i Janikowskiego, którzy jakby się w jedno zleli, a dwaj ostatni gorliwie i wiernie służyli pierwszemu. Co do Janikowskiego, miał z niego Łowczy niemałą pociechę, szczególniej w sejmikowych dwóch knowaniach i intrygach, które na rzecz króla przedsiębrał: nieraz mu tam Janikowski cały sejmik porąbał i rozpędził, aby na swojem postawić (o czem może zczasem, da Bóg zdrowie, powiemy obszerniej, bo i do tego są materyały w zapleśniałej tece, ale dziś nie godzi się przeciążać gawędy, bez tego już długiej).

Owóż Branicki, wziąwszy do serca to przeniewierzenie się żyda, umyślił cały afekt przenieść na Janikowskiego, a zwierzywszy mu się również z tajemniczej dotąd wyprawy, opowiedział zuchwałą opozycyę żyda przeciw zamysłom pańskim, a tak zakończył:

— Na Kostku, teraz krescytywa i karyera na końcu szerpentyny, ani ci się śni jak pójść można wysoko...

— Quinque djabłów! aż na gałąź mogą pociągnąć konfederaci... Daj mi waszmość pokój ze wszelkiemi karyerami i awansami, ja się tam za nimi nie uganiam — odparł chmurnie zagadnięty.

— Ale w każdym razie spodziewam się że mnie nie opuścisz i nie poczniesz sobie jak ów żydzina?...

Janikowski wysłuchawszy, przemierzał wielkiemi kro-

kami komnatę, spluwając w każdym czasie, co zwykle czynił gdy mu coś na sercu leżało.

— No i cóż? — powtórzył po chwili zapytania łowczy.

Quinque djabłów! — wrzasnął Janikowski zaperzony — ja zawsze powiadam swoje, iż każdy niedotrzymany parol bokiem wylezie i ja gdybym był w swoim czasie w brzuchu wilczym, nie spotkałaby mię taka alternatywa, jak dziś, że nie wiem jak sobie poradzić, quinque dyabłów.

— Co się z tobą stało, czy cię giez napadł?

Janikowski nie odpowiadał, a tylko chodził, sapał, pluł i tarł czuprynę, co także nie było u niego oznaką czułego usposobienia. Nakoniec przystanąwszy przed Łowczym, jako człowiek zdobywający się na ostateczną decyzyę, odpasał szablę i oddał mu ją, mówiąc stanowczo:

— Masz tu panie bracie twoją broń, quinque dyabłów, a mnie każ dać kawał chleba do torby i bywaj zdrów.

— Kostku! czyś oszalał, pleciesz trzy po trzy, jakbyś się wyrwał od czubków.

— Nie „trzy po trzy“ quinque dyabłów, i u czubków dotąd nie byłem, lecz Bóg gotów mię jeszcze skarać tem, za to iż chybiłem mojej predestynacyi, która była abym już oddawna siedział w brzuchu wilczym — otóż zadość jej czyniąc, idę teraz w las bezbronny, i póty będę niepokoił wilków, aż mię schwycą i parol będzie dotrzymany; a że nie życzę sobie głodnej śmierci, bo ta nie leży w mojem fatum, więc proszę o kawałek chleba, ażebym miał o czem doczekać wilczych zębów, quinque dyabłów, dixi!..

— Bóg z tobą, opamiętaj się Kostku — mówił Łowczy silnie zaniepokojony.

— Quinque dyabłów, pamięć mię wcale nie zawodzi, i wiem to, że przychodziłem tu z zamiarem propozycyi, czy nie poszlibyśmy spróbować szczęścia z konfederatami, bo

słyszę biją się bestye jak lwy!... aż tu jegomość mówisz ażeby iść przeciwko nim, ja zaś mając broń waćpana w depozycie niejako, nie mam prawa jej przeciwko tobie obrócić... A bić tych dzielnych konfederatów... quinque dyabłów... nie..... nigdy!

— To i waćpan trzymasz z żydem? — zapytał z przekąsem Branicki.

— Z żydem, z quinque dyabłem, i z każdym kto nie przeciw konfederatom.

Branicki nie próbował nawet wpływać na zmianę rezolucyi pułkownika, znając jego zaciętość i upór w przedsięwzięciach. Ta rozmowa skończyła się tak samo jak poprzednia, iż Łowczy trzasnąwszy drzwiami wyszedł.

W ten sposób rozerwała się nierozdzielna dotąd trójka. Chociaż Branicki rozstanie z wiernymi przyjaciołmi przed rozpoczęciem wyprawy poczytywał sobie za zły omen, jednak przedsięwzięcia nie zaniechał.

Jakie to zaś było wojowanie jego z konfederatami?... to już do dziejów należy.

*
* *

Gdzieby się podział Srul po rozstaniu ze swoim „paniczem“, niewiadomo: żona jego osiadła sobie na propinacyi małej wioski u innego szlachcica, bo się z dawnym panem rozstał Srul, który teraz gdzieś przepadał. Powiadają że włóczył się z konfederatami, dowoził im żywność, ludzi do obozu przekradał, a w razach gorących chwytał nawet i za broń... tak to mówią, dziś sprawdzić trudno, tylu tam bowiem było żydów przychylnych konfederacyi, że pomiędzy nimi ślad jednego mógł zaginąć.

Co do Janikowskiego, ten skoro Łowczy zatrzasnął mu drzwi przed nosem, cały się zaperzył, chwycił odpasaną

szablę, chciał biedz za nim, potem ochłonął i rzekł sam do siebie:

— Quinque dyabłów!... gdybym to ja miał prawo godzić na niego, tożbym go płatnął!...

Potrzymał szablę, podumał nad nią chwilę, a następnie sam ze sobą rozpoczął dysputę:

— Cóż u quinque dyabłów mam szukać wilków?... ano nie znajdę, ot i konfuzya, czekać w boru aż do sądnego dnia lub zamrzeć głodną śmiercią, na co parolu nie dawałem... Ot lepiej pójdę do konfederatów, tam gdzie Łowczy będzie, przeciw niemu rozumie się nie wystąpię, bo na niego nastawać mi się nie godzi... posekunduję tym walnym chłopakom, a kto wie, może jaki quinque dyabeł w łeb mi palnie, rzuci na polu, wilcy połkną ścierwo i tak czy siak predestynacyi nie uniknę i parolowi stanie się zadość, przecie powiedziano, że „co ma wisieć nie utonie“.

Przekonawszy sam siebie w ten sposób, spojrzał nie bez żalu na drzwi świeżo zatrzaśnięte, przepasał szablę i w świat powędrował.

*
* *

Nadchodził rok 1774, Branicki stanął u szczytu honorów, fortuny jakie tylko dano jest dosięgnąć śmiertelnikowi z olbrzymiemi nawet zaletami: został hetmanem wielkim koronnym po rezygnacyi Wacława Rzewuskiego i prawie jednocześnie odebrał starostwo (największe w Rzeczypospolitej) Białocerkiewskie — toż powiadają że hetman sam stosował do siebie małoruskie przysłowie: „ne rodysia krasnym tilki szczastnym“ (nie ródź się pięknym tylko szczęśliwym).

Tymczasem nasz dotychczasowy bohater Srul zaszył się gdzieś w myszą dziurę, że ani słuchu o nim: po konfe-

deracyi barskiej z jej generalnością przebywał za granicą, wystrzelał niespodzianie to tu, to owdzie, znów znikał, słowem osłonił się nieprzebitą tajemnicą; aż po zupełnem uspokojeniu konfederacyi, zasiadł sobie na karczmie przy swojej Sarze i bachorkach, jak na statecznego żyda przystało.

Dopiero po sześciu przeszło latach rozłączenia z hetmanem, zeszli się na nowo; w jaki sposób nastąpiło to zbliżenie, niewiadomo, lecz zdaje się, że powodem do niego stało się właśnie owo starostwo Białocerkiewskie, a wkrótce po niem znaczne dobra i niezliczone bogactwa, wpływające Branickiemu przez ożenek z Engedlhardtówną, siostrzenicą księcia Potemkina.

Żyjąc przy dworze i na wielkim świecie, a bawiąc się podczas i w dyplomacyę, należało zarząd ogromnych dóbr w pewne ręce powierzyć; wybór może najlepszy padł na Srula, co ich nanowo zbliżyło z hetmanem.

Odrazu tedy Srul został ważną figurą, znaną w kraju całym, bo rządcą i pełnomocnikiem dóbr hetmana, jednego z bogatszych magnatów w upadającej podówczas rzeczypospolitej.

Stał się więc nasz bohater potentatem, trzymającym w ręku losy wielkiej fortuny, wszyscy mu się nizko kłaniali, a jak niziuteńko, dość by dziś wziąść miarę z tego, jak się dotąd dmą oficyaliści i komisarze tych samych dóbr rozdrobionych na części, z których już inne odpadły w obce ręce.

Srula powszechnie szanowano, ale że jakoś nie rozumieli ówczesni, aby do żyda przystanął tytuł „komisarza lub pełnomocnika“, z całym szacunkiem tytułowano go *panem Faktorem Hetmańskim* — (otóż i usprawiedliwienie nazwy wystawionej na tem pisaniu). A już i on nie zwał się Srul, ale imię dawne Wernika na nowo przybrał, ci zaś

co nie wiedzieli, iż je dawniej nosił, suponowali że tak się zwał jako „wiernik, czyli powiernik“ pański.

O tych rządach nic szczególnego nie mamy do powiedzenia, chyba to, że wszyscy oddawali sprawiedliwość zręczności i poczciwości Wernika.

* * *

Przeskoczymy lat przeszło dwadzieścia czasu — dla tego dopuszczamy się tej śmiałości, iż nasz bohater Wernik oddany sprawom majątkowym, schodząc z widowni świata politycznego i towarzyskiego, cały się poświęcił gorliwej pracy około dobra niegdyś swojego panicza.

Co zaś działo się z hetmanem, to już czysta dziedzina dziejów, w którą prostemu bajarzawi wkraczać się nie godzi.

Przeszły przez kraj i społeczeństwo ciężkie burze, srogie huragany, które wszystko na nice przewróciły; nikt się nie umiał zoryentować w tych nagłych zmianach, szczęśliwsi tylko, zręczniejsi lub obojętniejsi, wyszli cało z tej ogólnej nawałnicy. Kraj i ludzie byli do niepoznania.

Ex-hetman Branicki, już dziś generał w służbie rosyjskiej, na ogromnej fortunie spożywał mniej więcej spokojnie, o ile to można było, owoce zabiegów całego życia, rezydując na Białocerkiewskim zamku.

Wernik, wysłużywszy swoje względem „panicza“, a wywiązawszy się godnie z przysięgi swojemu ojcu uczynionej — spracowany już, złożył rządy w ręce pańskie, raczej samej pani hetmanowej, która tę olbrzymią fortunę iście męzkim rozumem i czynnością przysparzała.

Stary żyd wszakże, pomimo czynnego życia, zachował czerstwość młodzieńczą, bystrość umysłu i wesołość nawet, o ile ta w owych smutnych czasach trzymać się ludzi mo-

gła. Opłakawszy towarzyszkę życia, pozostałe z niej siedmioro dzieci rozposażył po świecie, pożenił, obdzielił sprawiedliwie tem, co przez ciężką pracę zarobił — sam zaś, pomimo iż hetman namawiał go do arendowania swych niezmiernych gotowych dochodów, na dogodnych warunkach, atoli on pragnąc już sobie odpocząć, dla zadośćuczynienia ówczesnemu żydowskiemu obyczajowi, ażeby się od przodków nie wyróżnić, wziął propinacyę jednej małej wioski w sąsiedztwie hetmana, sam zaś przepędzał życie przy swoim dawnym „paniczu", który lubił z nim zapuszczać się we wspomnienia minionej przeszłości. Już to obaj sobie przytem krzepili się węgrzynem, co hetmana było przyzwyczajeniem, a Wernik był nie od tego; miał on jeszcze jedną pasyę, iż pomimo surowej moralności posiadał gust dość rozwinięty do płci nadobnej, który uprawiał nie bez sukcesu, gdyż tak młodość ducha, jako i piękną postawę ciała zachował pomimo wieku w całej sile i świeżości. Pokazuje się, że i dawni żydzi, surowi hasydowie nie byli bez „ale", lubiąc się podczas emancypować. „Nie ma reguły bez wyjątku".

Prawda i to, że powieściarzowi niecałkiem się godzi zdradzać słabostki swoich bohaterów, wszelako mam na to ekskuzę, iż owa ułomność mojego bohatera do konkluzyi opowiadania potrzebna.

Tak tedy wspominając a popijając sobie, dwaj towarzysze młodości, których nierówność szczebli hierarchicznych zniwelowała się przez czas i wiele wspólnie przeżytych katastrof, wzdychali do Janikowskiego, który od czasu ostatniego burzliwego pożegnania z przyjacielem wpadł jak w wodę i słychu o nim nie było — a bywało mawiał ex-hetman.

— Kto wie, ten szaławiła Kostek tak wierzy w swo-

ją predestynacyę zakończenia w wilczym brzuchu, iż może nakoniec grób swój tam znalazł.

* * *

Pewnego razu, gdy hetman domawiał tej często powtarzanej reminiscencyi, dał się słyszeć głos we drzwiach:

— Owoż stawię się, aby waszmości panu zameldować, iż pomimo gorliwych poszukiwań, bom na to ani sił ani starań nie szczędził, nie powiodło mi się znaleźć ani jednego wilczyska, który wedle destynacyi przyjąłby mnie do swoich wnętrzności.

Nie będę się kusił na opisanie tej żywej radości, jaka pomiędzy nimi zapanowała, kiedy po tylu latach i rozmaitych przejściach los nanowo tę szaloną trójkę zgromadził. Rozumie się uścisków i zapytań bez końca wysypano ze wszech stron. Oto była zwięzła opowieść Janikowskiego, który oratorem ani statystą z opowiadania nie był:

— Krótko mówiąc, po naszem nieco ostrem rozstaniu się z waszmością, poszedłem szukać onego wilka, jakem to sobie ukartował; wszelako według pierwszego planu nie udałem się do lasu bezbronny, bo anożby wilk nie przyszedł, czysta konfuzya i chyba wlec żywot pustelnika w tem oczekiwaniu. Pomyślałem sobie: pójdę do konfederatów, to setne chłopy; biją się jak opętani quinque djabłów, tam u nich i o kulę i o wilka będzie nietrudno. Gdzie tam! nic z tego, snać godzina destynacyi nie wybiła dla mnie. Samo przez się tam tylko, biłem się gdzie waszmości nie było... a wędrując z placu na plac, już nie pamiętam kędy, quinque djabłów, gdzieś zawędrowałem nad Dniestr z jednym Pułaskim. Ten biedak zginął, przystałem do drugiego aż w Sanockiem... a potem z włóczęgi do włóczęgi licho mnie zagnało, quinque djabłów, aż do generalności,

która siedziała sobie na Szlązku. Myślę sobie: generalność, hm! toż generalnie się bić musi, a to quinque djabłów, same biskupy, senatory, deliberują mosanie, piszą, jeżdżą, politykują, a prochu ani na lekarstwo. Tfy! quinque djabłów! drapnąłem ztamtąd, przystałem do austryaków, ci mieli iść na turka; myślę sobie, jeszczem się z bisurmanem nie bijał, spróbuję — a czy to wilk turecki, czy polski, to wszystko jedno, byle się proroctwo sprawdziło i parolowi stało się zadość, ale gdzie tam! wprzód pokój zawarli nim się bili, ja musiałem pozostać na wasserzupie; paru tam szwabów okiereszowałem, wsadzili mnie do kałauzu i już mieli pod krygsrecht pociągnąć, ale dałem drapaka. Powałęsałem się trochę, a tymczasem książe Józef i Kościuszko wystąpili, dalej ja do nich! Znów biję mosanie, quinque djabłów, szukam guza i wilka, ale quinque djabłów, jakby mnie kto zaczarował, nic się mnie nie ima. Otóż ja z tymi generałami, który tylko gdzie się chciał bić, nie odstępowałem go aż do końca. A koniec quinque djabłów, wiadomy ..

I machnął ręką na zakończenie.

— Ano dalejże, coś ze sobą zrobił?

— A cóż dalej, quinque djabłów, tak wszystko zakręcili, że i wilkabyś nawet nie odszukał.

— Nie o to chodzi, ale gdzie się potem podziałeś? gdzie czas ten po wojnie przesiedziałeś?

— Aha, oto myślę sobie, powędruję w Trockie, w moje niegdyś strony; tam bory gęste, może znajdę jakiego wilka; aż tu zamiast tego, quinque djabłów, jakiś tam mój krewniak, dziesiąta woda po kisielu, dowiedziawszy się o mnie, zapisuje mi majątek i quinque djabłów, umiera!

— To nie quinque djabłów, a zawsze legat, i dużoż tam tego?

— Ot sobie zaścianek, możnaby wyżyć i spokojnie

Boga chwaląc, wilka doczekać. Aż tu, quinque djabłów, ni ztąd ni zowąd powstają jakieś jury w imieniu pewnej sieroty, jakoby bliższej krewnej nieboszczyka, której się spadek należał, zapozywają mnie do sądu, abym zapis na jej rzecz zwrócił.

— Więc procesowałeś się?

— A quinque djabłów! ja procesować się? chciałem jurom łby potrzaskać, ale pouciekali.

— Zatem jakże?

— Ano pojechałem do tej krewniaczki... mieszkała tam nieopodal z matką staruszką, prawie niewidomą, a bardzo tam kuso było koło nich... z matką żadnej rozmowy, bo to i kaleka i bardzo zgrzybiała, więc ja tedy do panny:

„Aśćka, quinque djabłów, chcesz zabrać majątek mnie legowany?“

„Kiedy ten mi z prawa należy“ odpowie nieśmiało.

„A ja nie dam, quinque djabłów!“

Dziewczyna w płacz; żal mi się jej zrobiło, takie to jakieś gładkie i potulne niebożątko, a rzeknę jej:

„Nie płacz aśćka, a lepiej poproś mnie pięknie, to ci daruję, bo ja tego dotąd nie miałem i da Bóg do końca życia bez tego się obejdę, ale quinque djabłów, jurom nie dam sobie wydrzeć ani piędzi ziemi, łby porozbijam!“

Aż ona wzięła na ambit quinque djabłów, a prawi do mnie z góry, jakby jaka królewna, a łzy jej gwałtem cisną się do oczu:

„Prawda, że my z matusią bardzo biedne, ale zawsze szlachcianki i nie zasługujemy na ten despekt, ażeby nam jałmużny czyniono, ale co nam z prawa należy, to nasze“.

A tak mnie jakoś za serce chwyciła, iż rzeknę do niej z całą delikatnością:

„Posłuchaj mnie asiudźka, nas dwoje a kęs ziemi jeden, ja go jurom, quinque djabłów nie dam, a na miazgę

ich potłukę... więc albo zabierzcie to imoście sobie po dobrej woli z braterskiego afektu, albo jeżeli wola, to połączmy się dozgonnym węzłem, i quinque djabłów używajmy wspólnie co Bóg da".

Spłonęła ogniem dziewczyna, a mimowoli podniosła na mnie oczy, ale jakoś na odpowiedź się jej nie zbierało.

A więc ja tedy po kawalersku skłonię się pięknie i prawię z całą galanteryą:

„Oczekuję mościa panno, rezolucyi na moją serdeczną suplikę. Co tam, quinque djabłów, będziemy jurom tłuste połcie smarować, kiedy całą rzecz, jeżeli łaskawa decyzya nastąpi, można ku chwale bożej i zobopólnej pociesze zakonkludować.

Tak to mosanie, quinque djabłów tę długą oracyę wypowiedziałem bez zająknienia, jakby na jakim sejmie, i sam sobie się dziwowałem, zkąd mi się raz w życiu na taką swadę zebrało.

Dziewczyna tedy spłonie jeszcze bardziej, jak pąs, a zaledwie mi przez zęby przecedziła:

„Jeśli matusia zezwolą, skłoniłabym się do woli waćpana".

Ja tedy posuwiście zbliżę się do staruszki, i już quinque djabłów, oracyę sobie komponuję, ale panna mi rzecze:

„Matusia głucha, nie potrafi waszmość z nią się rozmówić, pozwólcie że was wyręczę".

I biedaczka poczęła z wielką konfuzyą krzyczeć starowinie w ucho całą moją deklaracyę, a jeszcze nieboga musiała po kilkakroć powtarzać, bo stara, quinque djabłów, prócz tego że ogłuchła, jeszcze stępiała naumyśle, zaledwo za trzecim razem wyszeptała:

— Jeżelić moje dziecko po woli i po sercu, niech Bóg błogosławi...

Ja tedy, quinque djabłów, jako światowy kawaler

buch do nóg matce i pannie, a jak im wypalę długą oracyę... mówię im tedy... powiadam... bardzo pięknie, aż się spłakały obie babiny i córka i matka, chociaż nic nie słyszała, a potem pomyślę sobie quinque djabłów, ot i po wszystkiem, a jurom figa!

— Więc było wesele? — spytał hetman wesoło.

— Nietylko wesele quinque djabłów, ale z łaski Boga będą i chrzciny, a jeżeli łaska waszmości zaszczycić mnie kumostwem, bo po to ja właśnie aż tu z pokorną supliką przywędrowałem, a chłopak mosanie jak żelazo, quinque djabłów, nie powstydzisz się waszmość chrześniaka.

— Z całego serca służyć ci będę, niech ci Bóg chowa potomka i oby był podobny do poczciwego rodzica — rzekł hetman biorąc miłego gościa w ramiona.

— Jeżeli tedy łaska i wola, za com serdecznie obowiązany, żeby w. m. pana nie fatygować, nie mieszkając w te tropy równo ze dniem podążę po żonę i synaczka, bo chłopię długo bez sakramentu trzymać się nie godzi.

— Alboż myślisz, że cię tak puszczę? Ot, wiesz co, poszlij po żonę i syna, osiądźcie tu przy nas, a my sobie w trójce, jak to kiedyś po świecie się włóczyło a tego i owego się doświadczało, przy gawędce i kielichu dokonamy żywota. Chcesz, dam ci wieś dobrą albo i parę w dzierżawę, dożywocie, czy jak tam będziesz uważał, a zresztą do rabina na sprawę nie pójdziemy, byle się nie rozstawać, bo i tak nas mało na świecie.

— Cenię sobie wysoce łaskę waszmości, ale co z Trockiego to się nie ruszę".

— A cóż cię tam za przynęta trzyma, czyliż to wszędzie nie ma Boga i ludzi, a ziemi do orania?

— Ono to tak, ale quinque djabłów, tam jakoś mi się złożyło.

— To i tu jakoś się złoży przy starych przyjaciołach.

— Nie przeczę, ale przyznam się że jeżeli moja destynacya ma mnie nie minąć, to tam takie piękne wilki, a z taką siercią puszystą, że cieplej w nich tam będzie siedzieć.

— Cha! cha! cha! nie dziwaczże stary, jeżeli chcesz, każę złapać kilka wilków trockich i wpuszczę tu w moje lasy, ażeby się rozmnożyły, tylkoż ty się tu przy nas osiedź.

— Zbytek łaski waszmości, ale dałem sobie na to parol, że już w Trockiem żywota dokonam, a zatem pomimo najszczerszych moich chęci, wszelkie molestacye na nic się nie zdały, bo quinque djabłów, verbum nobile...

— Ba, kiedyś taki kozioł uparty, to jak sobie chcesz; zapijmy tymczasem tę sprawę, zawsze jednak tak rychło cię nie puszczę i skoro verbum nobile że nie wyruszysz z Trockiego, to i ja tam pojadę submitować się twojej magnifice i ceremonii chrztu dopełnić, a tymczasem dla uspokojenia jejmości napisz że tak rychło nie przyjedziemy, a ja wyprawię kozaka... I to powiadasz że verbum nobile, że już z Trockiego się nie ruszysz...

— Quinque djabłów, mospanie, słowo się rzekło!

— Trzymam cię więc za słowo. A teraz pogościsz u mnie czas jakis. Dla spokoju twojego i jejmości urządzę ztąd pocztę kozacką do ciebie, abyś co tydzień miał wiadomości o zacnej małżonce, a skoro nieco sprawy moje ureguluję, pojedziemy razem w Trockie... ale i Wernika weźmiemy ze sobą... czy zgoda?

— Zgoda! setna zgoda! quinque djabłów, a dla mnie i domu mojego honor niepospolity. A co do Wernika, my starzy przyjaciele, przecież to ja pierwszy zaregestrowałem go do kurlandzkiej kompanii.

* * *

Szła tak sobie gawędka i krążył kieliszek pomiędzy starymi przyjaciołmi przez zimę całą, a Janikowski, według obietnicy hetmana, odbierając co tydzień o żonie i synu wieści, a do tego z łaski Najwyższego pomyślne, nie zrywał się z powrotem.

Pewnego razu hetman rzecze:

— Wiesz waszmość, iż mam na sumieniu, iż tak długo zwlekałem z wyjazdem, ale to ciągle te kłopoty majątkowe, a tymczasem twój młody kawaler czeka na chrzest św.; trzebaby nam wyruszyć teraz, a tu tymczasem jakaś mnie niemoc schwytała i doktór każe mi w domu siedzieć. Gdybym to śmiał prosić o to, panie bracie, aby według pierwszego twojego projektu szanowna jejmość mogła tu z infantem przybyć.

— Przecież tak pierwszy myślałem, quinque djabłów, nie śmiejąc waszmości fatygować; za parę godzin tedy wyruszę i jejmość moja wkrótce razem z chrześniakiem submitować się będą czcigodnemu kumowi.

— Czekaj, nie tak rychło; jutro rano wyjedziesz, a dam ci kolasę i stosowną kawalkatę dla lepszego bezpieczeństwa, bo drogi teraz niepewne, włóczą się same łotrzyki.

— Quinque djabłów, czy ja sobie z nimi nie poradzę!

— Ani wątpię, ale uczyń to dla mnie, ażeby jejmość i mój chrześniaczek wygodniej podróż odbyli.

— Do woli waszmości.

* * *

Po odjeździe Janikowskiego wcale się hetman nie zasmucił, jakby można oczekiwać z tego, ile rad był gościowi a staremu przyjacielowi, lecz owszem ręce zacierał,

coś sobie układał, a ciągle razem z Wərnikiem wyjeżdżal i widocznie knuli tam sobie coś nowego.

W parę tygodni po odjeździe Janikowskiego, wpadł do dworu hetmańskiego kozak na spienionym koniu, dając znać że państwo Janikowscy są o pół dnia jazdy od Białocerkwi. Po odebraniu tej wieści, hetman natychmiast w paradnym mundurze, w licznem otoczeniu dworzan, wyruszył o milę do wioski na spotkanie przybywających, a skoro ci już się zbliżali, powitał ich gospodarz z całym orszakiem u wrót wioski, submitował się pani Janikowskiej, uściskał przyszłego chrześniaka, a potem niby od niechcenia rzekł:

— Widzę że konie zziajane, może raczycie w. m. państwo wstąpić tu do dworku na wypoczynek, a tymczasem konie popasą.

Zgodziła się pani Janikowska na propozycyę gospodarza. Powozy podjechały przed niewielki, schludny dworek, cały jak gierlandą otoczony kwiatami i zieleniejącemi drzewami. Skoro stanęli, uprzejmy gospodarz podał ramię pani Janikowskiej, a gdy ją wprowadzał, kobiecina nie mogła się oprzeć zdziwieniu i co chwila mówiła:

— To dziwna, zupełnie taki domek jak u nas w Trockiem i ogródek taki i nawet sosny, które w tych stronach pierwszy raz napotykam.

— Zdarzają się czasem dziwne podobieństwa tak pomiędzy rzeczami jako i ludźmi — wtrącił hetman obojętnie.

Lecz im dalej postępowali, kobiecina coraz bardziej zdziwiona zwracała uwagę na to podobieństwo, które nawet i w wewnętrznem urządzeniu domu zastanawiało.

Małżonek postępując za nią, mruczał:

— Quinque djabłów, czyli nasz tam dworek skradli i tu razem z nami przywieźli?

W jednej z izb była urządzona gustownie czasowa

kaplica, gdzie oczekiwał ksiądz; skoro tam weszli, hetman zwrócił się do państwa Janikowskich.

— Kiedy nam się zdarza Imć ksiądz dobrodziej i kaplica, jeżeli wola w. m. państwa, możebyśmy tu i chrzest odbyli.

Po skończonej ceremonii, hetman z właściwą sobie hojnością obdarzył kumów i chrześniaka. Następnie zasiedli do konwersacyi: pp. Janikowscy zawsze dziwowali się podobieństwu tej zagrody do ich dworku i czekali od gospodarza hasła do puszczenia się w dalszą drogę, lub jakiegoś zajęcia. Wszakże Branicki trzymał się jakby był w gościnie, a po niejakim czasie ozwał się do Janikowskiego:

— Mości kumie, jakoś chrzest twojego pierworodnego nasucho się odbywa, nie spodziewałem się tego.

— Ano możeby coś wypić, jeśli wasza łaska — odparł Janikowski.

— Jakto moja?

— A jużci nie moja, quinque djabłów, ja tu w waszej miłej gościnie.

— Dziwno mi, że waćpan chorując na parolistę, innym nie dozwalasz posiadać tej zalety, przecie było powiedziano, że chrzest twojego syna dopełni się w Trockiem.

— Ano quinque djabłów, gdybyśmy byli w Trockiem, poczęstowałbym was stuletnim miodem, który tam wypadkiem odgrzebałem kopiąc fundamenta pod stodołę... ależ mecha quinque djabłów!

— Przecież jesteś w Trockiem — przerwał Branicki.

— Ja w Trockiem? spytał Janikowski patrząc w oczy hetmanowi, jakby zwątpił o przytomności jego umysłu.

— Tak jak dziś dzień — odparł spokojnie Branicki.

Janikowski zaperzony, bo był gorączka, spojrzał nań zukosa i burknął:

— Panie bracie, czy kpisz, czy drogi pytasz?

— Ano daję ci parol, żeśmy w Trockiem, a nawet przypomnę, żeś dał verbum nobile osiedlenia się tutaj.

Pani Janikowska pomięszana, niespokojnie słuchała tej rozmowy, która zakrawała na zwadę.

Janikowski znów spojrzał w oczy hetmanowi, ale nie z gniewem a raczej z kompasyą, jaką się spogląda na chorych i rzekł spokojnie:

— Czy nie masz waćpan gorączki, moja baba zna się cokolwiek na lekach, możeby na razie coś zaradziła, a tymczasem wartoby posłać po nadwornego doktora.

— To myślisz może żem mente captus, niechże więc dwóch się nas takich znajdzie — rzekł uśmiechnięty Branicki, a zwracając się do Wernika dodał:

— Powiedzże, gdzie się teraz znajdujemy?

— W Trockiem, mości hetmanie.

— Quinque djabłów, dajcież waszmościowie pokój tej krotofili, bo w końcu ja naprawdę zwaryuję — zawołał Janikowski pomięszany.

— Pokażże Werniku dokument, co to jest za ziemia i czyja? — ozwał się hetman.

Zagadnięty wydobył z zanadrza akt i podał Janikowskiemu, który przecierając oczy odczytał kilka razy, a w końcu zawołał:

— Quinque djabłów, a to co?

— Czy przekonałeś się nakoniec, że jesteś w Trockiem? — spytał Branicki.

— Przecież to Ukraina a nie Trockie — wtrąciła naiwnie pani Janikowska.

— Tak jest, mościa pani, ale wieś tę nazwałem „Trockie“ na pamiątkę moich najmilszych przyjaciół, którzy Trockie miłują nad inne strony i że indziej również żyć

mogą, szanowani i miłowani przez otaczających — odpowiedział hetman z attencyą.

— Ale quinque djabłów, z tego nic nie będzie! — zawołał na pół sierdzisty, a na pół rozrzewniony Janikowski.

— Z czego nic nie będzie? — spytał uśmiechnięty Branicki.

— Wyobraź sobie, moja panno — zwrócił się do żony Janikowski — że Imć pan hetman tę piękną wieś nam chce darować i oto jest akt donacyi, który ja quinque djabłów...

Dokończył gestem, chcąc trzymany w ręku papier rozerwać.

— Uczciwszy uszy jejmość dobrodziki — ozwał się Branicki akt z rąk mu wydzierając — powiem ci Kostku, żeś głupi. U nas, w naszej szlacheckiej kongregacyi i bractwie, jeden drugiemu nic nie darowuje, a pożyczają sobie z terminem do smutnej doli. Bóg mi dał większy kawał ziemi, czemuż nie mam się z tobą podzielić w imieniu mojego miłego chrześniaczka. Da tobie Bóg więcej, a mnie odbierze, to dasz mojemu synowi. Tak gdybyśmy pomiędzy sobą rozumieli, to szlachecka ona jedność byłaby w swoim rodzaju murem niezdobytym, a *perpetuum mobile*, któreby nigdy końca nie miało.

— Niech cię tam quinque djabłów, mości hetmanie! — odparł ze łzami Janikowski rzucając się w objęcia Branickiego, a gdy się wyściskali i wypłakali, rzecze pierwszy spokojnie:

— Co też panie bracie ze mną wyrabiasz... wydobyłeś mnie raz z brzucha wilczego.

— Co ty panie bracie zawsze z tym brzuchem wilczym wyjeżdżasz, bo czylibyś tam był lub nie, to jeszcze kwestya; a zresztą w całej tej okazyi jeżeli masz co do zawdzięczenia, to bardziej przytomności i bystremu działaniu

Wernika, który tem wszstkiem mądrze pokierował, ale żeś mnie na czysto wydarł z paszczy niedźwiedziej, na to tysiące oczów patrzało i sam król Imć — zatem co do tego wilka skwitowaliśmy się z nawiązką, jak to mówią kwita z byka za indyka, bo zawsze niedźwiedź wart wilka — przerwał wesoło Branicki.

— Daj waść pokój, nie ma quinque djabłów o czem wspominać, ale pierwsza wina pochodzi od waszmości i Wernika, żeście mnie wilkom wydarli.

— Nie bluźń Kostku, gdyż nie miałbyś teraz tak zacnej małżonki i miłego synaczka, a mojego chrześniaka.

Wmięszała się tu do rozmowy pani Janikowska i rzecze:

— Już to o wilkach nieraz słyszałam, ale co o niedźwiedziu nic mi mój jegomość nie wspomniał.

— Niepotrzebna ciekawość, moja panno — przerwał mąż z nieukontentowaniem.

— Skoro tak — ozwie się Branicki — pozwoli jejmość dobrodzika, że złożę o tem dokładną relacyę, jako najgłówniejszy aktor tego wydarzenia i nieszczęśliwa, a wybawiona ofiara. Było to w roku 1784, kiedy króla Imci ugaszczał wspaniale nieboszczyk Radziwiłł, wojewoda wileński w Nieświeżu, a jak wiadomo były tam przepyszne festyny, bale, komedye, krotofile i t. p., a także zabawialiśmy się i łowami; alež były to łowy iście Radziwiłłowskie. Obrzucono puszczy mil kilka, a czy wojewoda kazał tam nawpuszczać niedźwiedzi z całego świata, tego już nie powiem, bo nie wiem, ale to pewna, że było ich tyle, co czasem kuropatw na stepie, a chyba kto nie chciał to nie strzelał... ja strzeliłem o kilkanaście kroków do niedźwiedzicy, rozjuszonej już kilkunastu innemi strzałami, ale fatalizm! spaliło mi na panewce. Niedźwiedzica już, już rzuca się na mnie, gdy Kostek poczciwy, który tak w bitwach jako i na

łowach zawsze więcej przestrzegał mojego bezpieczeństwa, niż swego — za co niech mu Bóg płaci na dzieciach i fortunie — nawija się, do niedźwiedzicy daje strzał trafny, a choć ją jeszcze nie dobija, reszty dokonywa oszczepem. Powtarzam, iż patrzyło na to tysiące osób, bo przeszło tylu miał Radziwiłł myśliwych w swojej barwie, a co szlachty i z królem przybyłej! Sam król Imć oddał sprawiedliwość jego męztwu, mówiąc te pamiętne słowa: „Dałeś Janikowski jakby nową duszę ciału Branickiego"; poczem raczył go udarować złotą tabakierką z własnym portretem *). Powiedzże, panie bracie, czy nie tak było? zakończył hetman zwracając się do Janikowskiego, który mruknął niechętnie:

— Niech sobie quinque djabłów i tak będzie; ale zawsze ja nie dawałem parolu na niedźwiedzicę, jak waszmość na wilki.

— Ano, kiedyś taki parolista — podchwyci hetman — to przypomnijże sobie, jako dałeś parol, że osiedlisz się w Trockiem, gdzie się chrzest twojego synaczka odbędzie, na resztę życia, mam świadka Wernika.

— A niech cię tam quinque djabłów! — zawołał Janikowski rozrzewniony i uściskiem rzecz zakończyli.

— Już to prawda, panie bracie, że jak zaczniesz perorować, to w samego quinque djabła co zechcesz wmówisz. Nie ma z nim rady, moja panno, kiedy pan hetman powiada że to Trockie, to musi być Trockie, a nakoniec verbum nobile, więc z tamtem twojem „Trockiem" możesz się pożegnać, tu już z łaski hetmańskiej mamy doczekać trąby archanielskiej, a skoro jest destynowanem, to i tu mnie wilk znajdzie.

Dopieroż zaczęły się podziękowania panu hetmanowi

*) Autentyczne.

za owo „Trockie“ piękniejsze bezwątpienia a donośniejsze od tego które opuszczali.

Nakoniec ośmielona pani Janikowska pytała hetmana:

— Wszelako pojąć nie mogę jakim to się cudem stało, że tu wszystko tak jak na naszem kawałeczku ziemi.

— Niekoniecznie to cud mościa dobrodziko, ale zawsze łaska Boża. Kiedy mi się zacny jej małżonek zobowiązał parolem, że się z Trockiego nie ruszy do końca życia, przyszło mi na myśl wyprawić sobie tę krotofilę, a przyjaciół zacnych przy sobie zatrzymać, a że właśnie wtedy zakładano tę wioseczkę...

— Quinque djabłów! piękna mi wioseczka, w którejby się dziesięć par takich jak nasz zaścianków, wytańcowało do upadłego—przerwał Janikowski.

— Otóż nie wiedząc jak nazwać ten kawałek ziemi, wziąłem sobie za pohop do tego parol Kostka. Posyłając zaś z listem pierwszym małżonka jejmości, wyprawiłem razem architekta i ogrodnika, aby się waćpaństwa siedzibie przyjrzeli i takową mi tu o ile możności zimitowali, ażeby po waszem „Trockiem“ osłodzić tęsknotę... Ale, ale my tu gadu, gadu, o suchych gębach a miła gosposia ani zważa; na chrzcinach zaś tak się nie godzi, bo powiadają że jak chrześniaka nie oblać, to nie będzie rósł, a pewnie że karła z niego mieć nie chcecie.

Zakończył hetman rubasznie, aby dalszych podziękowań uniknąć.

Zakłopotana pani Janikowska zaczęła plądrować po dworku, czemby tu dostojnego gościa uraczyć, lecz zaledwie się ruszyła aż tu wszędzie pieczone i warzone pod ręką.

Cóż tu więcej o tem powiedzieć, chyba jedno, że faktu podanego z palca nie wyssałem; rzecz wiadoma że Janikowscy zmarli we wsi „Trockiem“, którą posiadali z łaski

hetmana i że ta wieś, po ich śmierci do sukcesorów hetmana przeszła, już nie wiem w jaki sposób. Przyrosłą zaś do tej donacyi legendę za starymi ludźmi pówtórzyłem, a to tem śmielej, iż wydała mi się prawdopodobną i dobrze zastosowaną do naszego staropolskiego animuszu, w którym było wiele bujnej poetycznej fantazyi, ale nie mniej i serca, a braterskiego afektu—co podaję za pewnik, chociażbym miał na siebie wywołać oburzenie dzisiejszego pozytywnego obozu.

I żyła sobie szczęśliwie i wesoło dawna trójka hetmańska, jak to natenczas jeszcze żyć umiano!

Przychodzi mi na myśl, iż może sobie p. hetman chciał powtórzyć legendę o Twardowskim i karczmie „Rzym“, jeżeli tylko była mu znaną—nie zaprzeczycie jednak, iż w tym czynie przebija się hojność pańska i niekłamany afekt braterski.

*
* *

Długo to opowiadać jak się sobie weseliła ta trójka, rada, iż po wielu latach, pod starość, zeszła się na nowo— aż póki ich śmierć nieubłagana nie rozerwała; iż pierwszy do tego apelu stanął Janikowski—bo dwaj drudzy ciesząc się późną starością o wiele go przeżyli—więc godzi się mu kartkę wspomnienia poświęcić, tembardziej iż był to człowiek jeżeli niecałkiem historyczny, to przynajmniej legendowy i tradycyjny, wielu autorów o nim wspomniało, a nawet i piszący te słowa już w innej książce szczegóły niektóre o nim przytoczył.

Janikowski był postacią, jaką wyrodzić tylko mógł wiek ówczesny, że pozwolę go sobie nazwać „bitno hulaszczy“. Pełen rycerskiej odwagi i animuszu wojennego, Janikowski całe życie poświęcił wojowaniu; nie polityko-

wał nigdy, szedł na oślep za cudzem przekonaniem, stawał się niewolnikiem czyjejś idei, jak to widzieliśmy w stosunkach z Branickim, przyjaźń powziętą wyczerpywał do dna samego—ale przytem wszystkiem miał swoje pewne zasady szlacheckie, głęboko wkorzenione, co do miłości kraju i obowiązku obywatelskiego, a najlepszy dowód na przytoczonem powyżej postąpieniu względem najlepszego przyjaciela Branickiego, kiedy szło o konfederacyę barską, której był gorliwym zwolennikiem. Jednem słowem figura to pamiątkowa, której zbieracz starych legend naszych pominąć milczeniem i zapomnieniem, nie powinien.

Otóż, jak się rzekło, Janikowski złapany owym hojnym a serdecznym podstępem przyjaciela, osiedlił się przy jego boku, w onem improwizowanem „Trockiem". Dowód najlepszy iż musiał mir między szlachtą posiadać, kiedy go obrano na pierwszą godność w powiecie Wasylkowskim, godność Podkomorzego *), którą prawie do śmierci piastował.

Drugą stroną usposobienia Janikowskiego, była—dość zresztą rozpowszechniona u współczeszych mu—mania pojedynków; był on sławnym swojego czasu *burczymuchą i zawadyą*, jak wówczas nazywano, wszędzie szukał tylko zwady, a następnie rozprawy czyli pojedynku a tych, kiedy się osiedlił w Trockiem, liczył już 99. Kazał tedy zrobić sobie dużą pargaminową tablicę, na której jakiś kaligraf wysztychował mu krótką historyę wszystkich pojedynków—spółcześni Janikowskiego oglądali ją, szkoda tylko że któremu z nich nie przyszło na myśl odpisać ją choć w treści. Wiadomo jedno, że dwa razy tylko w życiu, z tych 99, był pokonany t. j. raniony, raz, jak to podaliśmy, przez Bra-

*) Po roku 1794 rząd rosyjski pozostawił nadal niektóre dawne urzędy powiatowe, między innemi, podkomorzych i komorników.

nickiego, a drugi raz w Wiedniu przez księcia ed Nassau. *)

Wszakże po osiedleniu się w Trockiem p. Podkomorzy, jako dostojnik hierarchiczny zdawał się już statkować, ale jakoś raptem przyszło mu na myśl zaokrąglić liczbę pojedynków i jął szukać setnego.

Jakoś w tymże czasie zaprowadzono sławne kiedyś kontrakty kijowskie, a że takowe wówczas liczne bywały, więc p. Podkomorzy umyślił w tem zbiegowisku wynaleść sobie ów pożądany setny pojedynek—może dla tego nie szukał burdy we własnym powiecie, bo jakoś wysokiemu urzędnikowi to nie przystało.

Na kontrakty ściągała moc cudzoziemskich handlarzy i rozmaitych aferowiczów, jak to oni już oddawna wzięli pochop leźć na polski chleb, jakby muchy na lep. Owóż Podkomorzy upatrzył sobie pomiędzy nimi cudzoziemskiego szlachcica, czy nawet barona, nazwiskiem Wendorfa (bo według regulaminu dawnego pojedynkowego z nieszlachcicem, nikt do rozprawy nie stawał).

Już to wogóle Podkomorzy, chociaż się tłukł poza granicach, jednak żadnego języka obcego nie znał, a sierdził się srodze na wszystkich cudzoziemców, którzy nie rozumieli go po polsku i zwał ich z pogardą „szołdrami“. Ów zaś Wendorf, pono anglik—człek przyzwoity i stateczny, mieścił się w lepszych kompaniach, gdzie bywał Janikowski, który już go sobie naznaczywszy, zachodził z różnych stron aby zaczepkę wywołać, której anglik starannie uni-

---

*) Tego to samego znakomitego rycerza ale już to i awanturnika, który świat prawie cały okrążył, bijąc się wszędzie ze sławą, pod chorągwiami rozmaitych narodów — nakoniec w Polsce ożenił się z bogatą wdową z Gozdzkich Sanguszkową. Ciekawi tych szczegółów czytelnicy, niech zajrzą do dzieła Bartoszewicza: „*Znakomici mężowie polscy, tom I.*“

kał, co bardziej zapaliło Janikowskiego, tak, iż swojego nie ustąpił. Aż nakoniec w towarzystwie, podpiwszy sobie, zbliżył się do anglika i przemówił głośno popolsku; cudzoziemiec mógł mu tylko odpowiedzieć w swoim języku, iż nie rozumie". Janikowski tedy wziął to za asumpt do pożądanej zaczepki i zawołał grubiańsko:

— A szołdro ty jakiś! to grosze polskie wyławiasz, a mowy się naszej nie możesz nauczyć!

Pono że owej apostrofie, dla lepszego wyrozumienia, zawtórował i szturchańcem; swoim zaś zwyczajem nie czekając innej konkluzyi, przez usłużnych tłumaczy, wyzwał anglika na rękę.

Anglik wyzwanie przyjął, lecz złożył się dokumentnie, iż miał sobie powierzone ważne sprawy jakiejś handlowej kompanii, którym zadość uczynić honor mu nakazuje; atoli przyjmując wyzwanie zapewnił, że stawi się w terminie na wskazanem miejscu, prosi tylko o zwłokę paru miesięcy.

W rozprawach honorowych ówczesnych wszelkie folgi racyonalne były względniane, a skoro żądanie to przedłożono Podkomorzemu, rzekł:

— Te *szołdry* znają tylko co to pieniądze, niechże tam je sobie kuje, a daję mu termin nie kilka miesięcy, ale roczny od dzisiejszego dnia; obaczymy ażali stawi się na słowie, plac u mnie w Trockiem, bo wcale nie myślę szukać tego wiatra w polu.

Na tem tedy stanęło. Zwyczaj pojedynkowy nakazywał, że mając jednę rozprawę nierozwiązaną, drugiej rozpoczynać nie można było, więc się uspokoił Podkomorzy, zajął się statecznie urzędem, oczekując niecierpliwie onego terminu. Okolicznosć stała się gadką nietylko znajomych Janikowskiego, lecz prawie całego kraju—czyniono grube zakłady o to „czy anglik stawi się na słowie, lub nie“.

* * *

Nadszedł nakoniec ów termin niecierpliwie oczekiwany.

Iż to się wówczas wszystko działo kompanicznie a. z pewną prozopopeją, toż i Janikowski chcąc ów dzień *jubileuszowej* rozprawy uświetnić, sprosił do Trockiego wszystkich łaskawych i znajomych. Kto żył z bliższych i dalszych, przypędziła go tam ciekawość niezwykłego w dziejach pojedynkowych faktu. A i płeć piękna, jako rycerskie towarzyszki a dość ostrzelane w tych burzliwych czasach, na ów festyn ściągnęły. Niejedni na tak wielką okazyą przybyli na parę dni wprzód, aby się tam dostatecznie nagadać i nawnioskować. A od świtu znany nam dworek w Trockiem roił się łaskawymi i ciekawymi.

Różnie tam sobie o tem omenowali, ale już to większość przechylała się za ogólnem zdaniem, które chętnie wygłaszali: „szołdra stchórzy“. Czekano tylko zapalenia świec, to był upływ ostateczny terminu, przyjęty ogólnie we wszelkich sprawach tak prawnych jako i honorowych.

W oczekiwaniu tej pory każdy z przytomnych przygotował sobie broń jakąś palną, rusznicę czy pistolet, a nawet ochotniejsi mieli i moździerze, aby za nadejściem czasu, wedle zwyczaju „plac ostrzelać“ na hańbę niestawiającemu się. Wiedzieć należy, iż kto miał raz w życiu plac ostrzelany, a z racyj poważnych, już był wyjęty z pod praw honorowych i nikt mu do rozprawy nie stanął.

Trudno przypuścić aby taka okazya odbyła się nasucho, więc też wielu podchmieliwszy sobie, wyprawiało rozmaite krotofile, przebrawszy się za onego anglika zajeżdżali szumno przed ganek i t. d.

Nareszcie z południa zasiedli do sutej uczty, która miała się przeciągnąć do zapalenia świec, czyli według rozumienia większości, do ceremonii ostrzelania placu. Lecz zaledwie zasiedli do stołu, zjawia się we drzwiach jakaś obca persona i kilka głosów, znających niegdyś Wendorfa w Kijowie, mruknęło zcicha:

— „To anglik!“

Atoli inni zaczęli śmiać się i suponując że to jakiś facetus przeodziany za cudzoziemca wyprawia nowy dyalog, zaczęli się śmiać i wołać:

— Stare sztuki! zrzuć tam waszmość, kto jesteś, tę angielską skórę i siadaj z nami do stołu.

Wszakże Podkomorzy na widok przybyłego zbladł jak trup i niesiona do ust łyżka z rąk mu wypadła; ten niezwykły objaw zwrócił uwagę przytomnych tak na Janikowskiego jako i na przybysza, który zbliżywszy się do gospodarza z pięknym pokłonem, rzekł wcale uprzejmie, a do tego co dziwniejsza popolsku, lubo z pewnym cudzoziemskim akcentem:

— Mości panie Podkomorzy, mam zaszczyt stawić się na słowie, bo dziś to jest termin przez wmość pana wyznaczony.

Na tę polską mowę, wprawdzie zlekka kaleczoną, powstał hałas i śmiech ogólny, a ten i ów wołał:

— A pójdź sam angliku wypij ze mną ten kielich!

— A to mi facetus!

— To jakiś dowcipniś, zdałby się na komedyanta!

— Jak się przebrał, jak mowę udaje—i t. d. wywoływano, a słysząc mowę dość gładką w ustach człowieka, który nie znał z niej ani jednego słowa przed rokiem wszyscy, nawet znający go dawniej, zwątpili w tożsamość przybyłego, który tymczasem stał z powagą, mierząc suro-

wym wzrokiem żartownisiów zgraję. Nakoniec gdy się uciszyło nieco ozwał się.

— Zaszczyt wielki, a którego dziś jeszcze spodziewam się dostąpić, z takim znanym rycerzem jakim jest Imćpan Podkomorzy, skłonił mnie do nauczenia się jego mowy, jeżeli jednak w tak krótkim czasie nie mogłem się w niej wydoskonalić, raczą mi więc waszmościowie, jako cudzoziemcowi, wybaczyć.

Mówił zaś to tak poważnie i statecznie, iż o tożsamości osoby wszelkie wątpienie znikło i żarty usunięte zostały. Każdy zaś z niepokojem oczekiwał fatalnej konkluzyi, wnosząc że sprawa na seryo się odbędzie.

Tymczasem nowy wypadek zwrócił powszechną uwagę: biedna pani Janikowska dojrzawszy bladości i pomięszania małżonka, z któremi dotąd ten ją nie oswoił — zemdlała. Inne niewiasty, nie przewidując również tej fatalnej konkluzyi, poczęły spazmować; popłoch stał się ogólny.

Janikowskiego nikt nie poznawał, był ciągle blady i drżący; napróżno hetman nim potrząsał, szepcąc mu ciągle w ucho:

— Na miły Bóg, Kostku opamiętaj się, nie pieczętuj lada czem rycerskiej karyery.

Lecz ten jakby nic nie słyszał, wodził dokoła błędnemi oczyma, nakoniec nieco oprzytomniały zbliżył się do przybyłego z pochyloną głową i zmówił pokornie:

— Quinque djabłów, skapiałem, zestarzałem się, jestem do niczego, racz waszmość pan przyjąć moją *ekskuzę*.

— Z tak odważnym i zacnym mężem jak w. m. pan, czy rozprawę, czy ekskuzę mam sobie za niezasłużony zaszczyt, na którym poprzestaję.

Odrzekł Wendorf z szacunkiem i powagą przy głębokim ukłonie i wyszedł z komnaty.

Do hetmana zaś, przerażonego razem ze wszystkiemi onym wyrazem „ekskuza“, który w ustach Janikowskiego przez długie życie nie postał, przemówił ten gniewnie:

— Do końca mojego życia, wprawdzie już niedługo, nie przebaczę waćpanu, żeś mi w Mitawie uchybił parolu i nie pozostawił wilkom tej mojej destynacyi, byłbyś mi przynajmniej tego ostatniego sromu oszczędził.

Te były ostatnie słowa Janikowskiego, jakie z ust jego usłyszano.

Samo przez się, iż wesoło ucztująca kompania rozproszyła się cichaczem.

* * *

Już mało co można powiedzieć o życiu Janikowskiego, które jakiś rok jeszcze nędznie się przewlokło.

Zdarł ową pargaminową tablicę, głoszącą o pojedynkach odbytych; broń wszelką jaką posiadał, kazał do spichrza wyrzucić, sam przywdział prostą siermięgę, skazał się na chleb i wodę, włóczył się po lasach bezbronny, a szukając tej swojej urojonej destynacyi, wilków zaczepiał napotkanych, drażnił i w końcu pokaleczony przez nie, żywot zakończył.

Tak to w braku u nas publicznego życia, ginęli ludzie wielkiego animuszu i odwagi, godnych zaiste lepszej sprawy! A zawsze Janikowski pomimo przywar i wad swojemu czasowi właściwych, był typem niepospolitym.

Dodać tu jeszcze należy, że ten Wendorf, mimowolny powód smutnego końca Podkomorzego, ożeniwszy się zczasem z polką, osiadł u nas i powszechny sobie szacunek zjednał. Synowie zaś jego dobrze się zasłużyli krajowi.

* * *

Dwaj pozostali z trójki, Branicki i Wernik, długo opłakiwali zgon miłego towarzysza, a zczasem — jak to zwykle bywa po ludzku — pocieszeni, powrócili na nowo do dawnych zabaw.

Dziwią się ludzie a niektórzy i gorszą, iż po każdych ważnych politycznych przewrotach poszkodowani przez nie, oddają się hucznym zabawom, wpadają w dziwactwa, dziecinieją niejako, jakby starali się przez gorączkową, burzliwą ruchliwość zagłuszyć w sobie obecność smutnego położenia. Nic zda się naturalniejszego — ludzie odsunięci od czynu, pozbawieni wielkich celów, chwytają się tych rozpaczliwych środków omamienia smutnej teraźniejszości. Tak też i wtedy był czas, kiedy namnożyło się tych zagłuszających w sobie bolesne wspomnienia, omamiających przymusową bezczynność dziecinnemi często zabawami, lub jak zrozpaczony popada w nieuleczalny nałóg pijaństwa, tak i ci ludzie chcieli czegoś, dokądś dążyli, a znajdując wszędzie zaporę stojącą wpoprzek drogi, szli bocznemi ścieżkami, jakie tylko stanęły otworem. Jedni puścili się na grę szaloną, drudzy na pijatykę, inni chwytali się przesadnej dewocyi, a trzeci dziwaczyli sobie jak im się nadarzyło, zaparci w ciasnem, domowem ognisku.

Wtedy to siła naliczyłeś dziwaków, jeżeli tak nazwać trzeba ludzi, wyskakujących po za ramy normalnego, powszedniego żywota, z pomiędzy tych wielu, dla konkluzyl naszego opowiadania, wywlec musimy na widownię starostę X. *)

Starosta, niegdyś także czynny w sprawach publicz-

---

*) Że godność starosty dla osobistych moich względów winienem utaić, zatem miasto nadania mu imaginowanej nazwy, wolę oznaczyć przez X., a to iżby nie psuć całości opowiadania, w którem żadnej zmyślonej postaci nie wystawiłem. (Dopisek autora).

nych, należał do liczby tych, którzy w onem ogólnem otrętwieniu wpadli w niepomiarkowaną dewocyę; w onym zaś ferworze religijności przywidziało mu się, iż jest przeznaczony do nawrócenia żydów.

Zamknąwszy się tedy w swojem miasteczku ***, rozpoczął to chwalebne dzieło, wszakże począł je po swojemu, jako dawny magnat polski, do oporu nieprzyzwyczajony: żydów, którzy się do niego garnęli, bowiem hojny był a nie prześladowca — wziął po swojemu z magnacka: każdego nowonarodzonego musieli rodzice przedstawić panu staroście dla zlania wodą, czyli według jego pojmowania dla ochrzczenia, rodziców zaś, którzy się od tego uchylali, oczekiwał chrzest inny, daleko boleśniejszy. Starosta w sabaty i święta żydowskie kazał w synagodze, a ci co jego nauki nie słuchali, już łaskę tracili — i tak jeżeli żydek zjawił się po drzewo przypuśćmy, lub otrzymanie jakiejś dogodności, starosta odmawiał na tym fundamencie, naprzykład:

— Nie, synku, tobie nie dam, bo ty na moich kazaniach nie bywasz!

Lub dla innego był łaskawszy i powiadał:

— Masz tu więcej nad to czego żądasz, bo widzę, iż pilnie słuchasz moich nauk, a pewny jestem iż ochrzcisz się niebawem.

Nadto nie pozwalał żydom restaurować walącej się synagogi w swojem miasteczku, lecz obok niej złożył znaczny zapas budowlanego materyału, przyobiecując im:

— Kiedy już wszyscy co do jednego nawrócicie się, wybuduję wam taką wspaniałą świątynię, jakiej w całym kraju nie ma.

Wszakże żydom z tą jego gorliwością prozelityczną dobrze się działo, bo był hojnym i wspaniałym, więc mu basowali i tuż, tuż mieli się przechrzcić.

Otóż kiedy starosta bawił się w owo nawracanie,

ksiądz arcybiskup Siestrzeńcewicz, świeżo wyniesiony na godność metropolity kościołów rzymsko-katolickich w posiadłościach rosyjskich, objeżdżał swoją metropolię i o dobra starosty, jako swojego krewnego, zawadził. Starosta, chcąc upamiętnić ten zaszczyt odwiedzin, przedstawił ks. metropolicie do chrztu św. dwudziestu pięciu żydów przez siebie nawróconych.

Powiadają wprawdzie, iż żydkowie zabrawszy co im tam z hojności starosty za chrzest przypadało, wymknęli się drugiemi drzwiami, dla dalszego wyznawania dawnej wiary; zawsze jednak czyn spełniony przysporzył sławy misyonarskiej staroście, a co większa, utrwalił go na wieczną pamiątkę list pasterski ks. metropolity, wynoszący pod niebiosa gorliwość prozelityzmu pana starosty.

*
* *

Owoż przytoczyliśmy powyższy fakt dla tego tylko, iż wpłynął on przeważnie na dalsze losy bohatera naszego opowiadania, Wernika.

Trzeba wiedzieć, iż starosta z hetmanem byli oddawna na stopie „psa z kotem“, poróżniły ich jeszcze za dobrych czasów przeciwne zasady polityczne i stronnictwa, a teraz zdaleka się nienawidzili.

Skoro się tedy hetman dowiedział o szczęśliwie dokonanem nawróceniu żydów starosty, a do tego odczytał czarno na białem w drukowanym liście pasterskim, panegiryk dla niego, żmija zawiści ubodła go w serce. Zaraz tedy napadł na Wernika:

— Otóż co jest mieć przychylnych żydów i dobrych faktorów, starosta 25 nawrócił, czy tam do chrztu X. Metropolicie przedstawił, co na jedno wyniesie. Jużci mam pewno 25 razy więcej od starosty ziemi, ergo o tyle więcej

żydów na niej siedzi... X. Metropolita ma tu być na rok pzzyszły, a jeżeli przynajmniej dziesięć razy więcej żydów do chrztu nie przedstawię niż starosta, to mię żółć zaleje i chyba jak nasz biedny Kostek pójdę w las szukać wilków.

— Nie wiem czyli to się komu innemu uda tak jak panu staroście—odpowiedział żyd—on umie się wziąć do tego, prawi żydom kazania, a kaptuje ich sobie w rozmaity sposób, buduje im domy, zapomaga w nieszczęściu.

— Batogami—przerwał hetman.

— No, jak się tam zdarzy, bije, ale i płaci.

— Mniejsza z tem, rób sobie jak chcesz, nieszczędź kosztów, ale zapowiadam ci, że jeżeli na rok przyszły przy zapowiedzianej wizycie X. Metropolity, co najmniej 250 żydów do chrztu mu nie przedstawię, znać cię nie chcę, nie pokazuj mi się więcej...—zawołał Branicki stanowczo.

Żyd znał te pańskie fantazye i wiedział z góry, że pan obietnicy dotrzyma, a żal mu się setnie zrobiło, bo on po za stosunkami ze swoim paniczem już nic milszego nie miał na świecie—złożył tedy ręce jak do modlitwy i prawił w pokorze:

— Czyliż było co na świecie czegobym wam, mojemu dawnemu paniczowi odmówił i czegobym nie poświęcił... lecz osądźcie sami jegomość, czyli to nawracanie przystoi mnie żydowi, i jakbym ja się do tego mógł wziąść, sam nie pojmuję?

— Najprzód nie szukać wykrętów- -ofuknął hetman— a najlepiej rozpocząć rzecz przez dobry przykład. Sam przyjmij chrzest, a reszta pójdzie za tobą, bo posiadasz mir u swoich współwierców.

— Właśnie przez to bym go utracił i nic nie sprawił.

— Słuchaj Werniku, już ty wiesz jak ja tego starostę mam na wątrobie!... Ty jeden możesz mi w tem wygodzić,

a powiadam ci że *nie pożałujesz tego*—powiedział hetman kładąc nacisk na ostatnich wyrazach.

Żydowi krew spłynęła do głowy, wyprostował się, a tak dumnie iż od razu dorósł szlacheckiej pana postawy i przemówił wcale bez zwyczajnej pokory:

— Panie! służyłem wam wiernie prawie pół wieku... powiedzcie tedy sami, czyliście co u mnie z tego com wam poświęcał, kupili?

— Ej! głupiś Srulu! albożcię nie znam i nie wiem tego com ci winien, a tyle ci powiem na zgodę, że gdyby inny był na twojem miejscu, posiadłby połowę mojego mienia, o które zamłodu niebardzo dbałem — wypowiedział hetman z uczuciem, kładąc rękę na ramieniu żyda, a potem dodał, widząc udobruchanego Srula:

— Ale ja ci gotuję taki podarek, taką niespodziankę, o którą twoja bezinteresowność się rozbije. Zgadnij, co to takiego?

— Wybaczy mi jegomość — rozpoczął żyd uspokojony — że zgadywać nie będę, bo nie ma tego na świecie, ani nawet cała fortuna jegomości na to nie starczy, ażeby mnie od moich przekonań i wiary oderwać. Coby na to powiedziały siedmioro moich dzieci żydów?

— Tego już nie wiem, co tam oni powiedzą — przerwał hetman — ale ja wiem napewno, co powiedziała wdówka S., że gdybyś był chrześcianinem i szlachcicem, toby cię poślubiła. Pierwszy warunek od ciebie zależy, a zdobycie drugiego biorę na siebie; będzie to mój podarek ślubny przyjaźni, której mi tyle dałeś dowodów, a ja ci przepowiadam z wdówką drugie siedmioro potomstwa.

Owoż wdowa S. była słabą stroną tego męża silnego charakteru i niezłomnej woli.

— Wolne żarty jegomości... czyliżby pani S. mogła to powiedzieć — mówił Wernik pomieszany.

— Że mi to w żywe oczy powiedziała, i jak miarkuję, wcale na seryo, na to ci daję parol szlachecki, również jak na to, że wszystkiego com przyrzekł dotrzymam, a będę ci kumował przy chrzcie i drużbował na weselu.

— Ale czy tak wypada — mówił żyd z wahaniem — bo jak wiadomo, odmówiłem proponowanego zaszczytu królowi jegomości?

— Tem tedy większą oddasz mi przysługę i złożysz dowód prawdziwej przychylności, gdy to, czego odmówiłeś królewskiemu majestatowi, uczynisz dla przyjaźni — rzekł Branicki uradowany, widząc iż Wernik mięknie i że w końcu on na swojem postawi.

. . . .

Zaraz nazajutrz Wernik począł latać jak oparzony, rekrutując przyszłych neofitów na zapowiedzianą wizytę ks. metropolity, co niemałym kosztem się odbywało, ale takiego pana stać było na to.

Sam Branicki, zaniechawszy wszelkich innych spraw, zajął się tem przeważnie, aby starostę „przez kij przesadzić". Sprowadzono ze wszech stron księży katechetów, aby tych katechumenów przystojnie do chrztu przygotować, a gdy się już zbliżała zapowiedziana wizyta i Wernik zaprezentował 249 ochotników hetmanowi, ten przeliczywszy ich rzekł:

— A gdzież 250-ty, czyli na jednego prochu ci nie stało?

— A przecie ja, czyniący to dla imć pana hetmana, zego odmówiłem samemu królowi jegomości.

— Komu odmówiłeś, to wiem; ale dla kogo czynisz, to może rozstrzygnąć nadobna wdówka.

Wszystko na termin przybycia ks. arcybiskupa metropolity było gotowe; wszakże pomimo to stało się jakoś wedle słów innego biskupa poety:

„Gdzie wiele przygotowań, tam nic z dyalogu“.

Bowiem Imć ksiądz metropolita uznał, że zawiele będzie tego prozelityzmu, i pomimo nalegań hetmana wizyty swojej zaniechał.

Branicki gniewny, iż mu się nie udało nienawistnego starosty przesadzić, narzekał na metropolitę i potępiał jego oziębłość i brak gorliwości w wierze. Swoich zaś katechumenów, hojnie wynagrodzonych za dobrą chęć, rozpuścił i antagonizmu ze starostą rad nie rad zaniechał.

Wszakże inaczej działo się z Wernikiem, i żeby słowu pańskiemu stało się zadość, hetman sprowadził ks. biskupa Sierakowskiego, wprawdzie *in partibus infidelium*, z czego tem jednak się pocieszał:

— To taki sam biskup jak Siestrzencewicz, brakuje mu tylko kilku liter, jednego „arcy“.

Biskup ochrzcił Wernika, któremu hetman kumował, a zaraz swojego chrześniaka do tegoż ołtarza prowadził do ślubu z wdową S., wprzód dobrze przez siebie wyposażoną, a wręczając staremu faktorowi dyplom szlachecki, szepnął mu:

— I tyś dobry człek, nie ma co mówić, ale ja lepszy, bo ty mi ukradłeś kobietę, a ja dla ciebie zdobyłem, no ale... *Verbum nobile, debet esse stabile!*

* * *

Nowego szlachcica, który przybrał godność *** (ale na co to wiedzieć, *nomina sunt odiosa* — chociaż potomkowie wstydzićby się tego swojego przodka nie powinni), szlachta chociaż nietolerująca intruzów, przyjęła z otwartemi ramiony, już to dla jego zacności i rozumu, również dla zalet i uprzejmości jego małżonki. Wkrótce potem

obrano go sędzią ziemskim powiatu X., który urząd godnie i rozumnie długo sprawował.

Według przepowiedni hetmana, doczekał się z wdową nowego siedmiorga potomstwa, a co większa, przez swój rozum i takt dokazał tego, iż obie różnowiercze rodziny szanując ojca, miłowały się pomiędzy sobą. Kilku z jego potomków tej i owej wiary, znani piszącemu, żyją dotąd.

Z tej sławnej trójki, o której gawędziliśmy, faktor przeżył wszystkich, bo umarł w lat parę po hetmanie, który jednak dożył lat 90-ciu, Wernik zaś, pomimo późnego wieku, zachował, jak twierdzili spółcześni, dziwną rzeźwość i świeżość, tak umysłu jako i ciała.

Tak naszemu *Faktorowi* dano to było wyłącznie, czego nikt jeszcze nie dokazał, iż się stał protoplastą dwóch różnowierczych rodzin.

Zatem powiedz sam, miły czytelniku, czyli nie miałem racyi poświęcić mu niniejszej gawędy, która oby była ku Twej uciesze!

KONIEC.